

PRZEGLĄD SOCJALDEMOKRATYCZNY

ORGAN SOCJALDEMOKRACJI KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY.

VI Zjazd.

Grudzień, 1908.

Jeżeli po wszystkich doświadczeniach rosyjskiej rewolucji i kontrrewolucji można już bez żadnej wątpliwości stwierdzić, że losy wolności burżuazyjnej w Rosji spoczywają wyłącznie w walce klasowej proletariatu, skierowanej zarówno przeciw skojarzonej z absolutyzmem wielkiej własności rolnej i wielkiemu kapitałowi, jak i przeciw liberalno-kadeckiej burżuazji, pragnącej u stóp tronu carowego uchwycić marę ugody między liberalizmem i starą władzą, to z nieminiejszą pewnością należy stwierdzić, że razem z burżuazyjną wolnością beznadziejna rozpacz opłotłaby sprawę burżuazyjnej autonomji i narodowej kultury burżuazyjnej w Polsce, gdyby losy jej zależeć miały od tak zwanych „narodowych“ partji.

Z niezwykłą jasnością wystąpiło to znowu na jaw z powodu polityki Koła Polskiego, uprawianej w ostatniej sesji Dumy Państwowej i tak cynicznie obnażającej bankructwo Demokracji Narodowej. Jest to jednak tylko pusty frazes, przeczący głębszej analizie społecznej i politycznej, jeżeli postępowca prasa chce wmówić w siebie i w całą Polskę, że w Kole Polskim ujawniło się tylko bankructwo Demokracji Narodowej, i niezawodnie większą rację ma prasa realistów, gdy twierdzi, że teraz dopiero Koło Polskie wchodzi na drogę prawdziwej polityki „narodowej“, t. j. lepiej odpowiada rzeczywistym tendencjom dzisiejszej Polski burżuazyjnej. I w rzeczy samej, dość uprzytomnić sobie politykę, jaką postępowcy polscy przeciwstawiają polityce dzisiejszego Koła Polskiego, i dość przypomnieć sobie, że właściwie według ich recepty Koło Polskie powinno padać w objęcia reakcji rządowej tylko razem z kadetami rosyjskimi i tylko za zgodą tych ostatnich, aby nie stracić sympatji t. zw. opozycyjnych sfer rosyjskich, dość wreszcie uprzytomnić sobie rolę i faktyczne znaczenie Zjednoczenia Postępowego, aby od razu zrozumieć, że bankructwo Koła Polskiego nie jest specyficznym bankructwem Demokracji Narodowej, jako partji politycznej, lecz jest bankructwem wszystkich przodujących warstw burżuazyjnych, całej Polski burżuazyjnej — bankructwem względem ich właściwej, obiektywnej misji historycznej, polegającej na tym, aby na ruinach dążeń do niepodległości narodowej prowadzić walkę o burżuazyjne wolności i burżuazyjną autonomję krajową. Pod tym względem realisci są tyleż warci, co naro-

dowi demokracji, a ci ostatni nie są wcale lepsi ani gorsi od postępowych demokratów, których walka przeciw Kołu Polskiemu jest jakby powtórzeniem słów poety o burżuazji polskiej:

Myśmy rajów nie śnili,
 Myśmy wiosny nie znali;
 My w kołysece już byli,
 Jako starcy zgrzybiali.

To bankructwo polskich partii burżuazyjnych względem właściwej im misji historycznej, ten trupi zapach, jaki bije od ich ideologii wogóle i od ich myśli politycznej w szczególności, nie stan wojenny lub stan nadzwyczajnej ochrony, lecz ta stęchła atmosfera ideowa Polski burżuazyjnej, na której gruncie i w której szrankach skazana jest walczyć Socjaldemokracja, stanowi właściwie jej największe przeszkody. Ale dialektyczny proces rozwoju historycznego i walki klasowej sprawia ten skutek, że stwarza nie tylko obiektywne zadania historyczne rozwoju burżuazyjnego, lecz stwarza również klasy społeczne, subiektywnie zdolne do wypełnienia tych zadań. I tam, gdzie klasy burżuazyjne w procesie walki klasowej odwracają się od swej misji historycznej, tam proletarijat staje się zdolnym do wzięcia w swoje ręce zadań, postawionych na porządku dziennym przez historję. Tym się między innymi objaśnia fakt, że proletarijat Prus jest klasowo bardziej uświadomiony i partyjnie bardziej wyszkolony, aniżeli proletarijat republikańskiej Francji lub demokratycznej Anglii. I tym również należy objaśnić fakt, że nawet samo poznanie historycznej misji burżuazyjnego rozwoju Polski w dziedzinie sprawy narodowej — autonomia krajowa — zdobyte zostało przez Socjaldemokrację wbrew ideologii burżuazyjnej na długi czas przedtym, zanim wszystkie polskie partie burżuazyjne mogły w 1905 roku zawołać jednym chórem, że chcą autonomji. Jest to przecież nadzwyczaj charakterystyczne, że do wybuchu rewolucji ideologia polityczna rozmaitych warstw burżuazyjnych Polski obracała się albo wokoło idei abstynencji, jak u postępowców, albo wracała wstecz do ideologii przedkapitalistycznego okresu Polski, jak u nacjonalistów rozmaitego kierunku, o których powiedzieć można słowami Wyspiańskiego: „naród mój tak się we swą przeszłość weśnił, ...że sam w tych ciągłych łzach i płaczach spleśniał“. I tak spleśniała ideologia postępowców i nacjonalistów, że trzeba było dopiero gwałtownego wybuchu rewolucji, który ideologicznym przedstawicielom polskich klas burżuazyjnych pokazał a d o c u l o s i w namacalnej formie dojrzały owoc burżuazyjnego rozwoju kraju, aby wszystkie partie zaczęły raptem domagać się autonomji.

W każdym kraju dla klasy robotniczej, wybijającej się dopiero na powierzchnię życia politycznego i stawiającej dopiero pierwsze samodzielne kroki na arenie politycznej, kultura umysłowa otaczającego go społeczeństwa burżuazyjnego jest rzeczą pierwszorzędną wagi, gdyż z kultury i nauki burżuazyjnej czerpie ona narzędzia dla swego własnego światopoglądu, swej myśli politycznej i rozwoju swej własnej kultury duchowej. I co również jest rzeczą bardzo ważną, przynajmniej do pewnego momentu, — otaczające ją społeczeństwo bur-

zuazyjne daje klasie robotniczej umysłowo wyszkolonych przewodców i nauczycieli, pochodzących z łona klas burżuazyjnych i zdolnych stać na stanowisku walki klasowej proletariatu. Ale jak widzieliśmy, umysłowa kultura polityczna polskiego społeczeństwa stoi tak rozpaczliwie nisko, że najbardziej postępowi jego przewodcy aż do ostatniej chwili nie byli nawet w stanie domyśleć się, jakie jest najbliższe zadanie historyczne społeczeństwa burżuazyjnego w dziedzinie sprawy narodowej, i polska klasa robotnicza tym mniej mogła czerpać z duchowej jego pustki i tym mniej mogła otrzymać z łona burżuazyjnych klas polskich przewodców, którzyby mogli przyspieszyć proces klasowego samouświadamiania się polskiego proletariatu. Tym się też objaśnia, dlaczego i liczba kierowników-inteligentów jest tak beznadziejnie niska w szeregach socjaldemokratycznego proletariatu polskiego.

W takich warunkach, niezrównanie gorszych, aniżeli w jakimkolwiek innym kraju ucywilizowanym, rozwijać się musiała i rosnąć samodzielna myśl świadomego proletariatu polskiego, której pierwsze i najgłówniejsze podwaliny założone zostały na pierwszym Zjeździe Socjaldemokracji w marcu 1894 roku. Cały późniejszy gmach, wzniesiony na tych podwalinach, wytrzymał już ogniową próbę rewolucji i otrzymał historyczne świadectwo swej siły. Takim historycznym drogowskazem w rozwoju świadomości klasowej polskiego proletariatu był już tylko V Zjazd, który w ogniu rewolucji wykuwał i zaostrzał oręż ideowy dla dalszej walki socjaldemokratycznego proletariatu polskiego, zjednoczonego już we wspólnych szeregach z socjaldemokratycznym proletariatem całej Rosji. I jeżeli idee przewodnie I-go i V-go Zjazdu stały w tak gruntownej sprzeczności z całym umysłowym dorobkiem politycznym najpostępowszych nawet warstw burżuazji polskiej, który w toku rewolucji tak jaskrawie obnażył swoje bankructwo historyczne, i niemniej w gruntownej sprzeczności z całym piętnastoletnim umysłowym dorobkiem politycznym P. P. S., która nie była w stanie i dotąd nie może wyrwać myśli reprezentowanych przez nią warstw proletariatu ze sfery wpływów najnędniejszej na świecie polskiej ideologii burżuazyjnej, — to o pracy ideowej VI-go Zjazdu powiedzieć można, że znajduje się ona w tym głębszej sprzeczności z nicością kultury umysłowej burżuazyjnej Polski oraz z rozdartą w strzępki ideologią P. P. S. lewicy i podobnemi już raczej do żebraczych łachmanów resztkami myśli nacjonalistycznej P. P. S. frakcji rewolucyjnej, im głębszą przepaść interesów i dążeń wykopała rewolucja pomiędzy klasą robotniczą a klasami posiadającymi Polski, im bardziej gubi się myśl przewodnia lewicowej P. P. S. wśród głębin rewolucji i kontrrewolucji oraz im gruntowniej nacjonalistyczny światopogląd P. P. S. Fr. Rew. z historycznej wyżyny feodalnej Polski powstańczej spadł do ideowego poziomu lumpenproletariatu Polski kapitalistycznej.

W ten sposób i VI Zjazd nasz pracować musiał w warunkach ideowego bagna burżuazyjnego, otaczającego ze wszech stron umysł proletariatu polskiego i gotowego w każdej chwili miazmatami swemi zatruć jego świadomość klasową i zasłonić mu horyzont jego

historycznych zadań rewolucyjnych. Ale niemiejszą zaporą dla rozwoju rewolucyjnej świadomości proletariatu zarówno w Polsce jak i w całej Rosji jest długotrwały szal kontrrewolucji, za której rydwanem wloką się na uwięzi zagrożonych interesów kapitalistycznych ostatnie reszki postępowej myśli burżuazyjnej, bezustannie i na rozmaite tony naszeptującej klasie robotniczej łabędzią pieśń rewolucji i wolności. Pod tym względem zaszła wielka różnica w przeciągu przeszło dwóch lat, oddzielających dwa ostatnie nasze Zjazdy. Mianowicie, V Zjazd nasz obradował jeszcze w momencie, kiedy burza rewolucyjna obnażyła historyczne dno życia społecznego w państwie i kraju, kiedy wzajemne walki klas i partji, drogi rozwoju i zadania proletariatu występowały z taką jasnością i wypukłością niemal namacalną, że Zjazd z nicią marxizmu w ręku mógł stosunkowo łatwo uchwycić zadania Socjaldemokracji. VI zaś Zjazd nasz pracował już w chwili, kiedy tryumfująca kontrrewolucja wraz z towarzyszącą jej szarżyzną codziennego „normalnego“ wyzysku kapitalistycznego zdołała na nowo zasłonić gęstą mgłą horyzont historyczny. Ale właściwie rewolucyjnej Socjaldemokracji metoda marxizmu jest tym narzędziem, które zaostrza jej wzrok historyczny, i jak zapomocą marxizmu I Zjazd nasz musiał przebijać się wzrokiem poprzez gęste mgły szalejącego nacjonalizmu i socjalnacjonalizmu, aby wbrew tryumfującej ideologii nacjonalistycznej odkryć tendencje organicznego wcielenia Polski do Rosji, prowadzące do rewolucji 1905 roku, tak i VI Zjazd, wbrew tryumfującemu „otrzeźwieniu“ liberalnej burżuazji i „trzeźwemu“ katzenjamerowi oportunistycznego socjalizmu, przeszywał ostrzem rewolucyjnej myśli socjaldemokratycznej gęste zasłony kontrrewolucji, aby określić sytuację historyczną i najbliższe zadania uświadomionego i zorganizowanego proletariatu.

Szczególną wagę przypisujemy tezom, które posłużyły Zjazdowi za podstawę do określenia zadań partji w obecnej sytuacji. Czytelnik, który się uważnie wczyta w te tezy, przedstawiające materialistyczno-dialektyczną analizę rewolucji i kontrrewolucji w jędrnych i ostrych formach myśli, od razu spostrzeże, że być może i wbrew naszemu przekonaniu można cały ten gmach przewrócić do góry nogami, ale nie można dodać ani wyjąć z niego ani jednej cegiełki. Jest to obiektywny i logiczny bieg wypadków, na którym zbudowana jest ta żelazna logika tez i wynikające z niej z nieubłaganą konsekwencją twierdzenie, że „naczelne zadanie polityczne Socjaldemokracji pozostaje na dziś niezmiennie“, a więc przedmiotem walki socjaldemokratycznej o świadomość proletariatu pozostają nadal hasła: dyktatury proletariatu, Konstytuanty, republiki demokratycznej i autonomji Polski. Beznadziejnym fantantom socjalistycznego oportunizmu, usiłującym teraz pod kozackim butem stołypinowskiej Dumy doszukać się biegu historycznego Rosji w suchym, piaszczystym łożysku „pracy kulturalnej“ i legalnej, jak niedawno jeszcze szukali dźwigni historycznej w żądaniu ministerjum, zależnego od pustego miejsca, jakim w charakterze narzędzia rewolucji były dwie pierwsze Dumy, takie postawienie zadań partji w obecnym momencie wyda się zapewne tak samo sprzecznym z rzeczywistością, jak P. P. S. w okresie roz-

kwitu polskiej idei patriotycznej wydawały się zbrodnią i szaleństwem uchwały I Zjazdu naszego, z których wynikało, że był to tylko rozkwit myśli reakcyjnej i utopijnej i że faktyczny bieg stosunków polsko-rosyjskich jest wprost odwrotny. „Zdobycie władzy w otwartej walce przez proletarjat“, Konstytuanta, republika – takie hasła teraz, przy obecnej „konjunkturze“?

„Konjunktura“ albo „nastroj mas“, albo „podnosząca się“ lub „opadająca fala rewolucji“... Zaiste, o tym niema ani jednego słowa w tezach zjazdowych, rysujących obecną sytuację, a to dla tej prostej przyczyny, że tezy te kreślą sytuację historyczną, a nie sytuację dnia wczorajszego i jutrzejszego, ranną i wieczorną, jak to czynią starannie giełdy, kreślące kurs walorów. Polityka „konjunktury“ jest niezawodnie bardzo ważną dla tych, co grają na giełdzie, ale partjom rewolucyjnym taka polityka nie przyniosła jeszcze nigdy żadnej innej wygranej, prócz guzów historycznych. I w tezach VI Zjazdu, kreślących sytuację obecną, niema wcale mowy o „obecnej“ konjunkturze, ani o „obecnej“ fali opadającej lub podnoszącej się rewolucji dla tej prostej przyczyny, że marxiści posiadają tylko metodę poznawania materialistycznego, obiektywnego i dialektycznego rozwoju wypadków, a nie posiadają wcale metody łowienia nieuchwytnych konjunktur i nastrojów, które w codziennych utarczkach politycznych mogą odgrywać poważną rolę, które jednak jako podstawowy materiał dla określenia wytycznej linii rozwoju i taktyki należą już do dziedziny beletrystyki politycznej. Wprawdzie wiemy, że na politykę „konjunktury“ chorują nie tylko mienszewicy w partji, ale po części i bolszewicy. U tych ostatnich jednak, dzięki ich rewolucyjnemu instynktowi, wynikającemu z przekonania, że rewolucji burżuazyjnej dokona w Rosji nie burżuazja, lecz tylko proletarjat i masy chłopskie, „konjunktura“ zawsze wypada czerwona i dzięki temu ich choroba ma przynajmniej tylko ten skutek, że szerzy zarazę zapału, energii, czynu, ofiarności, i tylko tym objaśnić można, dlaczego pracownicy partyjni uciekają stosunkowo znacznie mniej z organizacji bolszewickich, podczas gdy u mienszewików, wyczekujących dobrej „konjunktury“ u kadetów, dzięki czemu ich „konjunktura“ jakoś zawsze wypada tak blade, owa dziwna choroba ma tylko ten skutek fatalny, że szerzy zarazę beznadziei, apatii, bezczynności partyjnej, i z tego powodu organizacje mienszewickie przedstawiają obraz nędzy i rozpacz.

Jeżeli jednak odnośna uchwała Zjazdu twierdzi, „że przekształcenie ustroju politycznego Rosji na podstawach rzeczywistej demokracji może być dokonane jedynie na drodze rewolucyjnej“, to nie wynika z tego bynajmniej, że VI Zjazd chciał uchodzić za nieomylnego proroka, przepowiadającego zgóry jedynie rewolucyjną drogę przekształcenia Rosji. Jeżeli Stołypin ma rzeczywiście być egzekutorem woli rewolucji roku 1905 i jeżeli specjalnie prawo agrarne z 9/23 listopada ma być ową drogą, prowadzącą Rosję na tory szerokiego rozwoju kapitalistycznego choćby kosztem najokropniejszych cierpień wielomiljonowej masy włościańskiej, to niezawodnie jedno z najbardziej zasadniczych obiektywnych zadań rewolucji byłoby rozstrzyg-

nięte i droga przyszłego rozwoju burżuazyjnego Rosji mogłaby w takim razie prowadzić nie tylko przez powstanie zbrojne i dyktaturę rewolucyjną. O tym Zjazd wiedział równie dobrze, jak i my, t. j. o tym, że rozwój Rosji po rozstrzygnięciu tego obiektywnego zadania historycznego mógłby pójść drogą, podobną do tej, jaką przebyły np. dzisiejsze Prusy. Ale gdyby losy Rosji pójść miały taką drogą, którą nazwiemy tutaj pruską drogą rozwoju, to wtedy oznaczałoby to nie tylko goły fakt materialistyczny, że zostaje otwarta szeroka droga rozwoju nowożytnego przemysłu i handlu wraz z rozszerzaniem się wewnętrznego rynku towarowego, lecz i droga rozwoju tych wszystkich zasadniczych i nieodstępnych zjawisk socjalnych i politycznych, które towarzyszą nieuniknienie postępowi kapitalizmu. Innymi słowy, pruska droga rozwoju oznaczałaby wyłobienie choćby tak wąskiego łożyska konstytucyjnego, na gruncie którego nie tylko liberalna partja kadetów przestałaby być partją nielegalną, jak to dotychczas ma miejsce w „konstytucyjnej“ Rosji, lecz na gruncie którego mogła wyrosnąć rewolucyjna agitacja Lassalle'a a później mogła się rozwinąć najpotężniejsza w świecie Socjaldemokracja niemiecka, czyli mogły się skupiać i rozwijać bez gwałtownego przewrotu politycznego wszystkie czynniki ostatecznej demokracji Niemiec i wszystkie potęgi socjalno-rewolucyjne, mające dokonać ostatecznie przewrotu socjalistycznego.

Innymi słowy, droga pruska bez pruskich nawet gwarancji konstytucyjnych jest nonsensem historycznym, a na twierdzenie, że rząd stołypinowski rozstrzygnął już losy Rosji metodą pruską, dając jej materialne i konstytucyjne podstawy rozwoju historycznego, — na takie twierdzenie kategoryczne nie zdobył się jeszcze najśmielszy nawet zwolennik oportunistycznej taktyki w obozie Socjaldemokracji Rosji. W rzeczywistości zaś pruska droga rozwoju należy tymczasem tylko do abstrakcyjnych możliwości, ale żadna taka abstrakcyjna możliwość nie daje się nawet pomyśleć przy tych sposobach i warunkach, w jakich przeprowadzana jest stołypinowska reforma agrarna. W ten sposób tezy zjazdowe wraz z ich nieubłaganą konsekwencją zachowują dotychczas całą swą siłę historyczną. I gdyby później okazać się miało, że w Rosji zwyciężyła droga pruska i w ten sposób historia zadałaby kłam prorocत्वu tez zjazdowych, to i wtedy jeszcze socjalistyczny historyk ruchu rewolucyjnego w Rosji będzie musiał stwierdzić to samo, co w obozie międzynarodowego socjalizmu niejednokrotnie już zostało stwierdzone względem wszystkich proroczych błędów Marxa, Engelsa, Lassalle'a, mianowicie, że ich błędne proroctwa były o całe niebo wyższe od „trzeźwej“ ograniczoności oportunistycznej przez to, że każdorazowo zapładniały myśl socjalistyczną, zaostrzały wzrok historyczny przednich warstw proletariatu, rozszerzając widnokrąg ich myśli rewolucyjnej i pobudzając ich zdolność i energję czynu.

Idea „zdobycia w otwartej walce władzy przez proletariatu przy pomocy rewolucyjnych warstw własności“, a więc dla zwycięstwa rewolucji burżuazyjnej chwilowa dyktatura proletariatu, a nie „proletariatu i chłopstwa“, jak chcą bolszewicy, i tymbar-

dziej nie hegiemonja faktycznie nieistniejącej rewolucyjno-demokratycznej burżuazji, jak chcą mieńszewicy, jakkolwiek poraz pierwszy na Zjeździe w ten sposób sformułowana, nie jest i nie była żadną nowością dla uczestników Zjazdu, gdyż jeszcze w literaturze taktycznej naszej organizacji w roku 1905 i następnie, zwłaszcza w broszurze o „Konstytuancie i Rządzie Tymczasowym“, była zawsze mowa o „rządzie robotniczym“. W warunkach socjalnych naszego kraju idea ta była zjawiskiem zupełnie naturalnym, skoro tylko rewolucja tak jaskrawo obnażyła charakter naszych walk klasowych, wykazując mianowicie, że niema u nas takich warstw włościańskich, któreby wydały własne rewolucyjne przedstawicielstwo, że przeciwnie — rewolucyjna część włościaństwa t. j. proletarjat rolny i małorolni chłopci okazali się w dniach rewolucji zdolnemi do walki pod sztandarem socjalizmu, podczas gdy pozostała część włościaństwa znalazła się w obozie reakcji pod znakiem Demokracji Narodowej. Słowem, niema u nas tych osobliwych rewolucyjnych mas włościańskich, które w Rosji znalazły swój wyraz polityczny w dumskiej „grupie pracy“ (w t r u d o w i k a c h) i po części w partji socjalistów-rewolucjonistów, z którą pod tym względem nie można było porównywać u nas P. P. S. Z tych konkretnych warunków naszego kraju — nie mówiąc już o głębszym ujęciu roli proletarjatu w rewolucji, odbywającej się na bardzo wysokim stadjum kapitalistycznego rozwoju oraz przy rozwiniętych i ujawnionych antagonizmach klasowych — jak i widocznego, namacalnego faktu reakcyjności jednych i bezsilności i karykaturalności innych warstw burżuazyjnych, musiała drogą naturalną od pierwszej chwili wybuchu rewolucji zrodzić się w umysłach Socjaldemokracji polskiej idea tymczasowego rządu robotniczego, jako nieunikniony wynik walk klasowych w Polsce. Zresztą, wszak i w Petersburgu w pewnym momencie patrzano na Radę Delegatów Robotniczych jako na rząd tymczasowy, albo, w razie zwycięstwa powstania moskiewskiego, jako na faktycznie nieunikniony rząd robotniczy. Oczywiście, Socjaldemokracji polskiej ani się nie śniło patrzeć na rewolucję ogólnorosyjską przez pryzmat stosunków socjalnych i walki klasowej w Polsce i przenieść ideę tymczasowego rządu robotniczego do Rosji dlatego tylko, że w Polsce była ona nieunikniona. Ale doświadczenie t r u d o w i k ó w w pierwszej i drugiej Dumie Państwowej, pozbawionych wszelkiej samodzielności we wszystkich ważniejszych wypadkach, ciągle wahających się między liberalną opozycją kadetów a rewolucyjnym stanowiskiem Socjaldemokracji, powinno było w dostatecznej mierze przekonać bolszewickie skrzydło partji o słuszności poglądu, panującego w szeregach międzynarodowego socjalizmu co do roli mas włościańskich na podstawie ich położenia socjalnego i historycznego doświadczenia Europy Zachodniej, mianowicie, że rewolucyjna część włościaństwa rosyjskiego nie jest samodzielnym kierowniczym czynnikiem politycznym w dniach rewolucji i że musi być p r o w a d z o n a przez rewolucyjny proletarjat w toku samej walki, że więc może stanowić tylko potężne oparcie dla rewolucyjnej walki klasy robotniczej, nie mogąc z natury swych interesów socjalnych i swego zacofania historycz-

nego być tak logicznie rewolucyjna do końca, jakim w nowożytnym społeczeństwie burżuazyjnym jest tylko proletarijat.

W tezach i odnośnej uchwale Zjazdu czytelnik nie znajdzie również idei t. zw. „nieustającej (permanentnej) rewolucji“, wygłoszonej na progu rewolucji zarówno przez tow. Parvusa i N. Trockiego, jak i przez przedstawicieli międzynarodowego socjalizmu, Karola Kautsky'ego i innych. Idea ta opiera się na przewidywaniu międzynarodowych skutków rewolucji rosyjskiej, na perspektywie przewrotu o charakterze socjalistycznym w Zachodniej Europie w związku z tryumfami rewolucji. Sądźmy jednak, że Socjaldemokracja nie może swojej rewolucyjnej taktyki w Rosji budować na perspektywach nieujawnionych jeszcze tak doniosłych wypadków zagranicą, a przede wszystkim nie może linii działalności swej w Rosji opierać na czynnikach, leżących po za granicami i po za sferą jej własnych wplywów.

Doniosłym momentem w historii Socjaldemokracji pozostanie jedynomyślnie przyjęta przez Zjazd rezolucja, formułująca ściśle treść i granice naszej autonomji krajowej, co znowu w sposób jasny i niedwuznaczny oddziela w dziedzinie polityczno-narodowej interesy klasowe proletarijatu od reakcyjnych interesów, jakie partje burżuazyjne pod płaszczykiem nacjonalizmu chciałyby ubić na autonomji. Szczegółowe określenie jej stało się niezbędnym, odkąd część socjalistów polskich, nie mogąc się gruntownie uwolnić od nacjonalistycznej ideologii warstw burżuazyjnych, uchwyciła się hasła autonomji, jako oportunistycznego kompromisu pomiędzy ideą niepodległości państwowej, a twardą rzeczywistością kapitalistycznego rozwoju Polski, i dlatego tak skłonnych nie zamykać idei autonomji w „ciasne“ szranki praw rozwoju kapitalistycznego, lecz rozszerzać jej grunice dowolnie, możliwie do granic federacji i niepodległości. Przedewszystkiem zaś szczegółowa rezolucja Zjazdu w tej sprawie stała się koniecznością od chwili, gdy sprawa autonomji stała się już raz jeden przedmiotem wniosku prawodawczego w Dumie, zmieniając się w ten sposób z praktycznego hasła o charakterze ogólnym w sprawę bezpośrednio aktualną, i odkąd wogóle Socjaldemokracja otrzymała możność formułowania z trybuny dumskiej interesów proletarijatu w przeciwstawieniu do interesów klas burżuazyjnych. W zasadniczej swej budowie rezolucja autonomiczna opiera się zarówno na tendencji obiektywnego rozwoju kapitalistycznego, jak i na interesach walki klasowej proletarijatu, dążąc do zawarowania jedności tej walki i oddając w tym celu ogólnopństwowej kompetencji prawodawczej np. sprawę prawodawstwa robotniczego, stanowiącego przedmiot codziennej walki klasowej proletarijatu, podczas gdy tendencje autonomiczne partji burżuazyjnych, jak to miało np. miejsce we wniosku autonomicznym, przedłożonym przez Koło Polskie w II Dumie Państwowej, zmierzają ku temu, aby właśnie tego rodzaju sprawy oddać kompetencji sejmowi krajowego w tym celu, aby oddzielić walkę klasy robotniczej w Polsce od tejszej walki w Rosji, aby rozdrobnić wogóle walkę proletarijatu, odejmując jej charakter klasowy ku korzyści reakcji burżuazyjnej. Ten zasadniczy rys rezolucji zjazdowej, jej ogólny

charakter klasowy, mający ten skutek, że przez to sprawa autonomji w naszym programie staje się sprawą nie specjalnie polską, lecz sprawą klasy robotniczej całej Rosji, stanowi jej właściwe znaczenie rewolucyjne i przeciwstawia dążenia polskiej klasy robotniczej w sprawie narodowej dążeniom i interesom partji burżuazyjnych i nacjonalistycznych.

Dla każdego, kto rzeczywiście znał dzieje naszych socjaldemokratycznych związków zawodowych, nie mogło być tajemnicą, że członkowie Zjazdu, którzy przyjmowali bezpośredni udział w tych dziejach, jak również i ci, którzy się blisko stykali z naszymi związkami zawodowymi, jednomyślnie i na zasadzie doświadczenia oświadczą się za utrzymaniem u nas dotychczasowego stosunku między partją a związkami, uchwalonego na V Zjeździe. I jeżeli VI Zjazd miał na oku możliwość nastąpienia takiego momentu, w którym legalizacja socjaldemokratycznych związków zawodowych może stać się nakazaną nawet pod warunkiem zrzeczenia się zewnętrznego szyldu w celu przystosowania się formalnego do policyjnych przepisów prawa rosyjskiego, to niema nic komiczniejszego nad zadowolenie zasadniczych zwolenników „neutralności“, widzących w chęci legalizacji — która, nawiasem mówiąc, wyrażona została już w r. 1906 przez nasz V Zjazd — jakieś odstępstwo od dotychczasowego stanowiska Socjaldemokracji polskiej w tej sprawie. Oportuniści z takim samym zadowoleniem głupkowatych komików mogliby twierdzić, że Socjaldemokracja Niemiec sprzeniewierzyła się zasadom republikańskim dlatego, że ta z całego ducha swego nawskróś republikańska partja dla formalnych względów prawa policyjnego wyrzekła się w programie swoim napisu: republika demokratyczna. Ale pozostawiając to niewinne zadowolenie tym, co z uchwały Międzynarodowego Zjazdu Sztutgarckiego zrobili sobie tylko szyld, aby tym bezkarniej uprawiać agitację za zasadniczą neutralnością związków zawodowych, wolimy się raczej zatrzymać nad praktyczną rezolucją „w sprawie charakteru działalności związków zawodowych“ w obecnej dobie represji rządowych. Mianowicie, rezolucja ta, zdaniem naszym, została nie bardzo szczęśliwie zredegowana i nie w zupełności odpowiada temu, co powiedzieć chcieli i co w dyskusji rzeczywiście wypowiedzieli uczestnicy Zjazdu, wyrażając życzenie, „aby związki zwięzły swą działalność zapomogową, ograniczając ją, o ile możliwe, do akcji bojowej“. Wygląda to tak, jakgdyby Zjazd chciał zamienić związki zawodowe w proste kasy strejkowe lub w „kasy oporu“ z przed blisko 20 lat, podczas gdy w rzeczywistości wszyscy uczestnicy Zjazdu zastrzegali się przeciw takiemu pojmowaniu i mieli na myśli tylko zniesienie zapomóg w wypadkach choroby, pogrzebowych, na podróże i t. p., a bynajmniej nie myśleli proponować, aby zniesione zostały zapomogi bezrobotnym, uwięzionym i t. p.

Zbyt już przekroczyliśmy ramy niniejszego artykułu, abyśmy mogli zatrzymać uwagę czytelników nad wszystkimi innymi, tak obfitemi w treść pracami Zjazdu. Pozwolimy sobie tylko jeszcze na kilka słów z powodu uchwały w sprawie stosunku do P. P. S. lewicy. Musimy tu otwarcie powiedzieć, że wszystkie nawoływania

X Zjazdu lewicy P. P. S. i jej prasy do zjednoczenia przypominały nam niestety przez cały czas tylko westchnienia polityków kawiarzanych, biadających nad tym, że „złe jest w Polsce, bo partji jest dużo, a jedności niema” — i nic ponadto! Nawoływania te wyglądają bowiem na bardzo wulgarny sentymentalizm polityczny, na którego określenie Niemcy mają tak doskonały wyraz, jak *Friedensduselei*. A na dnie tego sentymentalizmu tkwi pogląd, że partje socjalistyczne są to produkty dowolne, które też można dowolnie rozdzielać lub łączyć, zależnie od złych lub dobrych chęci „kierowników”. Zapewne, trafiają się u nas takie „partje” socjalistyczne, które są dowolnym produktem grafomanów politycznych. Jeżeli jednak i P. P. S., lewica sądzi o sobie, że jest również takim dowolnym wytworem kaprysu ludzkiego i manji grafomańskiej, to musimy powiedzieć, że my daleko wyżej oceniamy P. P. S., aniżeli ona siebie samą. Sądźmy mianowicie, że i P. P. S., tak samo jak i Socjaldemokracja, jest zjawiskiem historycznym w Polsce, że i partje socjalistyczne ulegają prawom rozwoju dialektycznego i wreszcie, że rozłam wśród partji socjalistycznych jest również zjawiskiem historycznym, odpowiadającym rozmaitym prądom, nurtującym w łonie klasy robotniczej, i że rozłam może być usunięty nie za pomocą pobożnych życzeń i sentymentalnych westchnień, lecz tylko wtedy, kiedy rozmaite prądy wśród klasy robotniczej zleją się w jednym łożysku wspólnych dążeń programowych i akcji politycznej, zleją się w jeden światopogląd programowo taktyczny — i to tym prędzej, im gruntowniej socjaliści polscy uświadomią sobie różnice tych prądów oraz im energiczniej zapomocą pracy uświadamiającej kierować będą te rozmaite prądy na szeroką drogę marxizmu. Tej wspólności światopoglądu, np. jednakowego ujęcia najbardziej zasadniczej i najbardziej palącej u nas kwestji politycznej — kwestji polskiej, P. P. S. lewica dotąd wskazać nam nie umiała, a ponieważ i VI Zjazd nasz jej nie widział, więc nie pozostawało mu nic innego, jak nawoływać tych członków P. P. S., którzy już stanęli na wspólnej z nami drodze, aby wstępowali do szeregów Socjaldemokracji. To przynajmniej jest tak jasne, że nawet nie wymaga uzasadnienia, wszelka zaś inna decyzja, licząca się z sentymentalnymi nawoływaniami P. P. S., byłaby tylko nieświadomą chęcią oszukania — i to bezskutecznego oszukania historii rozwoju partji socjalistycznych w Polsce.

VI Zjazd był godnym zakończeniem piętnastoletniego rozwoju myśli socjaldemokratycznej w Polsce, poczynając od I Zjazdu Socjaldemokracji w marcu 1894 roku. Nie wszystkim uczestnikom pierwszego Zjazdu przeznaczone było oglądać rezultaty swej pracy, jednych już dawno pokryła zimna mogiła, drudzy dopiero niedawno poszli na katorgę. Przez ten czas nowe pokolenie robotników zdołało już zapełnić i tak rozszerzyć ramy organizacji socjaldemokratycznej, jak o tym niejeden może z pierwszego i nielicznego pokolenia socjaldemokratów marzyć nawet nie śmiał. A towarzysze, którzy stosunkowo niedawno pracują w naszej partji i którzy przyjmowali udział w VI Zjeździe, zapewne nie zdawali sobie sprawy, z jakimi trudnościami walczyć musiał I Zjazd i pierwsi nasi pionierowie partyjni, przeciwstawi-

jąc odwagę i rewolucyjność naszej myśli socjaldemokratycznej nieprzestającemu naporowi nacjonalizmu, który w połączeniu z frazesem socjalistycznym groził powstrzymaniem na długie lata rozwoju świadomości klasowej wśród proletariatu polskiego.

Dziś, na grobie ideologii nacjonalistycznej możemy z tym większym zadowoleniem spoglądać na rozkwit i pogłębienie myśli socjaldemokratycznej w Polsce od I-go do VI-go Zjazdu.

W a r.

Duma a „ustawa 22 listopada“.

Napisał N. Trocki.

Miesiąc „wszechsłowiński“ i miesiąc agrarny.

Od końca września a zwłaszcza od października (podwójny „zamach stanu“ na Bałkanie) w Petersburgu coraz wyżej wzdymały się fale entuzjazmu wszechsłowińskiego i wzburzenia patriotycznego. Równoległe zachodzący strejk studencki — ta żywiołowa, niemal odruchowa odpowiedź nowej, porewolucyjnej studenterji na nowy porządek — zabrzmiała zgrzytliwą nutą w melodji „narodowej“ jednomyślności. Wszystko się połączyło, by pogrzebać ogólnostudencki protest: „związkowcy“ ze swymi gumami i kadecy profesorowie ze swym uspakajającym kłamstwem. 4 listopada Riecz mogła już z zadowoleniem stwierdzić, że strejk jest stłumiony — „bez rozlewu krwi“. Zaporę usunięto. Tym swobodniej szalała prasa — pierwsze skrzypce grała Riecz! — z okazji „austrjackiej zbrodni“ na Bałkanie. W czasie otwarcia sesji Dumy mogło się zdawać, że wszystkie stronnictwa i wszystkie kwestje rozczyniły się w „neosławizmie“, który zaraz na pierwszym posiedzeniu Dumy rzucił jedną ze swych fal aż po samą — niestety, tak niepewną! — powałę pałacu Taurydzkiego. Ale po kilku dniach wszystko się zmieniło. Pod naciskiem włościan postawiono na porządku dziennym ukaz 22 listopada. Kwestja rolna — „najbardziej pałaca i najrewolucyjniejsza kwestja obecnej doby“, według słów Mieńszikowa — odrazu zogniskowała na sobie ogólną uwagę, zepchnąwszy daleko na bok i swary stronnictw dumskich z ministrem Szwarcem i powszechnie żądania „sprawiedliwych kompensat“ na półwyspie Bałkańskim.

„Nie pachnie ziemią!“ — tak streścili swe wrażenie po mowie referenta komisji rolnej, październikowca Szydłowskiego, posłowie włościańscy w kularach pałacu Taurydzkiego.

„Nie pachnie cudzą ziemią!“ — poprawiali ich październikowcy.

Jedni i drudzy wypowiadali w tych słowach bardzo określoną myśl: ukaz 22 listopada — to nie zwykła ustawa o warunkach wychodzenia z gminy, nieodzowna wobec zakończenia operacji wykupu, lecz cała skończona metoda rozwiązania kwestji rolnej. „Pachnie“ czy „nie pachnie“ wywłaszczeniem szlachty? — oto właściwa kwestja, którą w okresie wybuchu rewolucyjnego rozstrzygano praktycznie, a która teraz jest tylko kolejnym tematem retoryki parlamentarnej,

bo w rzeczywistości na najbliższy okres rozwiązano ją zgóry stanowczo i bezpowrotnie.

Nie z woli przypadku miesiąc „agrarny“ wyparł miesiąc „patriotyczny“. W obu razach szło o poszukiwanie szerszego podłoża rozwoju kapitalistycznego: w drugim wypadku — na Bałkanie lub w Persji; w pierwszym — na centralnym rosyjskim czarnoziemiu. Politycznie dwie te drogi zgoła nie dają się połączyć: albo wspieranie caratu — dla podbojów zewnętrznych, albo osłabianie go — w interesie reform wewnętrznych; albo imperjalizm, albo demokracja; albo Bałkan, albo gubernja Tambowska!

Pierwszą ofiarą tej sprzeczności okazało się, jak zwykle, stronictwo kadeckie. Musiało ono zmienić uzbrojenie w ciągu 24 godzin i od patriotycznego wyskakiwania naprzód przejść do opozycyjnego ataku z tyłu. To samo zgóry już całkowicie określało charakter „ataku“. Szyngarew starannie podkreślał, że przymusowe wywłaszczenie według sprawiedliwego szacunku nie sprzeciwia się interesom obszarników. Jeszcze jaskrawiej wyraził tę myśl kadet-obszarnik Berezowski. „To, co proponowaliśmy, — usprawiedliwia się Milukow — było ostatnią opoką, jedyną tamą, zdolną do powstrzymania potoku“. Dalej zapewniał, że w czasie rokowań kadetów z kamarylą „sama kwestja przymusowego wywłaszczenia była jeszcze (na dworze) wątpliwą, co mogę poświadczyć osobiście“. Temu jednak zaprzeczano. St. Pietierburgskija Wiedomosti, pisząc o poufnej rozmowie Milukowa ze zmarłym hr. Ignatjewem w osobnym gabinecie restauracji „Donon“, zgadzały się tylko upatrywać w tym wielkie zmieszanie rządu wobec Aładjinów i Anikinów, lecz w żadnym razie gotowość do przymusowego wywłaszczenia. Nowoje Wremia twierdziło wprost, że „układy przedwstępne wykazały, iż menerzy kadeccy gotowi są zrezygnować z przymusowego wywłaszczenia wzajemian za teki ministerjalne“ (Nr. 11725). Kto i do jakiego stopnia kłamie w tej polemice o rzeczy minione, niełatwo rozstrzygnąć. Zresztą dla terażniejszości rzecz to obojętna: i tak żaden z kadetów nie bierze dziś na serjo własnego swego programu rolnego w całej jego rozciągłości.

Mimo to widmo czarnoziemne znów opanowało na czas pewien świadomość liberalizmu i wydarło z jego ust słowa w duchu tak łajanej przez kadetów „demagogji wiecowej“. Sam Milukow, który w ciągu ostatniego roku ostatecznie zgłębił sztukę zmieniania taktyki opozycyjnej w kolistą drogę lokajstwa politycznego, zawinił natychmiast podszczuwaniem i podburzaniem stanów, gdy wszedł w przesyconą elektrycznością atmosferę kwestji rolnej: wystarczyło, że opowiedział dzieje polityczne ustawy 22 listopada! Jakkolwiek starał się sprowadzić państwowo-stanową politykę szlachty do intryg dworsko-koteryjnych („nie szlachta wogóle, lecz Rada Zjednoczonej Szlachty“!), zgrupowane przezeń fakty wzniosły się ponad własną jego ograniczoność i objawiły swój wewnętrzny głęboko-rewolucyjny sens moralny...

„Zdarzenia 4 sierpnia („zrzeczenie się“ przywilejów feudalnych przez szlachtę francuską) — mówi Tocqueville — były wynikiem

obawy i entuzjazmu, skombinowanych w stosunku, który nie da się określić“. Uczucia, które uzewnętrzniły się w przemówieniach obszarników z powodu ukazu 22 listopada, są daleko wyraźniejsze i jednolitsze: mamy tu niepokromioną chciwość napoły z mściwą złością za strach lat ostatnich. Zgrzytanie zębów naprzemian ze zjadliwie żółdkowym rzechotem! I — fakt uderzający, chociaż psychologicznie zupełnie zrozumiały! — z najzażartszą nienawiścią dzisiejsi panowie sytuacji rzucają się na najmniej zaciętych swych wrogów: na kadetów. Przecież ci uznają tę samą zasadę własności prywatnej i wyzysku większości przez mniejszość, co i blok październikowoprawicowy — a tymczasem w swej walce o wpływ polityczny co pewien czas igrają trochę z ogniem!

Dumski blok posiadających i przysługi Koła.

„Wszelkiego rodzaju starożytność — mówił referent Szydłowski — dobra jest w czym chcecie: dobra w zabytkach, dobra w sztuce; ale jest niedopuszczalna i niemożliwa w żadnych organizacjach ekonomicznych“. Uznania tej prawdy burżuazja kapitalistyczna żąda od pańszczyźnianej szlachty, pozostawiając wzamian w jej rękę aparat państwowy i gwarantując nietykalność jej posiadłości ziemskich. Władza pozostaje w rękach szlachty i biurokracji; lecz treść panowania musi się liczyć z elementarnymi potrzebami rozwoju kapitalistycznego. Idea ta (bynajmniej nie samoistna, bo jak czerwona nić przechodząca przez całą historję europejską XIX stulecia) leży u podstawy zarówno ordynacji wyborczej 16 czerwca, jak ukazu 22 listopada. Jakby dla nadania jej szczególnej wyrazistości równolegle z obradami trzeciej Dumy nad kwestją rolną odbywały się prace obszarniczo-urzędniczej „rady do spraw gospodarstwa miejscowego“, która roztrząsa stołypinowską reformę administracji, rozszerzającą funkcje gubernatora i stwarzającą nowy urząd naczelnika powiatu, „na który pierwszemi kandydatami są powiatowi marszałkowie szlachty“. W ten sposób przewaga polityczna szlachty, zapoczątkowana już od pierwszych kroków kontrrewolucji, rośnie i wzmaga się dalej, przybierając charakter planowo zorganizowany.

W warunkach wzajemnego przystosowania szlachty i burżuazji kapitalistycznej, jak zawsze, na zasadach subordynacji nie koordynacji politycznej, ukaz 22 listopada jest jedyną możliwą próbą „rozwiązania“ kwestji rolnej. Pozostawia on nienaruszonymi latyfundja szlacheckie, ogłaszając za przesąd „wiarę w przestrzeń“ (Szydłowski), t. j. chłopską wiarę w szlacheckie „przestrzenie“, wyzwała ziemię ukazową i jej pracownika z pęt wspólnoty rolnej i rzuca oboje na rynek. Oddzielenie producenta od warunków produkcji zawsze było i jest niezbędną przesłanką i nieuniknionym rezultatem rozwoju kapitalistycznego, a ustawa 22 listopada w całej swej rozciągłości idzie ku temu procesowi, stwarzając możność prawną wciągnięcia dziesiątków milionów dziesięcin ziemi włościańskiej do obiegu towarowego kraju. Reakcyoniści pańszczyźniani wydali październikowcom wspólnotę prawie bez walki. Przyczynę tego

wskazał nietylko socjaldemokrata Gegeczkori, gdy zauważył, że „ustawa 22 listopada posłużyć ma do zniweczenia solidarności włościańskiej, wykazanej w czasie rewolucji“, lecz i czarnosecinny biskup Mitrofan, który oświadczył, że stworzone przez społeczność uczucia wspólności i braterstwa w ostatnich czasach „wyzyskane zostały przez ludzi, którzy starają się rozsiewać wichrzemia wśród ludu“. Proletariat? „Bynajmniej się nie boję słowa „proletariat“, — mówi kurski reakcjonista Markow — w pewnej, nie nadmiernej (!) ilości proletariat potrzebny jest w przemyśle, potrzebny i w rolnictwie“.

Wysoce znamieny jest fakt, że stołypinowskie prawodawstwo rolne, umacniające kontrrewolucyjny sojusz kapitału i własności ziemskiej, ułatwiło zbliżenie się Koła Polskiego do większości Dumy. Kiedy październikowcy i prawicowi, zastraszeni wrażliwością swych włościan na argumenty dumskiej lewicy, postanowili włożyć jej kaganiec, ograniczając czas mowy do dziesięciu minut, otrzymali do swego rozporządzenia głosu Koła. Wraz z większością Dumy przedstawiciele agrarjuszów i kapitalistów polskich głosowali za przejściem do rozpraw nad poszczególnymi artykułami ustawy 22 listopada. Wreszcie wszystkie głosy Koła zyskał najważniejszy artykuł ustawy, automatycznie kasujący dawno już nie dzielone wspólnoty. Liberalna prasa rosyjska, która poza radykalno-opozycyjnymi gośćmi Koła za nic w świecie nie chciała dostrzec jego kontrrewolucyjnej natury klasowej, po tych głosowaniach szeroko otworzyła gębę ze zdumienia. Czyż nie frakcja p. Dmowskiego żądała w pierwszej Dumie miejsce na skrajnej lewicy? Czyż nie w imieniu tej frakcji p. Parczewski oświadczał w tej samej pierwszej Dumie: „Możemy nie podzielać tych poglądów (na własność gminną, wywłaszczenie przymusowe, nacjonalizację i t. p.), lecz musimy je szanować, bo uzasadnione są całym życiem ludu?“ (Sprawozd. stenogr., str. 980). Czyżby ta frakcja zdolna była stać się karjatydą porządku stołypinowsko-skałonowskiego? Czyżby? wykrzykują zdumieni prostaczkowie.

O zawartym porozumieniu pomiędzy Kołem a październikowcami i prawicą pierwszy otwarcie obwieścił w Moskwie Guczkow. Na interpelacje zaniepokojonych kadetów liderzy Koła odpowiedzieli zakłopotanym i niedorzecznym zaprzeczaniem. Wówczas Guczkow, rzekomo w celu zbiccia „fałszywych pogłosek“, a w gruncie rzeczy po to, by ostatecznie skompromitować posłów polskich i odciąć im wszystkie drogi do odwrotu, nietylko listem w Nowoje Wremia potwierdził w zasadzie wszystkie (już niepotrzebujące zresztą potwierdzenia) pogłoski o kontrakcie, lecz nawet wymienił jeden z głównych warunków tegoż: zaprowadzenie samorządu miejskiego i ziemskiego w Królestwie Polskim i ograniczenie żydowskiego przedstawicielstwa w miastach. W uzupełnieniu tego prasa kadecka oznajmiała, że w tece ministerjum leżały przygotowane „na wszelki wypadek“ dwa projekty praw: jeden — zapewniający ludności chrześcijańskiej przeważającą rolę w organach samorządu, drugi — oparty na zasadach „równouprawnienia“. Ale ponieważ „przedstawiciele ludności polskiej — że użyjemy słów listu guczkowskiego — przeszli widocznie

z dziedziny mrzonek na grunt polityki realnej“, przeto zwyciężył pierwszy projekt. W szczerym swym liście Guczkow rozsądnie zamilczał o warunkach ze strony bloku rządowego. Lecz warunki te rozumieją się same przez się. Obawy o zachowanie się prawicowych włościan w najważniejszej kwestji, stojącej na porządku dziennym, zmusiły paździenikowców do forsowania przyjaźni pomiędzy reakcją rosyjską a siłami reakcyjnymi Polski. I — zaiste pouczający obraz! — w czasie, gdy prawicowcy-włościanie, przeważnie z gubernji południowo-zachodnich, po dawnemu wypowiadali się za wywłaszczeniem polskich panów, przedstawiciele tych ostatnich, zrzuciwszy z siebie wszelkie szaty „narodowe“ i „opozycyjne“, przeprowadzali wspólnie ze swemi współbraćmi moskiewskimi wywłaszczenie gmin chłopskich z ziemi na rzecz lichwiarzy.

A jednocześnie bezlitosne pisma półurzędowe nietylko nie ułatwiają posłom polskim drogi do Canossy, lecz przeciwnie zasypują ją kolącemi igłami. „Nie ze słów, lecz z czynów sędzimy — surowo pisze stołypinowska Rossija — nie z poszczególnych objawów, lecz ze ściśle przemysłanej i sumiennie przyjętej linii wytycznej postępowania“. I ludzie p. Dmowskiego sumiennie doprowadzają swą „linję wytyczną“ do końca. Gdy hajducy Skałona robią rewizje w redakcjach Słowa, Kurjera Polskiego i Głosu Warszawskiego, Koło Polskie głosuje za usunięciem niepewnych żywiołów z armji i głosami swojemi daje przewagę paździenikowej formule votum zaufania dla rządu z powodu interpelacji o prowokacji wydziałów ochrany.

Może teraz, gdy nienasycone Nowoje Wremia żąda od frakcji polskiej coraz nowych dowodów miłości dla wszystkiego, co rosyjskie, Koło mogłoby — na znak szacunku dla literatury rosyjskiej! — wyrzeźbić nad wejściem do swego lokalu frakcyjnego w pałacu Taurydzkim bardzo wymowne słowa rosyjskiego poety:

Pochlebcy! pochlebcy! Umiejęcie zachować
W samym swym znikczemnienu odcień szlachetności!

Szanse dziejowe zarządzeń agrarnych kontrewolucji.

W ten sposób ze swych tendencji ustawa 22 listopada przedstawia niejako *contrat social* tych dwóch klas, które formalnie zyskały udział w prawodawstwie przez ustawę 16 czerwca. Lecz jakie są jej faktyczne zdobycze i możliwe skutki?

Towarzysz ministra Łykoszyn zaznaczył w Dumie, że do 28 października r. b. wypisało się 422 000 gospodarzy z 3 200 000 dziesiątynami ziemi. Ile jest wśród nich działów futorowych (t. j. nie tworzących szachownic), Łykoszyn wskazać nie mógł, lecz wedle wszystkich danych uczestki futorowe stanowią nikły procent. Cyfra Łykoszyna, sama w sobie dość imponująca, nie zadowoliła jednak ani komisji rolnej ani Dumy. Niedostateczne wyniki ustawy blok paździenikowo-prawicowy zupełnie zasadnie tłumaczy oporem, który społeczność stawia zakusom eksproprijacyjnym swoich członków. Istotnie dość powołać się na tę oko-

liczność, że z 44 000 zatwierdzeń 1907 roku tylko siedem tysięcy, t. j. niespełna 16% dokonało się za zgodą gminy. We wszystkich pozostałych wypadkach potrzeba było wdania się władz rządowych! Aby złamać opór „samowolnego tłumu“, Duma zdecydowała się na krok bohaterski: wszystkie spółnoty, w których nie było ogólnych podziałów w ciągu więcej niż 24 lat ogłosiła za skasowane. Nawet ministerjum Stołypina zawahało się wobec tego przymusowo-policyjnego zarządzenia, które dla procesu ekonomicznego ustanawia dowolny termin i w dodatku zupełnie świadomie ignoruje podziały prywatne (przejście działów od jednych rodzin do drugich), za pomocą których spółnota podtrzymywała swą wewnętrzną „równowagę“. Ileż spółnot podpada pod czysto mechaniczne działanie nowego prawa? Według obliczeń ideologa spółnoty Koczarowskiego — 17%, wedle zdania posła kadeckiego Szyngarewa — 24—28%, wreszcie według danych rządu — 51%! Cyfry te równie trudno sprawdzić, jak trudno będzie w praktyce położyć formalne granice stosowaniu nowej ustawy. Lecz faktem jest, że dziesiątki milionów włościan — od jednej czwartej do jednej drugiej ogólnej ich liczby! — za jednym głosem dumskim zmieniają się z gminnych współposiadaczy w zagrodowych właścicieli swych szachowniczych działek.

Nie dość na tym. Gdy wprowadzony przez Dumę nowy artykuł, zamiast tworzyć ramy prawne dla likwidacji prawa gminnego, wywłaszcza je przymusowo na rzecz prawa zagrodowego, jednocześnie drugi artykuł ustawy 22 listopada niemniej dowolnie wywłaszcza prawo rodzinno-zagrodowe na rzecz prawa jednostkowego. Nie bacząc na to, że zagrody włościańskie otrzymały ziemię w stosunku do liczby „dusz“, przypisany udziałem ustawa ogłasza za własność głowy rodziny. Własność rodzinną, jako niemieszczącą się w ramach praw cywilnych, ustawa ogłasza za nieistniejącą i wywłaszcza dzieci na rzecz ojca.

Stołypinowska ustawa w pierwotnej swej redakcji opierała się na dążnościach odśrodkowych w łonie spółnot, zmierzając do zrealizowania tych dążności na wyłączną korzyść „krzepkich i silnych“. Przeszedzszy przez Dumę ustawa zyskała artykuł, który mechanicznie rozdrabnia dziesiątki tysięcy spółnot, niezależnie od stopnia i charakteru wewnętrznego ich rozkładu. Zrywając z własności włościańskiej regulator gminny; przypisując udziały zagrodowe przy ich straszliwym rozdrobieniu i szachownicach; potęgując przez to wszelkie uciążliwe strony wzajemnej zależności gospodarstw włościańskich i bynajmniej nie zmniejszając ich małorolności; wreszcie za jednym zamachem przelewając nieograniczone prawo własności tych szachowniczych udziałów na głowy rodzin, — ustawa 22 listopada, przepuszczona przez laboratorjum prawodawcze 16 czerwca, szeroko otworzyła drzwi „zaokrągłaniu“ działek na jednym biegunie wsi i beładnemu wyzucaniu się z ziemi na drugim.

„Ziemia popłynie — rzekł w Dumie czarnosecinny poseł Obrazcow, który wygłosił jedno z najlepszych przemówień w czasie obrad rolnych, — popłynie straszliwym potokiem do rąk lichwiarzy i za kilka lat, może za dwa trzy lata, będziemy mieli już niemniej

niż 20 000 000 bezrolnego proletariatu wiejskiego... Przyjdą one (te miliony) i powiedzą: „Jeżeli nasza własność okazała się nie świętą lecz tykalną, to czyż teraz własność będzie święta i nietykalna?“ Obawa tej perspektywy zmusiła rząd już w czasie rozpraw dumskich do wniesienia bezsensownej poprawki do własnej ustawy, zabraniającej skupowania w obrębie jednej gminy więcej niż 25 diesiatyn: jak gdyby wyminięcie tego ograniczenia mogło przedstawić poważniejsze trudności!

Przepowiednię Obrazcowa podyktowała mu bez wątpienia przenikliwość kontrrewolucyjna. Gdyby miał większe wykształcenie, mógłby się powołać na to, że likwidacja władania gminnego zawsze, nawet przy warunkach pomyślniejszych dla klas panujących, była procesem bolesnym i niejednokrotnie powodowała burzliwe rozruchy włościaństwa. W Anglii uzurpacja ziem gminnych, rozpoczęta u schyłku XV wieku, rozwija się w szczególnie szybkim tempie w ciągu wieku XVIII dzięki ustawie o ogradzaniu gruntów gminnych. Równoległe do tego toczyła się katowska walka państwa z żebrakami, złodziejami i włóczęgami (batogi, piętnowania, tortury, stracenia), uzupełniana przez kajdaniarsko-dobroczynne zarządzenia „dla dobra“ pauprów. W elektorstwie Saskim rozgrabienie gruntów gminnych wywołało w roku 1790 masowe powstania włościańskie. Lecz najciekawsze argumenty mógłby Obrazcow wyciągnąć z dziejów rewolucji francuskiej. 14 sierpnia roku 1792, t. j. w tym krytycznym okresie, gdy monarchja już upadła, lecz republiki jeszcze nie ustanowiono, dekret Zgromadzenia Prawodawczego nakazał podział gruntów gminnych. Wspólnie z późniejszymi zarządzeniami Konwencji dekret 14-go sierpnia był jedną z przyczyn rozpaczliwego powstania w Wandei i Calvados. 9 czerwca roku 1796, t. j. już po pierwszych stanowczych tryumfach kontrrewolucji, podział wspólnot wstrzymano, a 21 maja roku 1797 — zakazano. Na pierwszy rzut oka u nas wypadki rozwijają się w kierunku wprost przeciwnym: ustawa o podziale spółnot jest pierwszą rozległą reformą rządu zwycięskiej kontrrewolucji, gdy tymczasem walkę z tą ustawą prowadzą partje rewolucji. Lecz rzeczywiste znaczenie wewnętrzne tego procesu zgoła jest odmienne. Za pomocą zarządzeń i metod kontrrewolucji Stołypin chce przeprowadzić reformę, odziedziczoną przezeń po rewolucji, która nie dokonała swych zadań, podobnie jak np. Bismark za pomocą dział i szabel pruskich dokonywał zjednoczenia Niemiec, nieosiągniętego przez rewolucję 48 roku. Samo w sobie rozpadnięcie spółnoty, znajdującej się na różnych szczeblach wewnętrznego rozkładu, jest nieuniknione, — zwycięska rewolucja niewątpliwie musiałaby również otworzyć szerokie ujście siłom odśrodkowym wśród włościaństwa. Dla zaznaczenia tego stanowiska nasza frakcja dumską wypracowała nawet osobny projekt prawa o warunkach wyjścia ze spółnoty. Lecz w warunkach zwycięskiej rewolucji, która oznacza: wywłaszczenie szlachty, uwolnienie włościaństwa od nienasyconego systemu fiskalnego, demokrację, szybki wzrost indywidualności włościanina, jego poziomu wykształcenia i inicjatywy gospodarczej, wreszcie po- tężny rozwój przemysłu, — w tych warunkach osobiste i gospodarcze

pierwiastki rozkładu spółnoty względnie bezboleśnie byłyby pochłaniane przez nowe formacje produkcyjne wyższego typu ekonomicznego. Pomyślnie te warunki nie zahamowałyby, jak spodziewają się narodnicy, lecz przeciwnie bardzoby przyśpieszyły rozpadnięcie gminnego użytkowania z roli. Lecz zupełnie inaczej rzecz się ma z Rosją dzisiejszą. Gdyby Stołypin — że przypuścimy rzecz niemożliwą! — przyjął opracowane przez naszą frakcję normy wychodzenia ze spółnoty i wyrzekł się wszelkiego nacisku na spółnotę zzewnątrz, jego ustawa dałaby minimalny wynik. Znaczyłoby to podkopywać dzieciną łopatką podstawy rewolucji rolnej. Właśnie dlatego, że wieś pozostaje w całej swej przedrewolucyjnej ciasnocie rolnej; właśnie dlatego, że carat i militarizm po dawnemu dławią chłopą; właśnie dlatego, że siły wytwórcze przy takich warunkach rozwijają się bardzo tępo, a miejscami chylą się do upadku, — właśnie dlatego Stołypin nie może w stosunku do spółnoty trzymać się polityki *laissez passer*; właśnie dlatego musi on konserwatywnej prężności spółnoty przeciwstawić państwową przemoc w postaci naczelnika ziemskiego, zarządu gubernjalnego i stojących po za niemi secin kozackich. Aby w najkrótszym czasie wyłusknąć ze zrujnowanej spółnoty znaczną warstwę „krzepkich“ i „silnych“, potrzeba bezlitosnych środków cięcia cesarskiego. I Duma 16 czerwca ciekawą swą poprawką do ustawy 22 listopada zupełnie nago wypowiedziała tę myśl, że żadne, nawet najodważniejsze środki administracyjno-akuszeryjne nie wystarczą tam, gdzie trzeba bez zwłoki rozpruć spółnotę brzuch. Jeśli praca ta rozwinie się z powodzeniem, na bruki miejskie, na drogi wielkie i boczne wyrzucone będą miljony bezrolnych i bezrobotnych. Logika zarządzeń kontrewolucyjnych zgóry pozostawia tę armję „słabych“ i „zbytecznych“ wspólnemu oddziaływaniu alkoholu, zarazy, głodu i szubienic. Logika rewolucji żąda wniesienia do tych zastępów świadomości politycznej w imię najrozpaczliwszego odporu, ponieważ idzie o śmierć i życie. Jaka strona — i w jakim stopniu — zwycięży w tym procesie dziejowym? Tego przewidzieć niepodobna. Tylko walka może dać odpowiedź. A treść tej odpowiedzi nie w ostatniej linii zależeć będzie od nas samych: od czynności, zdecydowania i jednomyślności naszej partji.

Kwestja narodowościowa i autonomia.

Napisała Róża Luxemburg.

5. Narodowość i autonomia¹⁾.

I.

Kapitalizm przetwarza byt i formy społeczne od podstaw materialnych aż do szczytu — form duchowych. Wytwarza on cały szereg zupełnie nowych zjawisk ekonomicznych: wielki przemysł, produkcję maszynową, proletaryzację, koncentrację własności, kryzysy przemysłowe, syndykaty kapitalistyczne, nowoczesny przemysł domowy, pracę kobiet i dzieci itd. itd. Ale jednocześnie w związku z tym stwarza on całą nową kulturę duchową. Kapitalizm wytworzył nowy ośrodek życia społecznego — wielkie miasto i zarazem nową warstwę społeczną: inteligencję zawodową. Kapitalistyczna gospodarka ze swoim wysoce rozwiniętym podziałem pracy i bezustannym postępem techniki potrzebuje specjalnego licznego sztabu najemników o wykształceniu technicznym: inżynierów, chemików, budowniczych, elektrotechników itd. Przemysł i handel kapitalistyczny potrzebują całej armji prawników: adwokatów, rejentów, sędziów itd. Burżuazyjna gospodarka społeczna, zwłaszcza wielkomięjska, uczyniła zdrowotność sprawą publiczną i wytworzyła na jej usługi liczne szeregi lekarzy, farmaceutów, akuserek, dentystów oraz szpitale publiczne z odpowiednim sztabem służby. Wytwarzanie kapitalistyczne wymaga nie tylko specjalnie wykształconych kierowników produkcji, ale i powszechnej elementarnej oświaty ludowej, zarówno dla ogólnego podniesienia poziomu kulturalnego ludności, stwarzającego coraz większe potrzeby, a zatem popyt na artykuły masowe, jak i dla wyrobienia odpowiednio oświeconego i inteligentnego robotnika, zdolnego do obsługi wielkoprzemysłowego procesu produkcji. Stąd dla społeczeństwa burżuazyjnego niezbędna jest wszędzie oświata ludowa i wykształcenie zawodowe, a co za tym idzie szkoły publiczne i liczny zastęp nauczycieli ludowych, średnich i wyższych, biblioteki, czytelnie itd.

Kapitalistyczne wytwarzanie, stosunki rynku wszechświatowego niemożliwe są bez odpowiednio rozległej, szybkiej i nieustannej komunikacji — materialnej i duchowej. Burżuazyjne społeczeństwo stworzyło też z jednej strony koleje żelazne, nowoczesną pocztę i telegraf, a z drugiej — opartą na tych materialnych podstawach prasę perjodyczną, ten całkiem nieznanym przedtym objaw społeczny. Na usługi zaś prasy i wraz z nią powstała w społeczeństwie burżuazyjnym liczna kategoria dziennikarzy i publicystów zawodowych. Kapitalizm uczynił wszelki objaw energii ludzkiej, w tej liczbie i twórczość artystyczną, przedmiotem handlu, a z drugiej strony,

¹⁾ Omyłka zecerska wkradła się do poprzedniego rozdziału niniejszej pracy. W „P. S.“ Nr. 8–9 na str. 706 wiersz 13-ty od góry czytać należy: Słaba gmina bezstanowa, zdławiona przez władze rządowe, jest jedynym śladem itd.

uprzystępniając przez produkcję masową przedmioty sztuki szerokim kołom ludności, uczynił sztukę potrzebą codzienną społeczeństwa — przynajmniej miejskiego. Teatr, muzyka, malarstwo, rzeźba, będące za czasów gospodarki naturalnej monopolem i zbytkiem prywatnym pojedynczych możnych mecenasów, są w społeczeństwie burżuazyjnym instytucją publiczną i częścią normalnego życia codziennego ludności miejskiej. Robotnik spożywa duchowo kuplety w szynku lub „ogródka“ i nędzne ilustracje książkowe oraz przystraja swą osobę i swe mieszkanie w tandetę artystyczną, podczas gdy burżuazja ma na swe potrzeby filharmonje, pierwszorzędne teatry, dzieła gienjuszu i przedmioty wykwintu. Ale jedna i druga konsumpcja wywołuje całą liczną klasę artystów i producentów artystycznych.

W ten sposób kapitalizm tworzy całą nową kulturę duchową: oświatę publiczną, rozkwit nauki, dziennikarstwo, publicystykę, osobliwie nacechowaną sztukę. Nie są to wszakże mechaniczne tylko przydatki do gołego procesu produkcji ani mechanicznie rozerwane, martwe części. Duchowa kultura burżuazyjnego społeczeństwa stanowi sama w sobie całość żywą i do pewnego stopnia samoistną. Społeczeństwo to potrzebuje dla swego istnienia i rozwoju nie tylko pewnych warunków wytwarzania, wymiany i komunikacji, ale też samo stwarza na gruncie przeciwieństw klasowych pewne stosunki duchowe. Jeżeli naturalnym wytworem gospodarki kapitalistycznej jest walka klas, to naturalną jej potrzebą są warunki, które tę walkę klas umożliwiają, ztym nie tylko nowożytnie formy prawnopañstwowe, demokracja, parlamentaryzm, ale i to otwarte życie publiczne, z otwartą wymianą zdań i szermierką przekonań, intensywne życie duchowe, które walkę klas i partji czynią dopiero możebną. Oświata ludowa, dziennikarstwo, nauka, sztuka, wyrastające w pierwszej linji na gruncie kapitalistycznego sposobu wytwarzania, stają się same przez się potrzebą niezbędną i warunkiem istnienia w dzisiejszym społeczeństwie. Szkoła, biblioteka, gazeta, teatr, odczyt publiczny, dyskusja publiczna stają się normalnymi warunkami życia, niezbędną atmosferą duchową członka społeczeństwa współczesnego, mianowicie ludności miejskiej, już i poza związkiem tych zjawisk z ekonomicznymi stosunkami. Słowem ordynarny proces materialny kapitalizmu wytwarza całą nową „nadbudowę“ ideologiczną o samoistnym do pewnego stopnia bycie i rozwoju.

Ale tę kulturę duchową kapitalizm tworzy nie w powietrzu ani w teoretycznej pustce abstrakcji, tylko na określonym terytorjum, w określonym środowisku społecznym, w określonym języku, na gruncie pewnych tradycji, słowem w określonych formach narodowych. Ztym wyodrębnia on przez tę samą kulturę duchową pewne terytorjum i pewną ludność w całość kulturalno-narodową, w której stwarza specjalną ściślejszą spoiistość i związek interesów duchowych.

Wszelka ideologia jest w gruncie rzeczy tylko nadbudową stosunków materialnych i klasowych danej epoki. Ale jednocześnie ideologia każdej epoki nawiązuje przede wszystkim do ideologicznych rezultatów epok poprzednich, a z drugiej strony ma swój własny

rozwój logiczny na pewnej przestrzeni. Ilustruje to historia nauk ścisłych, zarówno jak religii, filozofji i sztuki.

Kultura duchowa, wytwarzana przez kapitalizm w danym środowisku, przyjmuje nietylko cechę narodową przez główny organ produkcji duchowej: język, ale zespała ona się z tradycyjną kulturą społeczeństwa, z jego historją, przesyca jego odrębnymi cechami duchowemi, słowem staje się kulturą narodową o własnym, do pewnego stopnia odrębnym bycie i własnym rozwoju. Zasadnicze rysy i podstawy kultury nowoczesnej we wszystkich krajach burżuazyjnych są wspólne, międzynarodowe i tendencją społecznego rozwoju jest niewątpliwie coraz większa spólnota kultury międzynarodowej. Ale na tle tej wysoce kosmopolitycznej kultury burżuazyjnej wyróżnia się wyraźnie nowoczesna kultura francuska od angielskiej, niemiecka od holenderskiej, polska od rosyjskiej, jako tyleż odrębnych typów.

W rozwoju ideologii najmniej znać granice faz dziejowych i „szwy“ historyczne¹). Wskutek nawiązania i zespolenia nowożytnej, kapitalistycznej kultury duchowej z formacjami poprzednimi wytwarza się zupełna ciągłość i jednolitość kulturalno-narodowa, która powierzchownie nie zdradza żadnego związku z okresem gospodarki kapitalistycznej i panowania burżuazji. Dla frazesowicza Narodowej Demokracji lub bezmyślnego „socjologa“ socjalpatryjotyzmu kultura duchowa dzisiejszej Polski jest w rdzeniu swym tą samą niezmienną „kulturą narodu polskiego“, co za czasów Batorego lub Stanisława Augusta, a Straszewicz, Świętochowski i Sienkiewicz potomkami duchowemi w prostej linii Reja z Nagłowic, Imci Pana Paska i Mickiewicza. W rzeczywistości piśmiennictwo i prasa dzisiejszej Polski burżuazyjnej w jej przerażającej trywialności, jej nauka, jej cała kultura duchowa w tej nędzocie, która je charakteryzuje, są zupełnie nową historyczną formacją, nie mającą w istocie swej i treści społecznej nic wspólnego prócz form duchowych z dawną kulturą Polski szlacheckiej, której ostatnim zwierciadłem wiekopomnym jest Pan Tadeusz. Dzisiejsze polskie życie duchowe w całej swej ubożźnie jest wytworem nowożytnym tego samego rozwoju kapitalistycznego, który przykuł Polskę do Rosji i który postawił na czele społeczeństwa w roli klasy panującej hołotę różnoplemiennych robigraszów bez przeszłości, bez tradycji rewolucyjnej i zdrajców sprawy narodowej z powołania historycznego. Dzisiejsza burżuazyjna nauka, sztuka, publicystyka Polski są z ducha i treści hieroglifami ideologicznymi, z których historyk materialista odczytuje dzieje upadku Polski szlacheckiej, dzieje „pracy organicznej“, ugody, Narodowej Demokracji, deputacje, memorjały, aż do wyborów „narodowych“ do carskiej „Dumy“ pod stanem wojennym i „narodowych“ drużyn dla mordowania polskich robotników-socjalistów. Kapitalizm stworzył nowo-

¹) Wskutek tego tylko, mówiąc nawiasem, możliwe są np. takie historie filozofji, jak Zellera lub Kuno Fischera, w których rozwój „idei“ odbywa się całkiem w powietrzu bez związku z poziomymi dziejami społeczeństwa ludzkiego.

czesną polską kulturę narodową, unicestwiając w tym samym procesie polską niepodległość narodową.

Kapitalizm unicestwił polską niepodległość narodową, ale stworzył jednocześnie nowoczesną polską kulturę narodową. Ta kultura narodowa jest wytworem, niezbędnym na gruncie Polski burżuazyjnej, jej byt i rozwój są koniecznością historyczną, związaną z samym rozwojem kapitalistycznym. Rozwój kapitalizmu, który skuł Polskę z Rosją więzami ekonomiczno-społecznymi, podminował absolutyzm rosyjski, zszeregował i zrewolucjonizował rosyjski i polski proletariąt, jako klasę, powołaną do obalenia absolutyzmu, i w ten sposób przygotował i niezbędność i sposób urzeczywistnienia wolności politycznej w caracie. Ale na gruncie i na tle tej ogólnej tendencji do demokratyzacji państwa wyodrębnił on zarazem w ściślejszą grupę interesów życie ekonomiczno-społeczne i kulturalno-narodowe Królestwa Polskiego, przygotowując w ten sposób warunki obiektywne do urzeczywistnienia polskiej autonomii krajowej.

Wymagania ustroju kapitalistycznego prowadzą, jak widzieliśmy, z historyczną koniecznością we wszystkich państwach nowoczesnych do wytworzenia samorządu miejscowego w postaci udziału ludności w wykonywaniu funkcji społeczno-państwowych na wszystkich szczeblach, od gminy do obwodu i prowincji. Gdzie wszakże wewnątrz państwa nowoczesnego istnieją odrębne okręgi narodowościowe, stanowiące zarazem terytorja o pewnych odrębnościach ekonomiczno-społecznych, tam te same wymagania gospodarki burżuazyjnej czynią niezbędnym samorząd na najwyższym szczeblu, samorząd krajowy. Na tym szczeblu samorząd miejscowy przeradza się zarazem wskutek spółdziałania nowego czynnika, odrębności narodowo-kulturalnej, w specjalny typ urządzeń demokratycznych, zastosowalny tylko w zupełnie określonych warunkach.

Okręg przemysłowy Moskiewsko-Włodzimierski odróżnia się z pewnością niemniej od otaczających go przestrzeni państwa rosyjskiego wybitnym typem gospodarczym, odrębnością interesów miejscowych, skupieniem ludności, niż Królestwo Polskie. Wszakże czynnikiem, wyróżniającym kraj nasz od okręgu centralnego Rosji w stanowczy sposób, jest odrębność bytu kulturalno-narodowego, stwarzającego całą sferę odrębnych spólnych interesów, poza czysto gospodarczymi i społecznymi. I taksamo jak gmina miejska i wiejska, obwód, departament czy gubernja, prowincja czy okręg muszą mieć w duchu nowoczesnego samorządu pewien zakres prawodawstwa miejscowego, zakreślonego w ramach ustaw ogólnopaństwowych, taksamo samorząd krajowy w duchu demokracji musi się opierać na reprezentacji ludności i jej mocy prawodawstwa krajowego w ramach ustaw ogólnopaństwowych, dla zaspokojenia krajowych potrzeb ekonomiczno-społecznych oraz kulturalno-narodowych.

Cała nowoczesna kultura duchowa jest przedewszystkim kulturą klasową, burżuazyjną i drobnomieszczańską. Nauka i sztuka, szkoła i teatr, inteligienca zawodowa, prasa — wszystko to w pierwszej linii stoi dziś na usługi społeczeństwa burżuazyjnego, prześlągnięte jest jego zasadami, jego duchem, jego tendencją. Ale in-

stytucje burżuazyjnego ustroju, jak sam rozwój kapitalistyczny, są w duchu dialektyki historycznej zjawiskami dwoistemi, obosiecznymi: środki rozwoju i panowania klasowego burżuazji są zarazem tyłomaż środkami klasowego podźwignięcia się proletariatu do walki o emancypację, o zniesienie panowania burżuazyjnego. Wolność polityczna, parlamentaryzm są we wszystkich państwach dzisiejszych narzędziami spotęgowania kapitalizmu i interesów burżuazji, jako klasy panującej. Lecz te same urządzenia demokratyczne i parlamentaryzm burżuazyjny są niezbędną na pewnym stopniu i nieocenioną szkołą dojrzałości politycznej i klasowej proletariatu, warunkiem skupienia go w partję socjaldemokratyczną, wyrobienia go w otwartej walce klasowej.

Taksamo kultura duchowa. Szkoła ludowa, oświata elementarna potrzebne są społeczeństwu burżuazyjnemu przede wszystkim dla wytworzenia odpowiedniej konsumpcji masowej oraz odpowiedniego kontyngienu zdalnych „rąk roboczych“. Ale ta sama szkoła i oświata staje się pierwszą dźwignią duchową proletariatu jako klasy rewolucyjnej. Nauki społeczne, historyczne, filozoficzne, przyrodznawstwo są dziś przede wszystkim idelogicznymi wytworami burżuazji i wyrazami jej potrzeb i tendencji klasowych. Ale na pewnym stopniu swego rozwoju klasa robotnicza poznaje, że i dla niej „wiedza to potęga“, — nie w niesmacznym sensie burżuazyjnego indywidualizmu i jego kazań na temat o „pracowitości i pilności“ jako środkach zdobycia „szczęścia“, tylko w znaczeniu wiedzy, jako dźwigni walki klasowej, jako rewolucyjnej świadomości mas robotniczych. Prasa, dziennikarstwo — ten iście burżuazyjny płód kultury nowoczesnej — stają się same najpodatniejszym i niezbędnym narzędziem uświadomienia i walki klasowej proletariatu. Wreszcie socjalizm, łączący interes robotników jako klasy z rozwojem i przyszłością wszechludzkości, jako wielkiego bractwa kulturalnego, rodzi szczególne spokrewnienie walki proletariackiej z interesami kultury duchowej wogóle i sprawia to pozornie sprzeczne i paradoksalne zjawisko, że świadomy proletariąt jest dziś we wszystkich krajach najgorętszym i najbardziej idealistycznym obrońcą interesów nauki, sztuki, kultury duchowej, tej samej burżuazyjnej kultury, której sam dziś jest wydziedziczonym pasierbem.

Autonomia krajowa Królestwa Polskiego jest przede wszystkim potrzebą panowania klasowego polskiej burżuazji, panowania w formach rozwiniętych, umożliwiających tym bardziej niekrępowane i dokładne załatwianie interesów wyzysku i ucisku klasowego. Tak samo jak nowoczesne prawnopaństwowe urządzenia parlamentarne i, jako ich szczegół, instytucje samorządu miejscowego są niezbędnym na pewnym stopniu rozwoju narzędziem panowania burżuazyjnego i ścisłego dostrojenia wszystkich funkcji państwowych i społecznych do interesów burżuazji, tak samo w węższym zakresie autonomia krajowa jest niezbędnym narzędziem ścisłego zastosowania funkcji społecznych na pewnym terytorjum do specjalnych interesów burżuazyjnych tego terytorjum. Absolutyzm, który zabezpieczał najgrubszy, acz najważniejszy interes życiowy klas panujących, mianowicie bezgraniczny wyzysk ekonomiczny warstw pracujących, poświęcał zarazem z natury rzeczy swym własnym interesom i metodom dzia-

łania, t. j. traktował z azjatycką bezwzględnością wszystkie subtelniejsze interesy i formy panowania burżuazyjnego. Wolność polityczna i związana z nią autonomja dadzą dopiero możność burżuazji polskiej zużyć szereg zaniedbanych dziś funkcji społecznych: szkolnictwo, kult religijny i całe życie kulturalno-duchowe kraju w kierunku swych interesów klasowych, a przez obsadzenie wszystkich urzędów administracji, sądownictwa i policji spokrewnić rdzennie te z natury organy panowania klasowego z duchem i potrzebami krajowemi społeczeństwa burżuazyjnego, tj. uczynić z nich giętkie, dokładne i subtelne narzędzia polskich klas panujących. Autonomja krajowa, jako część ogólnopolskiej wolności politycznej, jest to słowem najdojrzała forma polityczna panowania burżuazyjnego w Polsce.

Atoli właśnie z tego względu autonomja jest niezbędną potrzebą klasową proletariatu polskiego. Im dojrzałe formy przybiera panowanie burżuazji, im dokładniej sięga ono do wszystkich funkcji społecznych i do rozgałęzionych dziedzin życia duchowego, tym szerszy teren i więcej punktów natarcia znajduje walka klasowa proletariatu. I im niekrepowaniej, sprawniej odbywa się rozwój społeczeństwa burżuazyjnego, tym raźniej i pewniej kroczy naprzód uświadomienie, dojrzałość polityczna i skupienie klasowe proletariatu.

Polski proletariat potrzebuje do swej walki klasowej wszystkich warunków kultury duchowej i przede wszystkim interesy jego, opierające się zasadniczo na solidarności narodów i do niej dążące, wymagają usunięcia ucisku narodowego, zatym dostarczanych przez rozwój społeczny gwarancji przeciw temu uciskowi. Następnie normalne, szerokie i niekrepowane życie duchowe kraju jest dla rozwinięcia walki klasowej proletariatu również niezbędne, jak dla bytu samego społeczeństwa burżuazyjnego. Stąd autonomja krajowa wyrasta tą samą drogą, co ogólny program polityczny proletariatu polskiego: obalenie absolutyzmu i urzeczywistnienie wolności politycznej w całym państwie, — jako szczegół tego programu, zarówno z tendencji postępowej rozwoju kapitalistycznego, jak z interesów klasowych proletariatu.

II.

Odrębność narodowa pewnego okręgu wewnątrz państwa nowoczesnego nie stanowi jeszcze sama przez się podstawy, wystarczającej dla autonomji krajowej, i ta strona kwestji prowadzi nas do bliższego rozpatrzenia narodowości w stosunku jej do nowoczesnego życia politycznego. Teoretycy nacjonalizmu rozpatrują zazwyczaj narodowość wogóle jako zjawisko przyrodzone, niezmienne, stojące poza rozwojem społecznym, zjawisko konserwatywne, opierające się wszelkim losom historycznym. Stosownie do tego poglądu nacjonalizm burżuazyjny upatruje główne źródła żywotności i siły narodowej nie w nowoczesnej formacji historycznej, kulturze miejskiej, burżuazyjnej, tylko przeciwnie w tradycyjnych formach bytu ludności wiejskiej. Masa chłopska ze swym konserwatywnym społecznym wydaje się romantikom nacjonalizmu jedyną prawdziwą ostoją kultury narodowej, niewzruszoną twierdzą odręb-

ności narodowej, skarbnicą właściwego gienjuszu i ducha narodowego. Gdy w połowie zeszłego stulecia począł kwitnąć w związku z budzącym się w polityce środkowej Europy prądem narodowym t. zw. folklorizm, zwrócił się on przedewszystkim do tradycyjnych form kultury chłopskiej, jako do skarbnicy, w której każdy naród składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“. Tak samo obecnie przebudzony w ostatnich czasach nacjonalizm litewski, białoruski, ukraiński opiera się całkowicie na ludności wiejskiej i jej zachowawczych formach bytu, rozpoczynając znamienym sposobem uprawę tej* odwiecznej a dziewiczej niwy narodowej od szerzenia elementarzy i — pisma świętego w narodowym języku i narodowej pisowni. Również polska Demokracja Narodowa, wiedzona nieomylnym instynktem swej reakcyjnej istoty wewnętrznej, zwróciła od pierwszej chwili swego istnienia, już w fazie pseudosocjalistycznej i pseudorewolucyjnej „Głosu“ warszawskiego, pod koniec lat osiemdziesiątych, swe szczególne sympatje narodowe do ludu wiejskiego, harmonijnie ożenione z antisemickim wstrętem do miejskiej burżuazji. Wreszcie taksamo najnowszy prąd „narodowców“ polskich w Prusiech, stronnictwo pp. Korfatego i Ski, opiera się głównie na zachowawczości wiejskiej ludności Górnego Śląska, wyzyskiwanej jako podstawa dla ekonomicznej i politycznej kariery przez reakcyjne drobnomieszczactwo polskie.

Z drugiej strony zagadnienie, jakie warstwy społeczne stanowią właściwy rdzeń kultury narodowej, wywołało niedawno interesującą wymianę zdań w obozie socjaldemokracji.

W przytaczanej przez nas już kilkakrotnie rozprawie o „kwestji narodowościowej“ Karol Kautsky, krytykując dzieło austriackiego publicysty partyjnego, Ottona Bauera, na ten sam temat, powiada:

„Różnice klasowe prowadzą Bauera do paradoksalnego zdania, że tylko te części narodu naród stanowią, które biorą udział w kulturze, dotąd więc tylko klasy panujące i wyzyskujące“.

„W epoce Stauferów — pisze Bauer — naród istniał jedynie w spólnocie kulturalnej rycerstwa... Jednolity charakter narodowy, zrodzony przez tę jednolitość wpływów kulturalnych, był tylko charakterem jednej klasy narodu... Chłop nie uczestniczył w niczym, co łączyło naród... Toteż chłopci niemieccy nie stanowią wcale narodu, tylko osadników (Hintersassen) narodu. — W społeczeństwie, opartym na prywatnej własności narzędzi pracy, naród stanowią klasy panujące — ongi rycerstwo, dziś wykształceni (die Gebildeten), jako spólnota ludzi, w których jednakowe, przez dzieje narodu uformowane wykształcenie, przy pomocy wspólnego języka i narodowego wychowania urabia spokrewnienie charakterów. Szerokie masy ludowe natomiast nie stanowią narodu“).

Podług Bauera dopiero ustrój socjalistyczny, czyniąc masy ludu pracującego uczestnikami całokształtu kultury duchowej, unarodowi te masy. Na te wywody odpowiada Kautsky:

„Jest to bardzo subtelna myśl z bardzo słusznym jądrem, ale w kwestji narodowościowej prowadzi ona na fałszywą drogę, gdyż ujmuje pojęcie naród w taki sposób, że czyni wprost niemożliwym zrozumienie siły narodowej myśli we wszystkich klasach w t e r a ż-

1] Otto Bauer, Die Nationalitaetenfrage u. die Sozialdemokratie. Wien 1907. Str. 49,

niejszości oraz podstaw dzisiejszych przeciwieństw narodowych całych narodów. Bauer staje tu w sprzeczności z obserwacją, uczynioną przez Rennera¹⁾, że właśnie chłop jest przechowawcą narodowości. Renner pokazuje nam, że w Austrii (włącznie z Węgrami) w ciągu ostatniego stulecia cały szereg miast zmienił swą narodowość. Z niemieckich stały się one węgierskimi lub czeskiemi. Inne znowu niemieckie miasta, jak mianowicie Wiedeń, pochłonęły ogromny przyływ obcych narodowości i zasymilowały go z niemieckim narodem. Natomiast na wsi granice językowe prawie się wcale nie przesunęły. Istotnie, w większych miastach Austrii proces germanizacji dopiął swego celu; na początku dziewiętnastego stulecia, wszystkie one były niemieckimi miastami, za wyjątkiem najwyższej Galicji, Kroacji i ziem włoskich. Kto natomiast pozostał narodowym, to ludność chłopska, o nią rozbiły się tendencje uczynienia Austrii państwem narodowym. Chłop trzyma się mocno swej narodowości, jak wszelkiej tradycji, podczas gdy mieszkaniec miasta, mianowicie wykształcony, daleko łatwiej się asymiluje²⁾.

W dalszym przebiegu swej rozprawy Kautsky sam zmuszony jest powyższe swe wywody znacznie skorygować. Rozpatrując bliżej podstawy nowoczesnych ruchów narodowych, wskazuje on, że właśnie rozwój burżuazyjny, powołujący do istnienia nową warstwę społeczną, inteligencję zawodową, stwarza w jej postaci główny czynnik społecznej idei narodowej i filar życia narodowego. Wprawdzie ten sam rozwój wiedzie zarazem życie społeczne i kulturalne narodowości dzisiejszych i mianowicie inteligencji na tory międzynarodowe i z tego stanowiska Kautsky słusznie odwraca perspektywy, naszkicowane przez Bauera, wyjaśniając, że dziełem wielkiej reformy socjalistycznej w przyszłości będzie nie unarodowienie t. j. wyodrębnienie narodowościowe mas pracujących, lecz przeciwnie utworzenie drogi jednej powszechnej międzynarodowej kulturze, w której zanikną odrębne narodowości, jako zjawiska przejściowe historycznego rozwoju. W stosunkach jednak terażniejszości rola żywiołu miejskiego, dokładnie mówiąc burżuazyjnego, dla losów narodowości jest decydującą. Jeśli Kautsky zgodnie z Rennerem wskazuje na cały szereg zgermanizowanych na początku zeszłego stulecia miast słowiańskich w monarchji habsburskiej jako na przykład nieoporności narodowościowej żywiołu miejskiego, to fakty te mogą służyć właściwie li tylko za ilustrację dla drobnomieszczańskich stosunków z ery przedkapitalistycznej, jakie niezaprzeczenie cechowały życie miejskie w krajach słowiańskich Austrii na początku XIX w. Dalszy przebieg wypadków, wyraźny zwrot tych samych miast do własnej narodowości w ostatnich kilku dziesięcioleciach, który stwierdzają tenże Kautsky i Renner, jest natomiast dobitnym przykładem, jak dalece dopiero powstanie własnego rozwoju burżuazyjnego w kraju, z własnym przemysłem, własnym życiem wielkomiejskim, własną burżuazją „narodową“ i własną inteligencją, jak to np. miało miejsce w Czechach, może stanowić

¹⁾ Również austriacki publicysta socjaldemokratyczny, który pod pseudonimem Springera napisał parę dzieł o kwestji narodowościowej w Austrii, *Der Kampf der oesterreichischer Nationen um den Staat, 1902; Crundlagen und Entwicklungsziele der oesterreichisch-ungarischen Monarchie, 1906.*

²⁾ Kautsky, *Nationalität u. Internationalität*, str. 3, 4.

podstawę dla odpornej polityki narodowościowej i związanego z nią czynnego życia politycznego.

Znaczenie żywiołu chłopskiego dla losów narodowości jest o tyle słuszne, o ile chodzi o całkiem bierne zachowanie odrębności narodowych w znaczeniu etnicznym: mowy, obyczajów, strojów, a także, zazwyczaj w ścisłym z tym związku, pewnego wyznania. Konserwatyzm życia chłopskiego daje możliwość przechowania narodowości w tych wązkich ramach i oparcia się wszelkiej polityce wynarodawiania przez całe wieki, nie bacząc ani na bezwzględność metod ani na wyższość kulturalną nacierającej obcej narodowości. Dowodem tego przechowanie się mowy i typu narodowego wśród szczepów południowo-słowiańskich Turcji, Węgier, przechowanie się odrębności Białorusinów, Litwinów, Rusinów w państwie rosyjskim, Mazurów i Litwinów we wschodnich Prusiech, Polaków na Górnym Śląsku i t. d.

Atoli zakonserwowana w ten tradycyjnie-chłopski sposób kultura narodowa niezdolna jest grać roli pierwiastka czynnego w społecznym życiu polityczno-społecznym właśnie dlatego, że jest całkowicie owocem tradycji, że tkwi korzeniami w stosunkach minionych, że, mówiąc słowami Marxa, stan chłopski stoi w dzisiejszym społeczeństwie burżuazyjnym poza kulturą, stanowi raczej wrośnięty w tę kulturę „kawał barbarzyństwa“. Parcela chłopska, jako „Placówka“ narodowa, jest to zawsze i zgóry już kultura barbarzyństwa społecznego, podstawa wstecznictwa politycznego, skazana na zagładę przez rozwój dziejowy. Żaden poważny ruch polityczno-narodowy w dzisiejszych warunkach nie jest możliwy na podstawie jedynie narodowej chłopskiej. I dopiero o ile promotorami ruchu narodowego stają się dzisiejsze klasy miejskie: burżuazja, drobnomieszczaństwo i inteligencja burżuazyjna, o tyle daje się wytworzyć w pewnych określonych warunkach ów pozorny fenomen przeciwieństw narodowych i aspiracji narodowych „całych narodów“, o jakich mówi Kautsky. Przechodząc w szczególności do kwestji samorządu narodowościowego czyli autonomji, tylko ze stanowiska burżuazyjnego nacjonalizmu każda „narodowość“ jest jednakowo podatnym materiałem i stosowną podstawą do urzędzeń autonomicznych. Pogląd taki rozróżnia w autonomji jedynie pewne gwarancje kulturalno-narodowe, to jest ujmuje autonomję ze strony negatywnej i czysto ideologicznej, jako pewną minimalną formę „wolności“ narodowej, przeocząc w niej zgoła tę pozytywną zawartość społeczną, tę specyficzną funkcję historyczną, która stanowi rdzeń autonomji nowoczesnej w odróżnieniu od partykularyzmu średniowiecznego. O ile natomiast przenosimy pojęcie autonomji z tego utopijno-ideologicznego gruntu na grunt historyczny i rozpatrujemy ją jako specyficzny niezbędny wynik kapitalistycznej gospodarki w pewnym środowisku, jako formę zaspokojenia pewnych funkcji społecznych — materialnych i duchowych, — wynikających z potrzeb burżuazyjnego społeczeństwa i jego demokratycznego rozwoju, o tyle funkcje autonomji krajowej na gruncie nowoczesnego państwa konstytucyjnego są nierozzerwalnie związane, jak cały rozwój polityczny tego państwa, z formami nowoczesnego życia burżuazyj-

nego. Ośrodkiem jej, jak i państwa nowoczesnego wogóle, jest wielkie miasto, dzwignią polityczną klasa burżuazyjna, nieodłącznym środowiskiem — nowoczesna inteligencja burżuazyjna, życie literackie, dziennikarskie, nauka i sztuka.

Nowożytna zatem autonomia krajowa w znaczeniu samorządu pewnego terytorjum narodowościowego jest możliwa tylko tam, gdzie narodowość odnośna posiada własny rozwój burżuazyjny, własne życie miejskie, własną inteligencję, własne życie literackie i naukowe. Wszystkim tym warunkom odpowiada Królestwo Polskie. Ludność jego jest narodowościowo jednolita, ponieważ żywiol polski ma stanowczą ogromną przewagę nad innymi narodowościami na całym przestrzeni kraju, z wyjątkiem gub. Suwalskiej, w której przeważają Litwini. Z ogólnej liczby ludności 9402253, Polacy stanowią 6755503, z pozostałych zaś narodowości Żydzi i Niemcy są głównie skupieni po miastach, gdzie wszakże nie reprezentują obcej inteligencji burżuazyjnej, lecz przeciwnie, są znacznie zasymilowani przez życie kulturalne polskie, Rosjanie zaś, z wyjątkiem Lubelskiego i Siedleckiego, reprezentują głównie obcy społeczeństwu żywiol napływowy czynownictwa. Stosunek liczebny tych narodowości w pojedynczych gubernjach przedstawia się podług spisu z r. 1897, z wyjątkiem gub. Suwalskiej następująco:

	Polaków	Żydów	Niemców	Rosjan
Gubernja kaliska	83.90%	7.6	7.3	1.1
„ kielecka	87.6	10.9	—	1.2
„ lubelska	61.3	12.7	0.2	21.0
„ łomżyńska	77.4	15.8	0.8	5.5
„ piotrkowska	71.9	15.2	10.6	1.6
„ płocka	83.8	9.6	6.7	3.3
„ radomska	83.8	13.8	1.1	1.4
„ siedlecka	66.1	15.5	1.4	16.5
„ warszawska	73.6	16.4	4.0	5.4

Z wyjątkiem dwóch gubernji żywiol polski stanowi zatem w całym kraju przeszło 70% ludności, i to ludności miarodajnej w rozwoju społeczno-kulturalnym kraju.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa, skoro zwrócimy się naprzykład do narodowości żydowskiej.

Autonomia narodowa żydowska, nie w znaczeniu wolności szkoły, wyznania, miejsca zamieszkania oraz równouprawnienia obywatelskiego, tylko w znaczeniu politycznego samorządu ludności żydowskiej z własnym prawodawstwem i administracją w pewnym zakresie, równoległe do samorządu Królestwa Polskiego, jest ideą całkiem utopijną. Przekonanie to panuje szczególnym sposobem i w obozie skrajnych nacjonalistów polskich, np. w obozie t. zw. „Frakcji Rewolucyjnej“ P. P. S., gdzie opiera się na tej prostej okoliczności, że narodowość żydowska nie posiada „własnego terytorjum“ w obrębie państwa rosyjskiego. Ale autonomia narodowa pojmowana tak, jak to wpływa z własnego stanowiska pomienionego kierunku, czyli jako suma wolności i praw do stanowienia o sobie pewnej grupy ludzi, związanych językiem, tradycją i psychologją, jest sama

przez się konstrukcją, stojącą poza warunkami historycznymi, fruującą w powietrzu i dlatego również dobrze dającą się pomyśleć choćby „w powietrzu“, to jest bez żadnego określonego terytorjum. Autonomja natomiast, która wyrasta historycznie, wraz z samorządem miejscowym wogóle, na gruncie nowoczesnego rozwoju burżuazyjno-demokratycznego, jest istotnie również nieodłączna od pewnego terytorjum, jak samo państwo burżuazyjne, i również mało daje się pomyśleć bez niego, jak „nieterytoralny“ samorząd gminny lub miejski. Ludność żydowska podległa wprawdzie całkowicie działaniu nowoczesnego rozwoju kapitalistycznego w państwie rosyjskim i dzieli w odnośnych warstwach interesy ekonomiczne, polityczne i duchowe różnych klas tego społeczeństwa. Ale z jednej strony interesy te nigdzie nie wyodrębniły się terytorjalnie w pewien zakres interesów kapitalistycznych specjalnie ludności żydowskiej, — są one jej raczej na całym obszarze państwa wspólne z miejscową ludnością innych narodowości. Z drugiej strony tenże rozwój kapitalistyczny prowadzi nie do wyodrębnienia burżuazyjnej kultury żydowskiej, lecz działa w wręcz odwrotnym kierunku, prowadząc do asymilacji żydowskich warstw burżuazyjnych, miejskich, inteligencji, do wchłonięcia ich przez żywioł polski lub rosyjski. Jeżeli odrębność narodowa Litwinów lub Białorusinów opiera się na zacofanym ludzie wiejskim, to odrębność narodowa żydowska opiera się w Rosji i w Polsce głównie na zacofanym społecznie drobnomieszczaństwie, na drobnej produkcji, drobnym handlu, życiu małomiasteczkowym i — dodajmy w nawiasie — na ścisłym zespoleniu danej narodowości z pierwiastkiem wyznaniowym. Wobec tego odrębność narodowa Żydów, mająca być podstawą nieterytoralnej autonomji żydowskiej, objawia się nie w formie odrębności burżuazyjnej wielkomiejskiej kultury, tylko w formie małomiasteczkowej niekulturalności. Oczywiście wszelkie starania w kierunku „rozwijania kultury żydowskiej“ za inicjatywą garści publicystów i tłumaczy żargonowych, nie wchodzi w rachubę. Jedyne objaw prawdziwej kultury nowoczesnej na gruncie żydowskim: socjaldemokratyczny ruch proletariatu żydowskiego, najmniej z natury swej może zastąpić brak historyczny burżuazyjnej kultury narodowej Żydów, ile że sam jest objawem kultury rdzennie międzynarodowej i proletarjackiej.

Inaczej, ale niemniej zawile przedstawia się kwestja autonomji na Litwie. Dla utopistów nacjonalistycznych wystarcza oczywiście istnienie pewnego terytorjum, zamieszkanego przez ludność pewnej odrębnej narodowości, aby w imię prawa wszystkich narodowości do stanowienia o sobie domagać się dla danej narodowości bądź to niezawisłej republiki, bądź sfederowanej z Rosją, bądź „najszerzej autonomji“. Takie stanowisko zajmowała naprzemian w zmiennych kolejach swych dziwnych losów dawna „Socjaldemokracja Litewska“, potem P. P. S. w swej fazie federacyjnej, a obecnie powstała niedawno „Białoruska Hromada Socjalistyczna“, która na swym drugim zjeździe w r. 1906 przyjęła niewyraźny trochę program „federacyjnej republiki w Rosji z terytorjalno-autonomicznym sejmem w Wilnie

dla terytorjum kraju Zachodniego¹⁾. Czy „Hromada“ żąda ogłoszenia „kraju Zachodniego“ za jedną z republik, na które państwo rosyjskie ma być rozbite, czy też autonomji terytorjalnej dla tegoż „kraju Zachodniego“, trudno zrozumieć; sądząc z „sejmu autonomicznego w Wilnie“ raczej to ostatnie, lub też, jak to zupełnie harmonizuje z całym utopijno-abstrakcyjnym ujęciem kwestji, między niepołączoną republiką, ustrojem federacyjnym a autonomją nie czyni się różnic zasadniczych, tylko ilościowe. Rozpatrzmy rzecz ze stanowiska autonomji krajowej. „Kraj Zachodni“, jak brzmi terminologia w rosyjskim podziale administracyjnym, reprezentuje okręg przeważnie rolniczy i drobnoprzemysłowy, przytym obejmujący przestrzenie o znacznych różnicach pod względem stosunków własnościowo-rolnych. Poza lokalnymi interesami samorządu wiejskiego, miejskiego i prowincjonalnego, terytorjum to w daleko mniejszym stopniu wyodrębnia się w pewien okręg wytwórczo-handlowy o wybitnym odrębnym charakterze i odrębnym ugrupowaniu interesów, niż Królestwo lub okręg przemysłowy Moskiewski. Natomiast jest to odrębny okręg narodowościowy. Ale właśnie pod tym względem piętrzą się największe trudności ze stanowiska możliwej autonomji. „Kraj Zachodni“ czyli terytorjum byłej Litwy, jest obszarem, zajęтым przez kilka różnych narodowości, i pierwsze pytanie, które się nasuwa, jest to: jakiejże narodowości ma służyć owa autonomja terytorjalno-narodowościowa, o którą chodzi, jest to jaki język, jaka narodowość mają być miarodajne w szkolnictwie, instytucjach kulturalnych, sądownictwie, prawodawstwie i przy obsadzaniu urzędów krajowych. Nacjonałisci litewscy domagają się oczywiście autonomji dla narodowości litewskiej. Przyjrzyjmy się faktycznym stosunkom tej narodowości.

Podług spisu ludności z r. 1897 – ostatniego, jaki miał miejsce i którego wyniki w dziedzinie stosunków narodowościowych zostały uprzystępnione ogółowi dopiero od r. 1905, – narodowość właściwa litewska liczy w obrębie państwa rosyjskiego głów 1 210 510. Ludność ta zamieszkuje głównie gubernje Wileńską, Kowieńską, Grodzieńską i Suwalską. Obok tego zamieszkuje, prawie wyłącznie w gubernji Kowieńskiej, 448 tysięcy osób narodowości żmudzkiej, nie identyfikującej się bynajmniej z litewską. Gdybyśmy chcieli zakreślić terytorjum, mogące służyć za podłoże dla autonomji narodowo-litewskiej, to musielibyśmy z jednej strony wykroić tylko część dzisiejszego „kraju Zachodniego“, z drugiej – wyjść poza jego obręb i przyłączyć gubernję Suwalską, należącą dziś do Królestwa. Otrzymalibyśmy terytorjum, odpowiadające w przybliżeniu województwom Wileńskiemu i Trockiemu, stanowiącym w przedrozbiorowej Polsce „właściwą Litwę“. Ludność litewska grupuje się na tym terytorjum w następujący sposób. Z ogólnej masy 1,2 milionów Litwinów prawie połowa, bo 574 853 skupiona jest w gub. Kowieńskiej. Drugie miejsce pod względem skupienia Litwinów zajmuje gub. Suwalska, gdzie zamieszkuje 305 548, nieco mniej znajdujemy w gub. Wileńskiej, mianowicie

¹⁾ Protokoły Konferencji Rosyjskich Nacjonalno-Socjalistycznych Partij. Petersburg, 1908. Str. 92.

297 720 osób, wreszcie nieznaczna ilość Litwinów, około 3 i pół tysiąca, zamieszkuje północną część gub. Grodzieńskiej. W rzeczywistości ludność litewska jest niewątpliwie liczniejsza, gdyż w spisie ludności brany był pod uwagę głównie język, używany przez odnośną ludność, spora zaś część Litwinów używa w życiu codziennym języka polskiego. W danym razie jednak, ze stanowiska narodowości jako podstawy autonomji kulturalno-narodowej, wchodzi w rachubę oczywiście tylko ta ludność, której odrębność narodowościowa wyraża się przedewszystkim w odrębnej mowie ojczystej.

Ugrupowanie ludności litewskiej staje się widocznym dopiero wtedy, gdy poznamy stosunek jej liczebny do pozostałej ludności na tymże terytorjum. Ogólna liczba ludności w wyliczonych gubernjach przedstawia się (zawsze podług spisu 1897) jak następuje:

		Z tego Litwini stanowią
W gub. Kowieńskiej	1 544 564	37 ⁰ / ₁₀₀
„ „ Wileńskiej	1 591 207	17 ⁰ / ₁₀₀
„ „ Grodzieńskiej	1 603 409	0 ² ·2 ⁰ / ₁₀₀
„ „ Suwalskiej	582 913	52 ⁰ / ₁₀₀

Ogółem na 5 322 093 ludności Litwini na tym terytorjum stanowią mniej, niż 23⁰/₁₀₀. Jeżeli zaś nawet doliczymy w duchu nacjonalistów litewskich całą ludność żmudzka do Litwinów, to i wtedy otrzymamy stosunek 31⁰/₁₀₀ czyli mniej, niż trzecią część ogólnej ludności. Oczywiście wykrojenie terytorjum dawnej „Właściwej Litwy“ ze stanowiska narodowości litewskiej jest w dzisiejszych warunkach już samo przez się konstrukcją całkiem dowolną i sztuczną, gdyż terytorjum to nie przedstawia dziś ani pod względem gospodarczym i społecznym, ani pod względem kulturalnym żadnego jednolitego i wyodrębnionego okręgu. Wszakże i wewnątrz tak wykrojonego terytorjum narodowość litewska stanowi natyle niezłączną większość, iż żądanie autonomji kulturalno-narodowej litewskiej dla danego terytorjum byłoby absurdem nie tylko już ze stanowiska ekonomiczno-społecznego, ale bardziej jeszcze ze stanowiska narodowościowego. Oznaczałoby ono bowiem narzucenie w prawodawstwie, administracji, sądownictwie i szkolnictwie żywiołu narodowościowego mniejszości czterem piątym, w najlepszym razie dwum trzecim całej ludności.

Najznaczniejszy żywioł pozostałej ludności na rozpatrywanym terytorjum stanowią Białorusini, czyniący w gubernji Wileńskiej 61⁰/₁₀₀, w Grodzieńskiej 44⁰/₁₀₀ ludności. Jeśli wszakże zechcemy uwzględnić narodowość białoruską, to wypadnie do wyliczonych czterech gubernji litewskich dołączyć jeszcze gub. Mińską, Mohylowską, Witebską oraz Smoleńską, czyli byłe województwa Połockie, Mińskie, Witebskie, Mścislawskie i Smoleńskie, które stanowiły dawniej właściwą Ruś Białą. Razem otrzymalibyśmy mniej więcej zakres Litwy przedrozbiorowej czyli pewne terytorjum, wyodrębnione przynajmniej tradycją historyczną i pewną wspólnością charakteru gospodarczo-społecznego. To terytorjum ma też widocznie na oku Hromada Białoruska, domagająca się autonomji narodowej „kraju Zachodniego“

(czy też republiki sfederowanej z Rosją) z sejmem autonomiczno-terytorjalnym w Wilnie.

Ludność ogólna przyłączonych w ten sposób ze względu na narodowość białoruską czterech „północno-zachodnich“ gubernji, jest następująca:

W gub. Mińskiej	2 147 621
„ „ Mohyłowskiej	1 686 764
„ „ Witebskiej	1 489 246
„ „ Smoleńskiej	1 525 279

Wraz z ludnością czterech gubernji, zamieszkiwanych przez Litwinów, stanowi to pokaźną liczbę 12 171 007. Wśród tej jednak ludności Białorusini stanowią mniej niż połowę, bo koło $5\frac{3}{4}$ miliona (5 885 547). Już liczebnie biorąc, przykrojenie autonomji Litwy do narodowości białoruskiej wydaje się bardzo problematycznym projektem. Atoli trudność ta staje się daleko większą, skoro weźmiemy pod uwagę warunki ekonomiczno-społeczne odnośnych narodowości.

Białorusini stanowią na terytorjum, przez nich zamieszkiwanym, żywiół wyłącznie wiejski, rolniczy. Przytym stan kulturalny ich jest — odpowiednio do warunków ekonomicznych — nader niski. Analfabetyzm jest tak rozszerzony, że „Białoruska Hromada“ widziała się zmuszoną przedewszystkim do założenia swego „Wydziału Oświatowego“, szerzącego elementarną oświatę wśród chłopów białoruskich. Kompletny brak własnej burżuazji białoruskiej, inteligencji miejskiej i samodzielnego życia naukowo-literackiego w języku białoruskim czyni ideę narodowościowej autonomji białoruskiej wprost niewykonalną.

Podobne są warunki społeczne i wśród narodowości litewskiej. Przeważającym w ogromnym stopniu zajęciem Litwinów jest rolnictwo. W sercu kulturalnym Litwy, gubernji Wileńskiej, Litwini stanowią 19,8% ludności gubernjalnej, a 3,1% ludności miejskiej. W gub. Suwalskiej, drugiej z rzędu pod względem skupienia ludności litewskiej, Litwini stanowią aż 52,2% ludności gubernjalnej, lecz tylko 9,2% ludności miejskiej. Warunki kulturalne wśród Litwinów są coprawda całkiem odmienne, niż na Białej Rusi. Oświata ludności litewskiej stoi względnie wysoko, a procent analfabetów jest niemal najniższym w państwie Rosyjskim. Ale oświata Litwy jest to przeważnie — oświata polska i nie język litewski, lecz polski jest tu narzędziem kultury, co w ścisłym pozostaje związku z tym faktem, że klasy posiadające — szlachta ziemska na wsi, jak i inteligencja miejska są rdzennie polskie lub w wysokim stopniu spolszczone. To samo w znacznym stopniu ma miejsce i na Rusi. Jedyłą narodowością, reprezentującą kulturalnie warunki, niezbędne do sprawowania funkcji autonomji krajowej, jest na terenie Litwy i Rusi istotnie ludność polska, jako żywiół miejski i żywiół inteligencji. O ile o autonomji narodowościowej „krajów Zachodniego“ mogłaby być mowa, musiałaby to być więc drogą naturalną nie autonomja litewska ani białoruska, lecz autonomja polska, to zna-

czy, że język polski, szkoła polska, żywioł polski w urzędach byłyby z natury rzeczą wyrazem urządzeń autonomicznych kraju.

W tych warunkach ze stanowiska kulturalno-narodowego Litwa i Ruś stanowiłyby więc tylko dalszy ciąg terytorjum Królestwa i nie stanowiłyby wogóle odrębnego okręgu autonomicznego, jeno wraz z Królestwem naturalne i historyczne terytorjum wspólnej autonomji polskiej Królestwa i Litwy.

Takiemu rozwiązaniu kwestji sprzeciwia się wszakże kilka względów decydujących. Przedewszystkiem pod względem czysto narodowościowym byłoby to panowanie drobnej mniejszości polskiej nad przeważającą większością Litwinów, Białorusinów, Żydów i in. Zwłaszcza z Żydami ludność polska na Litwie i Rusi stanowi przeważnie ludność miejską, t. j. dzieli z niemi naturalne ośrodki społeczne urządzeń autonomicznych, i to w ten sposób, że ludność żydowska ma stanowczo przewagę liczebną nad polską. Gdy w Królestwie Polskim na 6,8 miliona Polaków przypada (według spisu 1897) 1,3 miliona Żydów, stosunek w czterech gubernjach właściwej Litwy do ludności ogólnej jest następujący:

	Polacy	Żydzi
	stanowią %	
w Suwalskiej	22,99	10,14
„ Kowieńskiej	9,04	13,73
„ Wileńskiej	8,17	12,72
„ Grodzieńskiej	10,08	17,37

Tylko w gub. Suwalskiej ludność żydowska jest mniej liczną niż polska, ale stosunek ten i tu zupełnie jest inny, skoro weźmiemy specjalnie pod uwagę miasta: Polacy stanowią 27⁰/₀, Żydzi 40⁰/₀, ludności miejskiej. Przytym należy uwzględnić, że żywioł żydowski w Królestwie, o ile uległ asymilacji narodowościowej, znacznej zwłaszcza po miastach, wzmacnia narodowość polską, na Litwie zaś jest zasymilowany wogóle w daleko słabszym stopniu, a o ile ma to miejsce, reprezentuje kulturalnie narodowość rosyjską, powiększając w obu wypadkach mieszaninę narodowościową i zawiąkanie problemu autonomicznego. Dość wspomnieć, że w sercu Litwy i siedzibie projektowanego sejmu autonomicznego, w Wilnie, na 227 uczelni, które liczone w r. 1900, przypada 182 żydowskich!

Innym względem niemniej ważnym jest ta okoliczność, że narodowość polska jest na Litwie i na Rusi właśnie narodowością warstw panujących: szlacheckiej własności ziemskiej i mieszczaństwa, podczas gdy narodowość litewska, a zwłaszcza białoruska reprezentowana jest przez włóściaństwo rolne i bezrolne. Stosunek narodowości jest tu więc zarazem — naogół wzięwszy — stosunkiem klas społecznych. Oddanie urządzeń autonomicznych kraju w ręce narodowości polskiej byłoby tu stworzeniem nowego potężnego narzędzia panowania klasowego bez odpowiedniego wzmocnienia pozycji klas wyżyskiwanych i wywołałoby stosunki w rodzaju tych, jakie autonomia Galicji zgotowała Rusinom.

Zarówno więc ze względów narodowościowych, jak społecznych przyłączenie Litwy do terytorjum autonomicznego Królestwa lub wyodrębnienie Litwy i Rusi w autonomiczny okręg z przewagą nieuniknioną żywiołu polskiego jest projektem, który Socjaldemokracja zwalczać musi zasadniczo. Ale w tej formie upada wogóle projekt autonomji narodowościowej Litwy, jako utopijny wobec lizebnych i społecznych stosunków wchodzących w grę narodowości.

III.

Inny wybitny przykład trudności, na jakie napotyka problemat autonomji narodowościowej w praktyce, znajdujemy na Kaukazie. Żaden zakątek ziemi nie przedstawia takiego obrazu pomieszania narodowości na jednym terytorjum, jak Kaukaz, ten odwieczny trakt historyczny wielkiej wędrówki ludów między Azją a Europą, zarzucony odłamami i okruciami tych ludów. Dziewięciomiljonowa przeszło ludność kraju składa się (według spisu 1897 r.) z następujących grup rasowych i narodowościowych:

		w tysiącach
	Rosjan	2 192.3
	Niemców	21.5
	Greków	57.3
	Ormian	975.0
	Osetynów	157.1
	Kurdów	100.0
Górali kaukaskich	{ Czezeńców	243.4
	{ Czerkiesów	111.5
	{ Abchazów	72.4
	{ Lezgińców	613.8
Kartwelczyków	{ Gruzinów, Imeretyńców,	1 201.2
	{ Mingrelczyków etc.	
	Żydów	43.4
Turko-Tatarów	{ Tatarów	1 139.6
	{ Kumyków	100.8
	{ Turków	70.2
	{ Nogajów	55.4
	{ Karaczajów	22.0
	{ Kałmyków	11.8
	{ Estończyków	1.4
{ Mordwinów }		

Ugrupowanie terytorjalne największych narodowości, wchodzących w rachubę, jest następujące. Rosjanie, stanowiący względnie najliczniejszą grupę na całym Kaukazie, są skupieni na północy w okręgu Kubańskim, Czarnomorskim i północno zachodniej części Tęrskiego. Dalej posuwając się ku południowi, mieszczą się w zachodniej części Kaukazu Kartwelczycy, zajmujący gub. Kutaiską i północno-wschodnią część Tyfliskiej. Jeszcze dalej na południe zajmują środkowe terytorjum Ormianie w południowej części Ty-

fliskiej oraz wschodniej większej części Karskiej i północnej części Erywańskiej, wciśnięci pomiędzy Gruzinów na północy, Turków na zachodzie i Tatarów na wschodzie i południu, w gub. Bakińskiej, Elizawetpolskiej i Erywańskiej. Na wschodzie i w górach mieszczą się szczepy góralskie, inne drobniejsze grupy, jak żydzi, niemcy, żyją, pomieszani z narodowością rdzenną, głównie po miastach. Zawikłanie problemu narodowościowego uwidacznia się najbardziej w stosunkach językowych, na Kaukazie panuje bowiem, prócz rosyjskiego, osetyńskiego, ormiańskiego, z pół tuzina rozmaitych tatarskich języków, cztery narzecza lezgińskie, kilka czeczeńskich, kilka czerkieskich, mingrelski, gruziński, sudański i cały szereg innych jeszcze, przyczym chodzi bynajmniej nie o dialekty, lecz po większej części o samodzielne języki, niezrozumiałe dla pozostałej ludności.

Ze stanowiska problemu autonomicznego wchodzi w rachubę oczywiście tylko trzy narodowości: Gruzini, Ormianie i Tatarzy, Rosjanie bowiem, zamieszkujący część północną Kaukazu, stanowią pod względem narodowościowym dalszy ciąg terytorjum państwowego rdzennie rosyjskiej ludności.

Najliczniejszą względnie grupą narodowościową poza Rosjanami są Gruzini, o ile zaliczymy do nich wszystkie odmiany Kartwelezyków. Historyczne terytorjum Gruzinów reprezentuje gub. Tyfliska i Kutaiska z obwodami Suchum i Sakatali, o ludności 2110490. Narodowość atoli gruzińska stanowi w tej liczbie tylko nieco więcej, niż połowę, 1,2 miliona głów; pozostała część składa się z Ormian w liczbie 220 tysięcy, skupionych przeważnie w Achalkałackim powiecie Tyfliskiej gub., gdzie stanowią przeszło 70 procent ludności, Tatarów w liczbie koło 100 tysięcy, Osetyńców, stanowiących przeszło 70 tysięcy, Lezginów, reprezentujących połowę ludności w obwodzie sakatałskim, oraz Abchazów, przeważających w okręgu Suchum, podczas gdy w powiecie Borczałińskim gub. Tyfliskiej mieszanina różnych narodowości ma przewagę nad ludnością gruzińską.

Projekt narodowościowej autonomji gruzińskiej przedstawia wobec tych cyfr wielorakie trudności. Już w całości wzięte terytorjum historyczne Gruzji reprezentuje tak drobną liczebnie ludność — zaledwie 2,1 miliona, — że jako podstawa samodzielnego życia autonomicznego w znaczeniu nowoczesnym, z jego potrzebami kulturalnymi i funkcjami gospodarczo-społecznymi wydaje się bodaj czy wystarczającą. Atoli ze stanowiska czysto narodowościowego na terytorjum tym powołaną byłaby do panowania w instytucjach publicznych, w szkolnictwie, w życiu politycznym narodowość, obejmująca nieco tylko więcej nad połowę całej ludności. Niemożliwość tej sytuacji odczuwają tak dobrze nacjonałiści gruzińscy rewolucyjnego pokroju, że kwitują zgóry z granic historycznych i projektują okrojenie terytorjum autonomicznego do rozmiarów, odpowiadających istotnej przewadze narodowości gruzińskiej.

Podług tego projektu podstawą autonomji gruzińskiej ma być tylko 16 powiatów Gruzji, o losach zaś czterech pozostałych z przewagą innych narodowości ma zdecydować „plebiscyt tych

narodowości". Ten wielce demokratycznie i rewolucyjnie wyglądający projekt ma, jak zwykle projekty, natchnione przez metodę anarchistyczną, rozwiązującą wszelkie trudności historyczne za pomocą „woli narodów“, tę wadę, że jest w praktyce jeszcze trudniejszy do urzeczywistnienia, niż autonomia historycznej Gruzji. Okrojona bowiem przez ten projekt przestrzeń reprezentuje zaledwie około 1,4 miliona ludności, czyli masę, odpowiadającą przeciętnej ludności nowoczesnego wielkiego miasta. Przestrzeń ta, wykrojona całkiem dowolnie jak z historycznych tradycyjnych ram, tak z dzisiejszego społeczno-ekonomicznego środowiska Gruzji, jest nietylko nader drobną podstawą do życia autonomicznego, ale nadto nie reprezentuje żadnej całości organicznej, żadnego zakresu życia materialnego i interesów gospodarczych i duchowych, prócz abstrakcyjnych interesów narodowości gruzińskiej.

Wszakże i na tej przestrzeni interesy narodowościowe Gruzynów nie dają się ująć żadną miarą w czynny wyraz życia autonomicznego wobec tej okoliczności, że przewaga ich ilościowa związana jest z ich wybitnie rolniczym charakterem.

W samym sercu Gruzji, była stolica Tyflis, a tak samo cały szereg miast powiatowych, noszą cechy wybitnie międzynarodowe, przyczym przeważającym żywiołem są tu Ormianie, reprezentujący mianowicie warstwę burżuazyjną. Z 160 000 ludności Tyflisu np. 55 000 stanowią Ormianie, 20 000 Gruzini, tyleż Rosjanie, reszta składa się z Tatarów, Persów, Żydów, Greków i t. d. Naturalne ośrodki życia politycznego i administracyjnego oraz oświaty i kultury duchowej są tu, w podobny sposób jak na Litwie, siedliskami narodowości obcej. Powyższa okoliczność, czyniąca autonomję narodowościową Gruzji problematem nierozwiązalnym, wkracza jednocześnie w drugi problemat kaukaski: kwestję autonomji Ormian.

Wyłączenie Tyflisu i innych miast z gruzińskiego terytorjum autonomicznego jest również niemożliwe ze stanowiska stosunków ekonomiczno-społecznych Gruzji, jak włączenie ich do tego terytorjum ze stanowiska narodowości ormiańskiej. Biorąc za podstawę jedynie przewagę liczebną ludności ormiańskiej, otrzymalibyśmy w ostatnim razie terytorjum sztucznie sklecone z kilku skrawków: dwóch południowych powiatów gub. Tyfliskiej, północnej części gub. Erywańskiej oraz północno-wschodniej części gub. Karskiej, terytorjum, odcięte od głównych miast, przez Ormian zamieszkanym, bezsensowne zarówno z historycznego stanowiska, jak i ze stanowiska obecnych stosunków gospodarczych, zarazem rozmiary autonomicznej ludności zostałyby tu już zbagatelizowane do jakich 800 tysięcy. O ile zaś wyjdziemy poza obręb powiatów z przewagą liczebną narodowości ormiańskiej, to znajdziemy ją również nierozwikłanie pomieszaną z Gruzinami na północy, jak z Tatarami na wschodzie — w gub. Bakińskiej i Elizawetpolskiej, oraz z Turkami na zachodzie — w Karskiej, przyczym względem rolniczej przeważnie i do tego w mocno zacofanych stosunkach żyjącej ludności tatarskiej Ormianie grają poczęści rolę żywiołu burżuazyjnego.

W ten sposób przeprowadzenie między autonomicznej wśród

trzech głównych narodowości Kaukazu jest zadaniem nie do rozwiązania. Ale jeszcze trudniejszy jest problemat autonomiczny w zastosowaniu do pozostałych wielorakich narodowości górali kaukaskich. Zarówno pomieszanie ich terytorjalne, jak drobne rozmiary liczebne pojedynczych narodowości, jak wreszcie stosunki gospodarczo-społeczne, pozostające przeważnie na stopniu pasterstwa, w dużej części koczowniczego, lub pierwotnego rolnictwa, bez własnego życia miejskiego i własnej twórczości umysłowej w języku narodowym, czynią tu sprawowanie autonomji nowoczesnej zgoła niezastosowalnym.

Taksamo zatym, jak na Litwie, jedynym sposobem załatwienia sprawy narodowościowej na Kaukazie, zarówno w duchu demokratycznym, zapewniającym wszystkim narodowościom wolność bytu kulturalnego, bez panowania jakiegokolwiek wśród nich nad pozostałymi, jak i w duchu realnych potrzeb społecznych nowoczesnego rozwoju na Kaukazie, nie rachującego się z granicami etnograficznymi, jest zastosowanie szerokiego samorządu lokalnego — gminnego, miejskiego, okręgowego i prowincjonalnego, bez określonego charakteru narodowościowego, to jest bez uprzywilejowania jakiegokolwiek narodowości. Taki tylko samorząd da możność połączenia różnych narodowości do wspólnego załatwiania miejscowych interesów gospodarczych i społecznych, a z drugiej strony — możność uwzględnienia drogą naturalną rozmaitego ustosunkowania narodowości w każdym powiecie i każdej gminie.

Samorząd gminny, okręgowy, prowincjonalny da naprzykład możność każdej narodowości drogą decyzji większości w organach reprezentacji miejscowej zakładać swe uczelnie i instytucje kulturalne w tych okręgach lub gminach, gdzie posiada ona przewagę liczebną. Jednocześnie osobne, ogólno-państwowe prawo językowe, stojące na straży interesów mniejszości, może ustanowić normę, mocą której mniejszości narodowościowe, poczynając od pewnego minimum liczebnego, stanowią podstawę obowiązkowego zakładania szkół w ich języku narodowym w gminie, okręgu lub prowincji oraz uwzględnienia ich mowy w miejscowych instytucjach publicznych, administracji, sądach i t. d. obok języka odnośnej przeważającej narodowości i języka państwowego. O ile w ramach ustroju kapitalistycznego i w danych warunkach historycznych załatwienie zawikłanej sprawy narodowościowej jest wogóle możliwe, rozwiązanie takie, kombinujące ogólną zasadę samorządu lokalnego z specjalnymi środkami prawodawczymi, daje rękojmię zaspokojenia interesów kulturalnego rozwoju i równouprawnienia narodowości przy blizkim ich współzyciu, nie zaś przez odgradzenie ich wzajemne szrankami autonomji narodowościowej.

IV.

Ciekawego przykładu czysto formalistycznego załatwienia kwestji narodowościowej dla całego państwa rosyjskiego dostarcza projekt niejakiego K. Fortunatowa, ogłoszony przez wydawnictwo grupy „Trud i Borba“ i będący próbą praktycznego rozwiązania

sprawy w duchu zasad rosyjskich socjalistów rewolucjonistów ¹⁾. Na zasadzie wyników spisu ludności autor układa przedewszystkim mapę państwa podług narodowości, biorąc za podstawę przewagę liczebną każdej narodowości w oddzielnych gubernjach i powiatach. Najsilniejszą narodowością liczebnie są Wielkorusini, przeważający w 30 gubernjach Rosji Europejskiej. Po nich następują Małorusini, mający przewagę na Ukrainie w gub. Połtawskiej, Podolskiej, Charkowskiej, Kijowskiej i Wołyńskiej oraz po części w gub. Jekaterynosławskiej, Czernihowskiej, Chersońskiej, Kubańskiej i Taurydzkiej, podczas gdy w Bessarabji przeważają Mołdawianie, w Krymie zaś Tatarzy. Pomijając Polaków, trzecią z kolei narodowością są Białorusini, przeważający liczebnie w pięciu gubernjach: Mohylewskiej, Mińskiej, Wileńskiej, Witebskiej i Grodzieńskiej, za wyjątkiem ośmiu powiatów: białostockiego, zamieszkanego głównie przez Polaków, bielskiego, brzeskiego, i kobryńskiego, w których przeważają Małorusini, dźwińskiego, rezyckiego, i lucińskiego, gdzie przeważają Łotysze, wreszcie trockiego, w którym większość stanowią Litwini. Natomiast powiat kraśnieński gub. Smoleńskiej musi być zaliczony ze względu na przeważającą narodowość do Białej Rusi. — Litwini i Żmudzini przeważają w gub. Kowieńskiej i Suwalskiej, z wyjątkiem powiatów suwalskiego i augustowskiego, w których większość stanowią Polacy. Łotysze w Kurlandji, Estończycy w Estlandji mają stanowczą przewagę, Inflanty zaś dzielą między sobą prawie na dwie równe połowy — południową i północną. Doliczywszy Królestwo Polskie za wyjątkiem gub. Suwalskiej otrzymamy w 62 gub. Rosji Europejskiej następujący obraz stosunków narodowościowych:

Wielkorusini przeważają w 30 gub.		
Małorusini	”	10 ”
Białorusini	”	5 ”
Polacy	”	9 ”
Litwini	”	2 ”
Łotysze	”	2 ”
Estończycy	”	1 ”
Mołdawianie	”	1 ”
Tatarzy	”	2 ”

Rozpatrzywszy ugrupowanie terytorjalne narodowości na Kaukazie podług gubernji i powiatów, autor przesuwą się z kolei ku Rosji Azjatyckiej. W Syberji przeważa stanowczo żywioł rosyjski, stanowiący 80,9⁰/₀ ludności, obok Burjatów, stanowiących 5⁰/₀, Jakutów 4⁰/₀, Tatarów 3,6⁰/₀, innych narodowości 6,5⁰/₀. Tylko w gubernji Jakuckiej Rosjanie stanowią mniejszość 11,5⁰/₀, ludność jakucka natomiast 82,2⁰/₀ ogółu. W Azji środkowej najznacniejszą narodowością liczebnie są Kirgizi, mający przewagę we wszystkich gubernjach za wyjątkiem trzech południowych: Zakaspijskiej, w któ-

¹⁾ K. Fortunatow, Nacjonalnyja Oblasti Rossii. Knigoizdatjelstwo Trud i Borba, Petersburg. 1906. Autor nie jest identyczny z profesorem i znanym statystykiem A. Fortunatowym, jak to mylnie przypuścił sprawozdawca „Ludzkości“ (Nr. 76 i 77 1907 r.).

rej Turkmeni wynoszą 65% ludności, Samarkandzkiej, zajętej przez Uzbeków (58,8%) i Tadżyków (26,9%), oraz Fergańskiej, w której Sartowie stanowią połowę, Uzbeki 9,7%, Kirgizi 12,8% ludności.

Biorąc w ten sposób za podstawę gubernje i powiaty z przewagą tej lub innej narodowości, p. Fortunatow układa następujący szemat dzielnic narodowościowych w całym państwie:

Dzielnice	Ludność gubernji wcho- dząca w skład z przewagą danej naro- dowości	Ludność wszystkich po- wiatów z przewagą danej narodowości	Ogólna ilość osób danej narodowości w państwie
	w	t y s i ą c a c h	
1. Wielkoruska	57 617	57 250	55 673
2. Małoruska	25 347	26 587	22 415
3. Białoruska	8 517	7 338	5 886
4. Polska	8 819	8 696	7 931
5. Litewsko-Lotewska	4 101	4 088	3 094
6. Estońska	413	958	1 003
7. Mołdawska	1 935	1 352	1 122
8. Kartwelska	6 497	1 593	1 352
9. Ormiańska		946	1 173
10. Górali kaukaskich		1 109	1 092
11. Tatarów kaukaskich	6 497	1 982	1 533
12. Innych kaukazyck.		527	—
13. Czuwasze, Baszkiry, Tatarzy i Mordwa	4 367	3 673	—
14. Kirgizo-Turkmeńska	5 515	5 642	4 365
15. Sartowie, Uzbeki i Tadżycy	2 232	2 232	2 046
16. Jakuci	270	234	227
17. Inni	—	1 173	—
Razem	125 640	125 640	

W szemacie tym uderzają wielkie różnice ilościowe, np. między olbrzymią dzielnicą wielkoruską oraz małoruską a tak drobnymi jak litewska, estońska lub pojedyncze kaukazkie, albo zgoła jakucka. Ponieważ okoliczność ta razi widocznie zmysł symetryczny wielbieli zasady „federacji“, a także wzbudza w nich też niejaki wątpliwości co do sielankowego pożycia obok siebie tak nierównych siłą i wielkością narodowości, jako równouprawnionych dzielnic autonomicznych, więc statysta nasz nie namyślając się wiele zaradza złemu — nożycami i klajstrem: łącząc kilka drobnych dzielnic w jedną, natomiast rozczłonkując zbyt wielkie na kilka mniejszych. Biorąc widocznie — choć niewiadomo, na jakiej zasadzie — ludność 6 do 9 milionów za normalną miarę dzielnicy narodowościowej, uważa, że „łatwo“ jest rozczłonkować dzielnicę małoruską na 3, wielkoruską

zaś na 7, wyodrębniając np. gubernję Dońską, Astrachańską, Kubańską, Stawropolską i Czarnomorską oraz dwa powiaty Terskiej z ludnością 6,7 miliona, jako dzielnicę „kozacką“, dalej gub. Kazańską, Ufimską, Orenburską, Samarską oraz dwa powiaty gub. Symbirskiej z 9 milionową ludnością, jako dzielnicę tatarsko-baszkirską, wreszcie dzieląc pozostałe terytorjum 25 gubernji o 42 milionach ludności poprostu na 5 symetrycznych części, mniej więcej po 8 milionów ludności bez żadnej już zasady narodowościowej.

W ten sposób otrzymujemy projekt podziału całej Rosji na następujących 16 „stanów“ czyli dzielnic autonomicznych na zasadzie narodowościowej:

1	Polska z ludnością	8 696 000
1	Białoruska z ludnością	7 328 000
1	Nadbałtycka z ludnością	5 046 000
3	Małoruskie z ludnością	27 228 000
	a) Południowo-zachodnia (Podolska, Wołyńska i Kijowska oraz 3 powiaty Grodzieńskiej) z ludn.	10 133 000
	b) Właściwa Małoruska (Połtawska, Charkowska, Czernihowska bez północn. powiatów oraz małoruskie powiaty gub. Kurskiej i Woroneskiej) z ludnością . .	8 451 000
	c) Noworosyjska (Besarabja, Chersońska, Taurydzka, Ekaterynosławska i p. Taganroski) z ludnością	8 644 000
1	Kaukaska (bez powiatów rosyjskich)	6 157 000
1	Kirgizka w Azji środkowej bez 2 powiatów prowincji Akmolińskiej z ludnością	7 490 000
1	Syberyjska z 2 powiatami Akmolińskiej prowincji z ludnością	6 015 000
7	Wielkoruskich z ludnością	57 680 000

Przy układaniu powyższego szematu autor nie krępował się oczywiście żadnymi względami historycznymi, ani też względami na stosunki gospodarcze, na wytworzone przez rozwój nowoczesny oraz warunki naturalne dzielnice produkcji lub komunikacji handlowej. Poziome tego rodzaju względy mogą, jak wiadomo, krępować tylko kombinacje polityczne ludzi o mózgach, wtłoczonych w ramy „doktryny“ marxowskiej, materialistycznego światopoglądu. Natomiast nie istnieją one dla teoretyków i polityków „prawdziwie rewolucyjnego socjalizmu“, mających na oku jedynie „prawa“ narodów, wolność, równość i t. p. wzniosłe rzeczy. Oddzielenie dwóch gubernji litewskich — Kowieńskiej i Suwalskiej z wyłączeniem powiatów polskich — od serca historyczno-kulturalnego Litwy, gub. Wileńskiej i innych sąsiednich okolic, z którymi stosunki gospodarcze oddawna się ustaliły, natomiast połączenie tychże dwóch okrojonych gubernji z Inflantami, Kurlandją, Estonją,

z któremi związki historyczne, zarówno jak dzisiejsze gospodarcze, są zupełnie luźne, dowodzi tego naocznie. Również pocięcie Ukrainy gwoli symetrii na różne dzielnice, mimo ciągłość charakteru naturalnego i gospodarczego, a z drugiej strony ujęcie w jedną dzielnicę autonomiczną całej Syberji, kraju, reprezentującego 12,5 milionów kilometrów kwadratowych przestrzeni, czyli o $\frac{1}{3}$ większego niż cała Europa, kraju, przedstawiającego największe przeciwieństwa naturalne, gospodarcze i kulturalne, jest dowodem tej wolnej od wszelkich „dogmatów“ metody. Zarazem autonomja narodowościowa w szemacie tym traktowana jest bez żadnego poszczególnego związku z ustrojem ekonomicznym i społecznym danej narodowości. Z tego stanowiska jednakowo podatni są do autonomji dzielnicowej, a więc związanej z pewnym stałym terytorjum oraz z scentralizowaną na tym terytorjum administracją, prawodawstwem i życiem kulturalnym, z jednej strony Polacy, z drugiej — Kirgizi, Jakuci lub Burjaci, pozostający poczęści w stadjum koczowniczego pasterstwa i w żywych jeszcze całkiem tradycjach organizacji rodowych, krzyżujących po dziś dzień wysiłki terytorjalnej administracji rosyjskiego absolutyzmu. Konstrukcja autonomiczno-dzielnicowa w duchu poglądów „socjalistyczno-rewolucyjnych“ jest zatem całkiem „swobodna“, niezwiązana z żadnemi realnemi podstawami w czasie i przestrzeni, i całe istniejące stosunki historyczne, ekonomiczne i kulturalne grają jedynie rolę materiału, z którego za pomocą nożyc „rewolucyjnych“ wykrojone być mają misternie działki narodowościowe.

Jakież jest w końcu rezultat tej jedynie i wyłącznie etnograficznej metody politycznego rozczłonkowania Rosji? Schemat p. Fortunatowa jest prawdziwym szyderstwem z zasady narodowościowej. Litwini, odcięci wprawdzie od narodowości polskiej, z którą zrosli kulturalnie, połączeni są za to na zasadzie etnograficznego pokrewieństwa w jedną narodowość „nadałtycką“ z Łotyszami i Estończykami, z któremi się również mało identyfikują, jak z Polakami, a przez to połączeni z ziemczonemi zupełnie ośrodkami kulturalnemi Inflantów i Estonji. Połączenie Gruzinów, Ormian, Tatarów i jeszcze paru tuzinów innych szczepów Kaukazu w jedną narodowość „kaukaską“ zakrawa wprost na złośliwą satyrę na dążenia narodowościowo-autonomiczne. I niemniejszą bezwzględność dla tych pretensji wyraża zaliczenie Mołdawian, siedzących w Besarabji, do narodowości małoruskiej, Tatarów krymskich do tejże narodowości, wreszcie połączenie Samojedów, Ostjaków, Tunguzów, Burjatów, Jakutów, Czukczów, Kamczadałów i wielu innych jeszcze szczepów, żyjących każdy całkiem odosobnionym życiem, odróżniających się pomiędzy sobą stopniem kulturalnego rozwoju, językiem, wyznaniem, poczęści nawet rasą, wraz z ludnością rosyjską Syberji, w jedną zagadkową narodowość „syberyjską“ ze wspólnemi instytucjami prawodawczemi, administracyjnemi i kulturalnemi. Schemat Fortunatowa jest w gruncie rzeczy prostą negacją zasady narodowościowej i w tej samej mierze ciekawą próbą, jak niekępowana żadnemi względami obiektywnego rozwoju społecznego anarchistyczna metoda nacjonalizmu, nagospodarowawszy się jak szara gęś na

tym padole płaczu, sama wraca wkońcu do rezultatów, mocno podobnych do tej samej brzydkiej historii rzeczywistości, którą podjęła się „poprawić“, mianowicie: do systematycznego pogwałcenia „praw narodowościowych“ i ich równości. Cała różnica polega na tym, że podeptanie urojonych przez ideologję liberalizmu i anarchizmu „praw“ narodowości jest w rzeczywistości rezultatem procesu rozwoju dziejowego, mającego swój sens wewnętrzny i — co najważniejsza — swoją dialektykę rewolucyjną, podczas gdy partactwo rewolucyjno-nacjonalistyczne zdąża w swym gorliwym rozcinianiu tego, co zrosło się społecznie, i sklejanii tego, co się społecznie nie klei, do podeptania wkońcu tychże święconych przez siebie „praw“ narodowości gwoli jedynie pedanterji schematycznej, pozbawionej wszelkiego sensu i podbitej wiatrem politycznego sowizdrzalstwa.

Polskie programy burżuazyjne w kwestji rolnej.

Napisał J. Karski.

„Dzisiaj włościanie nasi zapomnieli naogół krzywd doznanych i wiedzą, że się one nie powtórzą, o ile znów otrzymamy możność rządzenia sami sobą“. Tak twierdzi pan Władysław Grabski*). Czy włościanie zapomnieli krzywd doznanych, wątpię. Włościanin, który bez nadziei uporania się z nędzą mozoli się na swoich paru morgach piasku i musi za dwa złote dziennie pracować na sąsiednich żywnych łanach pańskich, czuje instynktownie, że tu coś nie tak się dzieje, że nie przodkowie pana te łany wykarczowali i użyźnili, a przodkowie jego, chłopą, zraszali je potem i krwawicą swoją. Przytym krzywdzenie chłopów przez obszarników ponawia się co dnia. „Prawem i lewem“ — że użyjemy wyrażenia Łozińskiego — potrafi i dziś klasa obszarników objeździć chłopą, gdy trzeba. To też nie znajdziemy wsi w kraju, gdzie włościanie nie żywią głębokich żalów do dworu za krzywdy świeżo doznane. Lecz nie o to chodzi, a głównie o ową drugą część zdania: „krzywdy się nie powtórzą, o ile znów otrzymamy możność rządzenia sami sobą“. Zdanie to jest albo nonsensem, albo hipokryzją. Że włościanie sami sobą rządząc, siebie nie pokrzywdzą — to jest jasne. Pokrzywdzić ich mogą tylko ci, co usiłują zawładnąć rządami kraju na mocy swojej przewagi społecznej. Pan Grabski, jako prawowierny demokratą, ale „narodowy“, widocznie nie wierzy, żeby rządziłi sami sobą ci, co krzywdy doznali, lecz liczy na to, że i nadal rządzić będą ci, co krzywdziłi, stąd jego frazes. Warto więc wiedzieć, co myślą o sprawach rolnych ci amatorowie władzy. Odpowiedź znajdziemy w literaturze burżuazyjnej o sprawach rolnych z doby ostatniej, w której też zamierzamy rozejrzeć się.

Na wstępie zaznaczyć należy, że ta literatura powstała w okresie powszechnego podniecenia umysłów, w okresie rewolucyjnym, kiedy dla klas posiadających stało się jasnym, że nie czas na popisywanie

*) Materiały w sprawie włościańskiej. Warszawa, 1907. Str. 9.

się swojemi zasadami konserwatywnymi, że trzeba udawać, przynajmniej do czasu, przyjaciół ludu i demokratów, w okresie wyborów do Dumy, kiedy należało się popisać przed opinią publiczną. Dziś obawy minęły. Kontrrewolucja zwyciężyła, panowie szlachta czują się bezpieczni pod opieką „wzmocnionej ochrony“ i wsiadają po staremu na parobków i chłopów, a literatura zamilkła. To też w książkach i broszurach z ostatnich lat kilku musimy szukać maximum „dobrych chęci“, na jakie szlachta w takich wyjątkowych warunkach zdobyć się potrafiła.

Przegląd swój rozpoczynamy od prac Władysława Grabskiego, które w każdym razie wyróżniają się pośród innych znajomością rzeczy. W książce przytoczonej powyżej (Materjały etc.) znajdujemy krytykę programów agrarnych oraz własny projekt autora. Krytyka dotyczy właściwie tylko programu kadetów, wystawionego w pierwszej Dumie. Jest ona trafną o tyle, że Grabski na zasadzie cyfr wykazuje fakt niezbity: jeżeli – jak tego chcą kadeci – posiadłości włościańskie mają pozostać nietknięte, a grunta folwarczne rozparcelowane na własność pomiędzy włościan, to ziemi w Królestwie dla małorolnych i bezrolnych nie starczy, a nadto wykup według „sprawiedliwego oszacowania“ gruntów obszarniczych uczyni ziemię dla włościan tak niepomiernie drogą, takim obciążą ich długiem, że ci gospodarze włościańscy nie będą się mogli ostać.

Projekt kadetów w Polsce znalazł przychylnie przyjęcie tylko w Postępowej Demokracji (zobaczmy niebawem w jak spaczonyj formie), co nie przeszkadza panu Grabskiemu napaść z całą furją na „społeczników“, którzy jakoby ten właśnie program chcą stosować u nas i, „widząc, że u nas ogólne wywłaszczenie do niczegooby dobrego dla samej ludności pracującej nie doprowadziło, bojąc się ujemnych skutków dla kultury kraju, jednak proponują wywłaszczyć część folwarków, nadać grunta części bezrolnych“. Oczywiście ci urojeni „społecznicy“ mają w tym czarne swoje plany: „zawsze to będzie pole do tego, by we wnętrzości społeczeństwa ostry wprowadzić nóż i społeczeństwem takim rządzić“. Tak pisze wybitny przedstawiciel Narodowej Demokracji, który w swoim pamiętnym liście przyznawał, że jego partja gotowa była współdziałać z rządem carskim, by zgnieść ruch robotniczy w kraju, tak pisze przedstawiciel stronnictwa, co uzbraja w nóż i brauning bandy chuliganów dla mordowania socjalistów w Łodzi, stronnictwa, które, jak teraz wyznają obalamuceni przez nie robotnicy, poczęści terorem i oszustwem przywłaszczyło sobie wprawdzie nie rządy nad społeczeństwem – ale przedstawicielstwo tego społeczeństwa w Dumie. Jednakże przywykliśmy już chyba do tego, że każdy prawowierny szlachcic polski, mówiąc o „społecznikach“, traci rozum, dlatego ten frazes o topieniu „noża we wnętrzościach społeczeństwa“ już nawet oburzać nie może, a służy tylko do oceny „rodzimego“ obłądu antyspołecznego.

Przyjrzyjmy się raczej, co proponuje rzecznik Narodowej Demokracji pozytywnie. Znajdujemy te propozycje w rozdziale, zatytułowanym: „Kolonizacja wewnętrzna“. Kolonizację przeciwstawia Grabski parcelacji. Parcelacja polega na tym, że ci, co chcą nabyć ziemię, upatrują sobie grunta i nabywają je o własnych siłach, lub przy pomocy kredytu, którego udzielają odpowiednie instytucje. Kolonizacja zaś polega na tym, że wyznaczony ku temu urząd lub osoby prywatne mają do rozporządzenia ziemię i oddają ją na warunkach, przez siebie określonych, nabywcom kolonji. – Parcelacja,

jak to przyznaje Grabski, ma braki: „podnoszenie się zbyt znacznie cen gruntu w górę i trudność nabycia gruntu ze strony prawdziwie bezrolnych“. Więc — kolonizacja. W rękach rządu autonomicznego byłoby grunta rządowe. Lecz z tych prawie cały obszar jest pod lasem, karczując lasy na gruntach zdolnych pod uprawę możnaby rozkolorizować zdaniem Grabskiego najwyżej 200 000 morgów¹⁾. Więc widzi on się zmuszonym do małego odstępstwa od sakramentalnej zasady nietykalności własności prywatnej:

„Dla wewnętrznej kolonizacji nie znajdziemy żadnych poważnych środków, wytwarzających teren kolonizacyjny, jeżeli będziemy się ograniczali sferą pojęć nienaruszalności praw własności prywatnej. Dlatego też bronienie praw nienaruszalności własności prywatnej jest w rzeczy samej sprzeczne z interesami bezrolnych robotników rolnych. Musimy raz porzucić wszelkie doktryny. Widzimy, że potrzebne są grunta dla kolonizowania i że ich kupić nie można, trzeba więc użyć pewnego przymusu... Należy zastosować w celu zaopatrzenia urzędu kolonizacyjnego w potrzebne grunta prawo, ograniczające swobodę rozporządzania własnością prywatną gruntów, byleby nie robić tego inaczej, lecz tylko o tyle, o ile zachodzi potrzeba kolonizacji i o ile nie podkopujemy tym sposobem samej zasady prywatnej własności gruntów. ...Jedną zasadą nie podlega żadnemu powątpiewaniu: za grunt wywłaszczony należy płacić podług wartości jego i to sprawiedliwej, czyli normalnej²⁾.

A więc podaje Grabski projekt taki: zostaje wyznaczony „urząd kolonizacyjny“; „urząd ten ustanawia taksę gruntów z góry na pewien okres, np. 10 lub 15 lat. Następnie ten urząd określa, w jakich okolicach kraju potrzebna jest kolonizacja; o ile obszarnicy nie zaoferują swoich majątków na sprzedaż podług tej taksy, „należy w tych miejscowościach zaprowadzić prawo pierwszeństwa kupna majątków na korzyść urzędu kolonizacyjnego“. Nabyte grunta urząd kolonizacyjny będzie sprzedawał włościanom, przyczym $\frac{1}{3}$ ma być sprzedawana włościanom, sąsiadującym z majątkiem kolonizowanym, $\frac{1}{3}$ ma być sprzedawana w postaci większych „farm“, $\frac{1}{3}$ w drobnych parcelach bezrolnym. Cena, w jakiej nabywcy kupią te kolonie, musi być „znacznie niższą od ceny kupna, czyli od szacunku wywłaszczenia“, a straty stąd powstałe ma ponieść społeczeństwo. Grabski sądzi, że można użyć na ten cel dochody z lasów rządowych, które wynoszą około 5 milionów rubli rocznie. Licząc, że do każdej morgi skolonizowanych gruntów trzeba dopłacić około 33 rubli, możnaby za tę sumę pięciu milionów skolonizować 150 000 morgów rocznie³⁾.

Rozpatrzmy się bliżej w tym projekcie. Naprzód urząd kolonizacyjny. Skąd się on bierze? Nasz „demokrata“ pomija sprawę milczeniem, w każdym razie nie wspomina nic o tym, że powinni tu decydować włościanie i bezrolni robotnicy rolni. Sama jednak nazwa „urząd“ mówi za siebie: urząd wyznaczy rząd autonomiczny, ten rząd z ramienia burżuazji i „ziemiaństwa“, o którym marzy nasze

1) O majoratach, będących w posiadaniu katów powstania i ich spadkobierców, zgoła pan Grabski zapomniał. Snać i tę własność uważa „narodowiec“ za świętą i nietykalną!

2) Materiały etc., str. 63—64.

3) Materiały etc., str. 65—74.

wstecznicstwo „demokratyczne“. A więc biurokratyczne załatwienie sprawy, oddanie niebywałej potęgi w ręce biurokratów przyszłej autonomji. Jasnym jest bowiem, że ten urząd kolonizacyjny będzie miał ogromną władzę, skoro i taksa gruntów i określenie, gdzie potrzebna jest kolonizacja, i rozdawnictwo ziemi kolonistom w jego będzie rękach. Łatwo wyobrazić sobie, jak ten urząd będzie załatwiał sprawę i po czyjej będzie stronie!

Następnie — oszacowanie gruntów. Należy pamiętać, że dopóki istnieje prywatne władanie ziemią, wszelkie wysiłki sztucznego obniżania ceny ziemi muszą spełznąć na niczym. Cena ziemi jest skapitalizowaną rentą, wszelkie przepisy prawne, które pozostawiają w sile prawo własności, a więc nie zapobiegające powstawaniu renty, nie mogą też zapobiec normowaniu się ceny ziemi w zależności od renty. W literaturze naukowej rzecz to rozstrzygnięta. (Przypominamy polemikę i teorię H. Georgi'a i jego naśladowców, niemieckich *Bodenreformer* z *Flürscheinem* na czele). Lecz to, co proponuje Grabski, wygląda wprost na karykaturę. Taksa na ziemię ma być opartą „na istniejących stosunkach w chwili ustanowienia norm“, gdyż „nie można przecież mówić, że grunt nie wart jest np. 100 rubli, skoro za niego ktoś właśnie tę cenę zapłacił“, a więc „sprawiedliwy szacunek jest to szacunek, zgodny z istniejącymi stosunkami w obiegu sprzedażnych gruntów“. Lecz Grabski chce ustanowić taksę na 10—15 lat zgóry. To oznaczałoby sztuczne powstrzymanie wzrastania ceny.

Wnet atoli Grabski wyrzeka się takiej konsekwencji. Powiada: „Przypuśćmy jednak, że właściciele majątków stanowią element oporny wobec kolonizacji i nie sprzedają wcale swoich majątków, i że pierwszeństwo kupna bynajmniej nie oddaje w ręce urzędu kolonizacyjnego gruntu do dyspozycji. Oczywiście wtedy należałoby dokonać rewizji taksy, gdyż o ile ta taksa byłaby sprawiedliwa, niepodobna wystawić sobie warunków, przy których okazałoby się czynne przymusowe wywłaszczenie“. Czyżby rzeczywiście nie można było sobie tego wyobrazić? Z chwilą, gdy dany powiat zostanie uznany za taki, w którym kolonizacja jest niezbędną, a obszarnikom nie spodoba się taksa, możemy być zupełnie pewni, że ani jeden folwark nie zostanie wystawiony na sprzedaż dobrowolną, gdyż obszarnicy zawrą umowę i nie dopuszczą do sprzedaży. Nawet przymusowych sprzedaży (z licytacji za długi) nie będzie, gdyż właściciel folwarku, który ma absolutnie pewne szanse sprzedania folwarku owemu urzędowi po wyższej cenie, zawsze znajdzie kredyt, jeżeli zechce wierzycielowi dać udział w zysku, jaki osiągnie przy sprzedaży. Zatem taksa będzie zależną zupełnie od woli obszarników i ustalenie cen ziemi na 10—15 lat z góry będzie fikcją.

Pierwsza więc część projektu sprowadza się do tego, że obszarnicy za ziemię wezmą cenę, jaką sami zechcą, cenę ogromnie wygórowaną. Byłoby to arcyzbawienne dla obszarników.

Druga część projektu: sprzedaż ziemi kolonistom. Sam projektodawca widzi, że włościanie nie będą w stanie zapłacić tak drogo za ziemię, jak ją kupi według „sprawiedliwego szacunku“ urząd kolonizacyjny. Dopłacić więc ma społeczeństwo. Z jakiej racji? Co zyskuje społeczeństwo na tym, że ziemia przejdzie z rąk obszarników do rąk „fermerów“, jeżeli ci fermerzy mają być takimi samymi zagarniaczami renty gruntowej i wyzyskiwaczami robotników? 5 miljonów rubli dochodu z lasów obecnie rządowych, a potem krajowych,

ma być użyte na ten cel. Nie starczy to w żadnym razie. Grabski liczy, że do morga wypadnie dopłacić 33 ruble; wobec perspektywy podniesienia cen przez obszarników do znacznie wyższych norm, niż obecne, trzeba liczyć więcej, 50 a może 60 rubli. Przy jego rachunku wypada, że za owe 5 milionów można rozkolonizować rocznie 150 000 morgów. Licząc przeciętnie po 12–15 morgów na gospodarstwo, wypadnie 10–12 tysięcy gospodarstw rocznie. Lecz, jeżeli dopłacić wypadnie nie 33, a 50 lub 60 rubli na morgę, można rozkolonizować ziemi mniej, jakie 80 do 100 tysięcy morgów, na których powstanie 5 do 6 tysięcy gospodarstw.

A więc: gdyby chciano urzeczywistnić projekt Grabskiego tak, aby reforma przysporzyła rocznie chociażby tylko 20 000 gospodarstw włościańskich (pamiętajmy, że zaopatrzyć w ziemię trzeba więcej niż milion rodzin robotników bezrolnych i włościan małorolnych), musiałoby łożyć społeczeństwo łożyć na ten cel nie pięć, a 10–15 milionów rocznie. Gdyby społeczeństwo zdobyło się na to, co by zyskało? Pewne powiększenie liczby drobnych posiadaczy, którym nie wiadomo, jak się dziać będzie, gdyż sprawność ekonomiczna drobnych gospodarstw włościańskich w warunkach rolniczych naszego kraju jest co najmniej sporną. — Lecz wątpliwym jest nawet, czy ten cel powiększenia drobnych gospodarstw zostałby osiągnięty. W projekcie Grabskiego bowiem własność ziemską nie zostaje niczym kępowana, a zatem nie będzie żadnych przeszkód, aby obok tej kolonizacji szedł proces koncentracji własności ziemskiej. Przeciwnie należy się spodziewać tej koncentracji z całą pewnością. Powstaną przy pomocy społeczeństwa owe wymarzone „fermy“ włókové; te mogą być sprawne ekonomicznie, a posiadacze ich wnet poczną kupować ziemię chłopską i niebawem powstawać będą nowe folwarki. Jest nawet do przewidzenia, że przy pomocy boskiej a sprycie chłopskim wytworzy się swojego rodzaju proceder: sprytny spekulant, których nie brak wśród włościan, kupuje przy pomocy społeczeństwa względnie tanio włókę gruntu od urzędu kolonizacyjnego, potym poczyna skupywać okoliczne grunta drobniejszych posiadaczy i po latach kilku lub kilkunastu powstał nowy folwark, który właściciel sprzedaje urzędowi kolonizacyjnemu według nowej, podwyższonej taksy i tak w kółko.

Jakie były intencje pana Grabskiego, w to nie wchodzimy, rezultat atoli jest nieponętny. Obszarnicy powinni być zadowoleni z tego projektu, bo gwarantuje im wysokie ceny ziemi, dla społeczeństwa, na które wkłada znaczne ciężary zupełnie bezcelowo, jest projekt wręcz szkodliwy. Ciekawe jest to, że, odzegnując się tak zawzięcie od „kadeckiej“ zasady wyłączenia, musi nasz obszarnik w końcu choć w częste akceptować ową zasadę, gdyż, znając stosunki rolne, musiał przekonać się o jałowości wysiłków poprawienia losu ludności pracującej na roli bez naruszenia zasady nietykalności prawa własności ziemskiej. Lecz stanowisko klasowe nie pozwala mu snuć konsekwencji z tego wniosku, staje więc bezradny i zadawała się półśrodkiem. Szydząc z projektu kadetów, naśladuje go przecież sam, lecz paczy go, karykaturuje, ośmieszając sam siebie.

Jak zobaczymy, współtowarzysze klasowi pana Grabskiego, obszarnicy, uderzyli nań z całym impetem i potępiłi bezwzględnie jako zdradę każde naruszenie prawa własności: we własnej partji nie znalazł p. Grabski popleczników. To powinnyby usposobić go krytycznie i skłonić do zastanowienia się, czy rzeczywiście w autonomicznej

Polsce, o ile w niej nie zostanie zachwiana potęga obszarników, włościanie będą zabezpieczeni od kryzysu.

Na program reform rolnych zdobyli się również „postępowcy“. W roku 1906 ogłosili panowie Piotr Górski i Stanisław Staniszewski „Projekt reform agrarnych w Królestwie Polskim“, szczupłą broszurkę o 31 stronicach. We wstępie czytamy coś w rodzaju deklaracji „Związku postępowo-demokratycznego“, z której dowiadujemy się:

„Dwaj teoretyczni badacze i praktyczni znawcy tego przedmiotu opracowali i przeprowadzili przez obrady w szerszym gronie projekt, który tu wydajemy. Mniemamy, że jest to, jeżeli nie jedyna, to najpoważniejsza próba rozstrzygnięcia najdonioślejszej u nas kwestji“. Najpoważniejsza próba, bagatela! Teraz przynajmniej wiemy, że mamy dwóch „teoretycznych badaczy“ kwestji rolnej. Dotąd chowali oni swoje światło pod korcem i nie ogłosili ani jednej książki, ani jednego poważnego artykułu w tej sprawie, ale teraz sami sobie i ich przyjaciele wydali im patent. A no... „głupi! o sobie dobrze mów!“

Zobaczymy, co mają do powiedzenia ci „teoretyczni badacze i znawcy“. Najpierw kilka kartek, poświęconych opisowi obecnego położenia. Wszystkie dane są wzięte zupełnie bezkrytycznie z wydawnictw Warszawskiego Komitetu Statystycznego. Ale nie tylko bezkrytycznie, lecz wręcz fałszywie. Panowie ci podają np. liczbę małorolnych gospodarstw, posiadających mniej niż 10 morgów, na 491 644. Jak z bicia trzasnął. Skąd ta liczba? Są to gospodarstwa na ziemi nadanej. Natomiast pominęli z całym spokojem gospodarstwa drobnej szlachty, mieszkańców osad i włościańskie na ziemi kupionej. Co warte dane Komitetu, wiemy, ale takich wprost piramidalnych błędów, jak ci nasi „teoretycy“, przecież nie popełnili czynownicy Komitetu. Ten jeden skandaliczny, żakowski wprost błąd wystarcza właściwie, by rzucić do kosza świstek „teoretycznych badaczy“. Lecz brnijmy dalej. Liczbę bezrolnych podają ci panowie na 165 030 rodzin i 33 392 osób pojedynczych. Są to cyfry, wzięte ze spisu ludności z roku 1897 i – zupełnie bezsensowne. Np. podano liczbę rodzin robotników folwarcznych na 80 051. Ponieważ obszar wielkiej własności wynosi w tym czasie około 7 200 000 morgów, wypadłoby około 90 morgów ziemi na rodzinę, to znaczy: folwark, mający 900 morgów, t. j. 30 włók, zatrudniałby 10 rodzin. Jest to najoczywistszy nonsens. Grabski, który w każdym razie zna stosunki folwarczne, dochodzi do wniosku, że jedna rodzina przypada na 24 morgi gruntu folwarcznego i na tej zasadzie oblicza, że w folwarkach pracuje około 217 820 rodzin. To jest prawdopodobne, a bezkrytyczne powtarzanie cyfry oficjalnego spisu przez „teoretycznych badaczy“ może być uważane li tylko za wynik nieuctwa.

Na zasadzie fałszywych cyfr Górski i Staniszewski dochodzą oczywiście do wniosków opacznych. Ci panowie na swój sposób skarykaturowali projekt kadetów. Chcą oni zaopatrzyć w ziemię nie wszystkich bezrolnych, a tylko $\frac{1}{3}$ część. Dlaczego nie $\frac{1}{2}$, nie $\frac{1}{4}$? Niewiadomo, po polsku: tak sobie! Następnie chcą dodać gospodarstwom małorolnym ziemi tyle, by wypadło po 10 morgów. Dlaczego 10? chyba dla okrągłości cyfry! W jednym miejscu bowiem przyznają, że gospodarstwa bez sprzężaju istnieć nie mogą. Jak zaś na 10 morgach przeciętnej naszej gleby ma włościanin utrzymać sprzężaj, to pozostaje tajemnicą naszych „praktycznych znawców“. – Ponieważ liczbę bezrolnych i małorolnych wzięli za niską, więc wyrachowali, że potrzeba 2 846 404 morgów. Kalkulują dalej w ten sposób:

99 910 morgów ziemi rządowej i donacyjnej, zdaniem ich, można rozparcelować. Resztę wezmą — to już zupełnie samoistnie! — z obszarów dworskich, przeciążonych długami; chcą zastosować zasadę przymusowego wywłaszczenia za odpowiednim wynagrodzeniem tylko do tych folwarków, które są zadłużone tak, że stają się niezdolne do dalszej egzystencji. Tu opierają się na pracy Roztworowskiego, według którego obszar 2 095 934 morgów ziemi dworskiej jest obciążony ponad 75% wartości. A więc $2\ 095\ 934 + 99\ 910 = 2\ 195\ 844$ morgów, brak już tylko 65 660 morgów, o które naszych znawców głowa nie boli. No, ale skoro bezrolnych jest trzy razy więcej, niż liczą nasi „znawcy“, a małorolnych blisko dwa razy tyle, więc cały rachunek na nic się nie zdał.

Lecz pomińmy na chwilę żakowskie szafowanie fałszywymi cyframi przez naszych „teoretycznych hadaczy“ i zatrzymajmy się nad samą zasadą. Częściowe wywłaszczenie przymusowe, stosowane do folwarków, przeciążonych długami, a dalej co? Wyraźnie nie powiedziano. Na stronie 8-mej, gdzie mowa o bezrolnych, wspominają o wieczystej dzierżawie, na stronie 15-tej, gdzie mowa o małorolnych, wieczysta dzierżawa już występuje bardzo warunkowo: „Nowe kolonie mogłyby być nadawane nowym właścicielom na prawie dzierżawy dziedzicznej z zastrzeżeniem niedzielnosci gospodarstwa“. Co znaczy „mogłyby być nadawane“? Chłop ma 6 morgów na własność, tej własności pewnie nie popuści; panowie G. i S. „nadają“ mu 4 morgi, ale chcą aby wszystko stało się dzierżawą wieczystą? Otrzymujemy jakiś galimatias. Lecz kardynalna rzecz polega na tym: przymusowe wywłaszczenie ma być za odpowiednim wynagrodzeniem i stosowane tylko do przeciążonych długami folwarków. Z folwarków tych większa część oczywiście jest zdewastowana do tła. Takie folwarki zapuszczone w kulturze najmniej nadają się do parcelacji, kupione zaś zostaną oczywiście bardzo drogo, skoro długi, które trzeba pokryć, często przekraczają wartość ziemi. Więc ziemia piekielnie drogo musi być zapłacona przez właścian parcelantów. Na własność, czy w dzierżawę wieczystą, to na jedno wychodzi prawie, bo przy wieczystej dzierżawie renta roczna, jaką trzeba nałożyć na dzierżawcę, o ile jest zbyt wysoką, zarzyna dzierżawcę taksamo, jak zbyt wysoki procent i amortyzacja przy kupnie. Grabski miał odwagę powiedzieć, że dopłacić musi społeczeństwo, inaczej chłopci nabywający ziemię nie ustoją się na niej. Panowie „teoretyczni badacze i praktyczni znawcy“ nad tą sprawą zdaje się nie zastanawiali się wielce. Mówiąc o bezrolnych, stwierdzają, że oddawane im „gospodarstwa powinny być uprzednio racjonalnie urządzone i zaopatrzone w budynki“. Skąd fundusze? „Jako początkowy fundusz przy zakładaniu tego typu dzierżaw może w pewnej mierze służyć zasób kas gminnych, obliczony według sprawozdania urzędowego po dzień 13 stycznia 1900 roku na 37 659 839 rubli, składający się z kapitału zakładowego i sum depozytowych“. Pomysł nielada! Jak wiadomo, owe kasy są to kasy pożyczkowo-oszczędnościowe i są jedynym źródłem kredytu. Lokowanie kapitałów takich kas w ziemi jest zgoła niemożliwe. Zresztą te kasy, poza kapitałem żelaznym, funduszy leżących nie mają, bo pieniądze ich są w obiegu, na pożyczkach; np. w kasach gminnych gub. Warszawskiej było gotówką i w papierach 59 206 rubli, a wypożyczonych 2 064 294 rubli. Urządzać gospodarstwa i stawiać budynki za pieniądze, które są w rękach dłużników, na to trzeba Salomona.

Operacje kredytowe wogóle odgrywają wielką rolę w pomysłach panów G. i S., a to wydaje się nam bardzo charakterystyczne, gdyż dla liberałów wszelkich odcieni, wyznań i narodowości słówko kredyt jest owym słowem magicznym, otwierającym wszelkie sezamy. Lecz w danym wypadku rezultat może być tylko jeden: obszarnicy sprzedadzą korzystnie folwarki, obciążone długami, włościanie mogą nabyć ziemię, lecz tak zostaną obciążeni długami, że o racjonalnej gospodarce nie będzie mowy, owoce ich pracy zagarnią będą właściciele kapitałów pieniężnych, wierzyciele hipoteczni. Jest to projekt bardzo korzystny, tylko — nie dla włościan i robotników bezrolnych, lecz dla burżuazji kapitalistycznej, której rzecznikami są nasi „postępowi demokraci“.

Cały ten „projekt“ jest jednym wielkim nieporozumieniem: panowie Górski i Staniszewski podali zgoła fałszywe cyfry, przyjęli zbyt małą liczbę małorolnych i bezrolnych; tylko w ten sposób mogą twierdzić, że 2,8 milionów morgów wystarczy do zaopatrzenia w ziemię tych kategorii. Przypuszczenie, że włościanie małorolni i bezrolni robotnicy o własnych siłach, posiłkując się kredytem, zdołają kupić i utrzymać w swoich rękach ziemię, jest nieporozumieniem jeszcze dziwniejszym.

Projekty zarówno Grabskiego jak „postępowców“ sprowadzają się do nasadzenia drobnej własności, bez naruszenia podstaw stosunków rolnych. Jest to to zaiste noszenie wody sitem. Przypuśćmy bowiem, że rzeczywiście przez popieranie drobnej własności wytworzy się rocznie 10 lub nawet 20 tysięcy drobnych gospodarstw, to przecież nie zmieni się prawie nic, gdyż takąż sama prawie ilość gospodarstw włościańskich rozpada się rocznie na drobne, karłowate działki. Taka parcelacja czy kolonizacja nie zapobiegnie nigdy procesowi proletaryzowania chłopów.

Zobaczymy atoli, jakie były dalsze losy owych projektów.

Grabski — jakieśmy już wspomnieli — pozostał sam. Narodowa Demokracja bynajmniej nie wyraziła zgody na jego program, ani też nie poczuwa się do obowiązku wystawienia wzamian programu własnego. Podczas obrad nad sprawą rolną w pierwszej Dumie pisma N. D. powtarzały w kółko jedno tylko: sprawę rolną w kraju rozstrzygnąć winien sejm autonomiczny. Jakie może być to rozstrzygnięcie, co N. D. uznaje za pożądane, o tym ani słówka.

Oprócz Grabskiego zabierało głos w sprawie rolnej tylko dwóch przedstawicieli N. D. — Stecki i Kiniorski. Jan Stecki, poseł do pierwszej Dumy, w broszurze, zawierającej odczyt, wypowiedziany w Lubelskim towarzystwie rolniczym¹⁾, czyni pewną „poprawkę“ do projektu Grabskiego, mianowicie proponuje, aby tylko folwarki, wystawiane na sprzedaż przymusową za długi, były nabywane „na rzecz instytucji parcelacyjnej“. O projekcie zaś Grabskiego mówi: „Jego próbę rozwiązania trudności przez nadanie bankowi parcelacyjnemu prawa pierwszeństwa przy każdym kupnie ziemi uważam za chybioną, rozumiem ją jednak w tym samym, co i własną, sensie: jako chęć znalezienia dla naszej polityki agrarnej drogi na wypadek, gdybyśmy ulec mieli przewadze ruchu socjalnego chłopów rosyjskich, wraz z ich hasłem wywłaszczenia. W razie przeciwnym, to jest gdyby bez wywłaszczenia się obszło, uważam za dostateczne dla wprowadzenia rozwoju

1) Stosunki rolne w Królestwie Polskim. Lublin, 1906.

stosunków własności rolnej na tory normalne ograniczenie działalności banku parcelacyjnego do kupna ziemi na rachunek własny i nadanie mu monopolu wyłączności“. Podkreślone przez nas zdanie jest wręcz nieocenione! Poseł narodowo-demokratyczny tylko wtedy zgadza się na wywłaszczenie zbankrutowanych, a więc już wywłaszczonych obszarników, jeżeli chłopci staną się rewolucjonistami! Chce on zatem żądaniom wywłaszczenia przeciwstawić zakupienie przez bank parcelacyjny tych folwarków, które zostają sprzedane przez licytację! Tu wspaniałomyślność i mądrość polityczna „narodowego“ reformatora dosięga rzeczywiście szczytu.

Marjan Kiniorski, współpracownik „Myśli Polskiej“ i sprawozdawca z Dumy, poddał w piśmie wspomnianym ostrej krytyce projekt Grabskiego, a w broszurze „Zasada wywłaszczenia w programie agrarnym“¹⁾ potępia tę zasadę bezwzględnie. Stwierdza on słusznie, że pomysły Grabskiego i Steckiego burzy nie zażegnają, gdyż za ledwie małeńką częśćką małorolnych mogłaby nabyć ziemię. Ale poza tą, w części trafną krytyką i obroną zasady własności nie znajdujemy u p. Kiniorskiego nic, żadnego pozytywnego wyводу. Zaznacza on, że zupełnie nie broni folwarków, jest zwolennikiem drobnej własności i sądzi, że prędzej czy później znaczna część wielkiej własności „znajdzie się w rękach ludu“. Uznaje ten fakt za pożądany i uważa za słuszne, „aby cały ciężar tej przemiany spadł na klasy materialnie uprzywilejowane. W jakiej formie dokonane będzie obciążenie klas wyższych – czy będzie to podatek dochodowy, czy postępowy gruntowy, czy rozciągnięcie ścisłej kontroli nad warunkami najmu i bytu służby folwarcznej – to dzisiaj nie da się jeszcze dokładnie przewidzieć“. Słowem – autor uznaje, że położenie jest złe, że półśrodki, zalecane przez jego współtowarzyszy partyjnych, chybiają celu, lecz poza obroną nietykalności własności prywatnej nie ma do powiedzenia nic. Owe bowiem wzmianki o opodatkowaniu większej własności i mgliste życzenie kontroli nad warunkami najmu nie są nawet załączkiem programu.

Mamy więc trzech autorów z obozu Narodowej Demokracji, którzy nawzajem się zbijają, lecz stronnictwo jako takie z programem nie wystąpiło. Partja, która sama o sobie trąbi przy każdej okazji, że trzęsie losami narodu, w kwestji pierwszorzędnej wagi nie ma do powiedzenia nic, unika wypowiedzenia się. Przyczyny tego są bardzo jasne: rywalizując z partją Polityki Realnej o głosy obszarników, N. D. musi unikać drażnienia tych obszarników, a drażni ich każde poruszenie sprawy włościańskiej, chociażby wyniki były takie jak u pana Grabskiego. Natomiast włościan kaptuje sobie N. D. nie jasnym programem, a frazesem demagogicznym, co przy obecnych stosunkach, uniemożliwiających socjaldemokratom jawne występowanie, udaje się jako tako.

Projekt panów Górskiego i Staniszewskiego nie wywołał również żadnej dyskusji w ich obozie, prasa „postępowa“ milczy, jak zakłęta. Związek postępowo-demokratyczny, „zamierzwszy – jak zaznaczył we wspomnianym wstępie – przedewszystkiem sprogramować dążenia i cele społeczeństwa w główniejszych kierunkach jego życia“, uważał widocznie, że wydawszy ową odbitkę artykułu dziennikarskiego, broszurkę, pełną błędów faktycznych, uczynił już wszystko. W partji zaś, która występuje zazwyczaj tak, jak gdyby wzięła w pacht wszelką naukę, nie znalazł się nikt, kto by owym „badaczom

1) Warszawa, 1907.

teoretycznym“ wytknął te błędy. Jak na „partję inteligencji“ wstyd to nie miały.

Wkońcu „realiści“. Ci stawiają kwestję jasno: własność ziemska jest nietykalna, kto targnie się na nią, jest zbrodniarzem.

To też w roku 1906 jeden z filarów partji Polityki Realnej, pan I. Jeziorański w broszurze „Sprawa agrarna w Królestwie Polskim“¹⁾ uderza na alarm, bo „projekty petersburskie głęboko zaorały się w naszą sprawę agrarną“. Zaklina więc autor włościan polskich, by się nie dali uwieść tej strasznej teorii wywłaszczenia. Według niego wszystko jest na dobrej drodze, gdyż parcelacja się odbywa, więc trzeba tylko ułatwić włościanom kredyt, znieść szachownice, uregulować serwituty.

Lecz Jeziorański był jednym z niewielu naszych obszarników, którzy patrzą nieco dalej. Ogół tych panów kpi sobie z wszelakich projektów utworzenia kredytu dla chłopów, znoszenia szachownic i t. p. i odzywa się wtedy dopiero, kiedy o ich własną skórę chodzi. I odezwali się! Mianowicie: kiedy w pierwszej Dumie rozpoczęły się rozprawy o kwestji rolnej, „Słowo“ urządziło „ankietę w sprawie rolnej“, a następnie w dniach 26–29 listopada 1906 za inicjatywą realistów odbył się w Warszawie „Zjazd Rolników“, na którym obszarnicy protestowali przeciw — stanowisku Koła Polskiego.

Rezultaty ankiety i rozprawy owego zjazdu zostały ogłoszone drukiem w obszernym tomie²⁾. Nader cenna i ciekawa to książka! 195 zacnych ziemian odpisało redakcji „Słowa“, a z listów ich aż kapie oburzenie na świętokradców, którzy śmieli pomyśleć o wywłaszczeniu. W obronie własnej skóry zdobywają się na patos i — sięgają do katechizmu. — „Uważam podobne zachcenia jako pogwałcenie praw Boskich i ludzkich. Nie požądaj ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, które jego są. Nie kradnij!“ — drze się niejaki pan Sobański, a wtóruje mu jakiś pan Burkacki: „Do tej całej sprawy agrarnej najlepiej zastosować paragraf prawa Bożego — dziesiąte przykazanie; podług niego jak będzie sprawa załatwiona, to będzie najsprawiedliwiej“. Zacni, moeni w słowie bożym ziemianie zapomnieli jedynie, że Maciek i Bartek, powołując się również na „prawa boskie“, odpowiadają im: wy i ojcowie wasi, nie pomnąc na słowo „nie kradnij“, wydarliście chłopom gwałtem ziemię, więc oddajcie psiewiary, a potem pogadamy o katechizmie. — Są i tacy, co, jak pan Edward Chrzanowski z Morzyna, twierdzą kategorycznie a lapidarnie: „Biedy na wsi niema“. Albo pani Marja Masłowiczowa, która w głębokiej mądrości swojej powiada: „Łatwość zarobku tak we wsi, jak i po fabrykach, zapewniała dotąd każdemu utrzymanie i dojście na starość do kapitaliku lub nabytego zań gruntu“. Albo pan Michał Sobański z Obodówki: „W Królestwie i zachodnich prowincjach włościanin ma ziemi dosyć“. Są i tacy, co byliby nie od tego, żeby sprawę zakończyć krwawą łaźnią, bo oto pan Henryk Kroczyński w imię całego grona sejmikujących szlacheiców z powiatu włodzimierskiego gub. Wołyńskiej powiada: „Argument, z jakim się czasem spotyka, że w razie nieuwzględnienia żądań i nadziei włościan nastąpi ruch *arm o mano* (sic!), że wszystkiemi następstwami wojny domowej, nie wytrzymuje krytyki... Choćby więc ów ruch miał istotnie przybrać większe rozmiary, czego zresztą napewno twierdzić nie można, choćby

1) Warszawa, 1906. Nakładem autora.

2) Warszawa, 1907.

nie obeszło się przytym bez ofiar, w każdym razie będą one złem mniejszym, niż skutki naruszenia zasady prawa własności“. Wierzy śnać mocno szlachta wołyńska, z panem Kroczyńskim na czele, nie w swoje, coprawda, siły, a w bagnety i kartaczownice carskie, skoro tak obojętnie mówi o ofiarach. Lecz ufając w siłę brutalną, gotowi ci panowie apelować do uczuć patryjotycznych: „Co do wywłaszczenia w dziewięciu guberniach zachodnich — pisze np. pan Adolf Schütz — chyba żaden Polak przeoczyć nie może, iż tam element polski stanowi głównie większą własność... Tym czynem możnaby skasować całe dzieło najświetniejszej epoki Polski za Jagiellonów i Zygmunatów od 1386 do 1648 roku“. Rzecz prosta: ponieważ szlachta polska zrabowała ziemię Rusinów, Białorusinów, Litwinów i Żmudzinów, a ich samych w parobków lub pańszczyźniaków zamieniła, ponieważ ta szlachta ogniem i mieczem przez wieki szerzyła swoją barbarzyńską kolonizację, patryjotyzm polski nakazuje wyrzekać się wywłaszczenia, bo stracimy „element polski“.

Lecz dosyć tych cytata. Książka jest niewyczerpaną skarbnicą dla tych, co zechcą poznać sposób myślenia naszych rodzimych żubrów, a redakcja „Słowa“ zasłużyła sobie na wdzięczność agitatorów socjalistycznych, zebrawszy przez swoją ankietę tak bogaty materiał.

Nie mniej ciekawą jest druga część książki, zawierająca sprawozdanie z owego zjazdu obszarników. Kto chce zapoznać się z elokwencją naszych urodzonych przewodców narodu w całej jej okazałości, niech przeczyta mowy panów hrabiego Władysława Potockiego, hrabiego Adama Krasińskiego i Stefana Godlewskiego¹⁾. Ostatni na szczególną zasługuje uwagę, gdyż odrazu wziął byka za rogi. Powodem bowiem zwolania zjazdu było przedewszystkiem to, że obszarników zaniepokoiło do żywego stanowisko Koła Polskiego w pierwszej Dumie i o tym właśnie pan ów mówił.

Z ramienia Koła Polskiego przemawiał w Dumie poseł Stecki, zapewniając, że „całe przedstawicielstwo Królestwa Polskiego żywi głębokie przekonanie, iż w interesach naszej przyszłości, w interesach rozwoju naszej kultury ekonomicznej i naszego życia społecznego leży rozdrobnienie wielkiej własności ziemskiej, której miejsce zajmą powinna własność drobna“. Już to oburza do żywego pana Godlewskiego, ale zbrodnią najgorszą w oczach jego jest, że pan Stecki oświadczył nadto: „Proklamowanie tej zasady (t. j. prawa przymusowego wywłaszczenia na rzecz włościan) przyjmujemy, nie znajdując w niej nic nagannego ani grożącego swobodnemu rozwojowi naszego kraju“²⁾.

Pan Godlewski protestuje: „Gdy więc z wysokości trybuny parlamentarnej reprezentanci nasi zaakceptowali obce nam pojęcia prawne, mogące poderwać główne podstawy naszej budowy społecznej, i uczynili to na własną odpowiedzialność bez odwołania się do opinii kraju, zachodziła potrzeba sprawdzić, czy nie ulegli złudzeniu, biorąc opinie własne za opinię całego narodu“... a tę zdaniem pana Godlewskiego reprezentuje właśnie zjazd, na którym obradowało 400

1) Ostatnie dwie zostały wydane w osobnych odbitkach: Adam Krasiński: *Nasza droga*. Warszawa, 1907; Stefan Godlewski: *Wywłaszczenie przymusowe w Dumie*.

2) Pan Stecki, jak widzieliśmy, w broszurze swojej jest w zasadzie przeciwnikiem wywłaszczenia, w Dumie zaś mówił co innego. Zdaniemmacherów N. D. zwie się to wyższą polityką, w języku zwykłych śmiertelników zwie się poprostu łganiem w żywe oczy, o czym niżej.

obszarników. W imieniu zaś tych obszarników pan Godlewski żąda, żeby Koło Polskie oświadczyło się bezwarunkowo przeciw wywłaszczeniu. I cieszy się obszarnik polski, że spełzły na niczym zamiary pierwszej Dumy, potakuje rządowi, który tę Dumę rozpędził.

Bronił Koła pan Dmowski i bronił dyplomatycznie, lecz, jak zawsze, dyplomacja jego doprowadziła do wyników skandalicznych dla przewodcy N. D. i jej samej. Wyniki te bowiem streszczają się tak: 1) Koło żadnego programu w sprawie rolnej nie miało, 2) Koło nie protestowało przeciw zasadzie wywłaszczenia nie dlatego, że zasadę tę uznaje za słuszną, tylko dlatego, że nie chciało — narazić się kadetom.

W końcu nastąpiło porozumienie: w drugim dniu zjazdu jeszcze raz przemawiał pan Dmowski o parcelacji i złożył widocznie jakieś zeznanie, które realistów zadowolilo. Niestety, nie wiemy, jak brzmiała owa deklaracja, gdyż sprawozdanie zaznacza lakonicznie: „Mówca wyraża się przeciwko idei przymusowego wywłaszczenia“. Lecz mamy zapisane słowa pana Godlewskiego: „Jeszcze z większą radością muszę skonstatować, podnieść i podkreślić, że p. Dmowski, odwołując się do wczorajszej dyskusji w sprawie wywłaszczenia przymusowego, oświadczył, że nie tylko rozumie ogólny przeciwko temu środkowi w naszym zebraniu protest, ale że tego protestu słuszność uznaje. Ponieważ ogół przywykł widzieć w panu Dmowskim niejako wcielenie opinii stronnictwa, mającego wpływ w kraju, ponieważ dalej p. Dmowski występował wczoraj jak gdyby w imieniu b. Koła Polskiego, a obecni w sali członkowie tego Koła ani wczoraj, ani dziś przeciwko temu, co mówił, nie protestowali, mamy słuszną zasadę mniemać, że opinię jego podzielają. Dlatego podnoszę ten fakt z wielką radością, bo nie o sprawowanie jakiegoś sądu nad winnymi niewłaściwego postawienia sprawy wywłaszczenia przymusowego w Dumie zebraniu naszemu chodziło, ale o przyjsście do porozumienia — jak się w tej sprawie zachować na przyszłość; bo przytym fakt ten zdaje się wogóle rokować nadzieję, że blizcy już jesteśmy tego, czego wszyscy gorąco pragniemy — jedności, na której ma spocząć przyszła nasza siła!“

Nadzieje nie zawiodły rzecznika ugodowców: w trzeciej Dumie Koło Polskie pod wodzą pana Dmowskiego w sprawie rolnej szło ręką w rękę z czarną sotnią, głosowało za prawem 22 listopada, które ma wydać „obszary“ na łup drobnych lichwiarzy i wyzyskiwaczy wiejskich i przeprowadzić proletaryzowanie milionów włościan rosyjskich zapomocą barbarzyńskich sposobów, a nadto pan Dmowski jest gotów poddać się kierownictwu politycznemu ugodowców, stając na ich gruncie.

Pomiędzy posłami N. D., o których obecności wspomina pan Godlewski, był pan Grabski. Nie bronił atoli na tym zebraniu znacznych ziemian swęgo programu częściowego wywłaszczenia przymusowego na rzecz urzędu kolonizacyjnego: przynajmniej niema o tym słówka w sprawozdaniu. Może nie chciał pan poseł zakłócać harmonji, a może tylko zabrakło mu odwagi.

Ostatnie przypuszczenie nasuwa jego broszura „Koło Polskie, sprawa agrarna i ruch wolnościowy w Rosji“. W broszurze tej bowiem drwi bardzo ostro „z zespolenia ideałów narodowych z obroną świętości praw własności prywatnej“, którym „popisują się wśród zgromadzeń większych właścicieli ziemskich mówcy utytułowani“. Pouczające czyni wrażenie ten świecznik „narodu“, co zapomniał ję-

zyka w gębie dla obrony swego projektu na zebraniu obszarników, a w trzy miesiące później drwiący sobie z tych samych obszarników i szafujący demokratycznym frezesem przed zebraniem wyborczym¹). Warto zatrzymać się na tej broszurze nieco dłużej, gdyż tu pan Grabski obszernie uzasadnia taktykę Koła, a jest to obrona, której pominąć nie należy. Na stronie 14-tej czytamy: „Koło wyraźnie zastrzegło, że reforma agrarna w Królestwie Polskim tylko autonomicznie rozstrzygniętą być może... Przyjęli zaś z projektu reformy agrarnej jedno: przyjęli w zasadzie prawo przymusowego wywłaszczenia większej własności rolnej drogą reform prawodawczych. Zostało to przez każdego z przemawiających członków Koła Polskiego jasno zaznaczone i nie może być żadnej co do tego wątpliwości, że zasadniczo Koło Polskie stanęło w sprawie agrarnej na istotnie demokratycznym stanowisku“. — Prosimy zauważyć: przyznanie w zasadzie wywłaszczenia jest zdaniem p. Grabskiego oznaką istotnie demokratycznego stanowiska.

Na stronie 15 czytamy: „Koło Polskie byłoby najzupełniej w zgodzie z istotnie postępowymi i demokratycznymi prądami w społeczeństwie polskim istniejącymi, gdyby się było oświadczyło w Izbie Państwowej zasadniczo przeciwko prawu wywłaszczenia“.

Na stronie 18: „Nikt nie może dowieść, że przymusowe wywłaszczenie większej własności w zastosowaniu do Królestwa Polskiego nie jest istotnie bałamuctwem politycznym“.

Na stronie 19: „I właśnie dlatego, że Koło Polskie widziało całą bałamutność hasła wywłaszczenia, musiało ono w zasadzie za prawem wywłaszczenia się oświadczyć“.

A więc: 1) oświadczyć się za zasadą wywłaszczenia jest cechą demokratyzmu, 2) oświadczyć się przeciw zasadzie wywłaszczenia można, pozostając w zgodzie z istotnie demokratycznymi prądami, 3) przymusowe wywłaszczenie jest bałamuctwem, 4) ponieważ to jest bałamuctwem, trzeba było oświadczyć się za tym w zasadzie. — Czytelnik broszury chwyta się za głowę, a przekonawszy się, że nie jego w tym wina, gdy zrozumieć nie może, gotów posądzić wybitnego posła o brak piątej kleпки. Ale nie! Pan poseł przyznaje z zimną krwią, że całe przedstawicielstwo polskie w tej sprawie łągało w Dumie, że członkowie jego mówili przeciw własnym przekonaniom. To samo potwierdzają zresztą Stecki i Kiniorski. Pośród wielu potworności polityki polskiej szlachty i burżuazji, to przyznanie się do fałszu wyróżnia się cynizmem.

Lecz pan Kiniorski zdobywa się na jaskrawszy jeszcze cynizm zaznaczając, że przedstawiciele N. D. łągali świadomie nietylko w Dumie. Mówi bowiem tak o taktyce swego stronnictwa: „Obawa zrażenia siebie ludu nie pozwalała na jasne postawienie sprawy. Dlatego o sprawie rolnej mówiło się ludowi półgębkiem, pomijając najchętniej ten temat, o ile okoliczności na to pozwalały. W przeciwnym razie, gdy nie można było uniknąć drażliwej kwestji, przystępowano do wykładu, w którym wszystkie przesłanki były przeciwko wywłaszczeniu, w konkluzji jednak, dla skaptowania słuchaczy, bąkało się coś nieoświadczenia o szczupłości działek, o konieczności powiększenia tychże choćby drogą przymusowego wywłaszczenia, którego ofiarą padały zwykle majoraty i nieistniejące prawie grunta rządowe. Inne kate-

¹) Mowa, wydowiedziana na zebraniu przedwyborczym wyborców ziemi Warszawskiej d. 18 lutego. Warszawa, 1907.

gorze własności rozplywały się w ogólnikowych hasłach o poświęceniu interesów warstw zamożniejszych dla dobra ludu, przyczem zacierano granicę tego poświęcenia, a to choćby dla tej prostej przyczyny, że sami prelegenci nie byli i nie mogli być pod tym względem dostatecznie uświadomieni“. Więć fałsz i świadome łgarstwo zarówno w stosunku do tych, których narodowi demokraci chcieli mieć sojusznikami w Dumie, fałsz i świadome łgarstwo również w stosunku do włościan, „dla skaptowania słuchaczy“. Nie miał racji stary Ben Akiba: tego jeszcze nie było! Bezprzykładnym jest cynizm tego wyznania, ale bezprzykładnym jest i to, że partja polityczna, której przewódcy składają takie wyznanie, może jeszcze odgrywać rolę w społeczeństwie. Jest to jednym jeszcze dowodem politycznego zdzierzenia klas posiadających w Polsce.

Kontrewolucja wzięła górę; w Dumie łąć już nie potrzeba, obszarnicy są pewni, że Skąlonowie i Kaznakowowie na razie ochronią ich od niebezpieczeństwa, trzymając w uległości zarówno robotników miejskich, jak parobków i chłopów. Wobec tego urwała się literatura burżuazyjna o kwestji rolnej w Polsce, wobec tego szczere wyznania nie są już niebezpieczne.

Trzy lata rozwoju partji włoskiej.

Napisała Oda Olberg-Lerda.

(Rzym).

(Napisane dla Przeglądu Socjaldemokratycznego).

Włochy znajdują się — mniej więcej od początku bieżącego stulecia — w okresie szybkiego rozwoju ekonomicznego, uwydatniającego się w rosnącym uprzemysłowieniu kraju, znacznym zwiększeniu handlu zewnętrznego i kwitującym stanie finansów państwowych. Ruch ludności coraz bardziej staje się takim, jak krajach najbardziej postępowych pod względem gospodarczym, i traci ów typ wschodnio-europejski o wysokiej liczbie urodzeń i wysokiej śmiertelności, do którego jeszcze przed 30 laty bardzo się zbliżał. Jeśli pomimo to wychodztwo ma tak olbrzymie rozmiary — w roku 1907 wyemigrowało z Włoch 704 000 osób — to okoliczność ta tłumaczy się zubożeniem południowych prowincji, które są odsunięte od korzyści rozkwitu przedewszystkim wskutek niedogodnej komunikacji oraz wskutek faktycznego trwania feudalizmu, zawdzięczającego swe dotychczasowe istnienie ciemnocie i politycznemu upośledzeniu klasy nieposiadającej, pozbawionej środków obrony, oraz czysto pasorzytniczej warstwie właścicieli ziemskich. Ale to smutne położenie południa — jakkolwiek niepomyślnie odbija się na terażniejszości, jakkolwiek groźne i złowrogie jest dla przyszłości, może już najbliższej, nie jest w stanie zaćmić ogólnego obrazu rozkwitu, który dają obecnie Włochy. Prowincje południowe obrachują się kiedyś z całym krajem i wtedy nastąpi ciężka dla Włoch chwila; ale jak dotychczas, prowincje te są łupem ekonomicznym Włoch północnych i środkowych, które wyciskają swe piętno na ekonomice całego kraju.

W tym okresie rozkwitu i nasza partja uczyniła wielkie po-

stępy. W roku 1896, gdy przesilenie ekonomiczne ciążyło jeszcze nad krajem, liczyliśmy 19 121 zorganizowanych. Wprawdzie następny rok przyniósł nam przyrost 8 000 członków, ale jednoczesny kryzys polityczny i ekonomiczny w r. 1898 obniżył znowu liczbę zorganizowanych, tak że w roku 1900 staliśmy na tym samym poziomie, co przed czterema laty. Wraz z pomyślniejszą konjunkturą następuje nowy wzrost: mamy 37 000 zorganizowanych w r. 1902, 42 000 w 1903, 45 000 w następnym. Aczkolwiek jednak jesteśmy w dalszym ciągu w okresie siedmiu lat tłustych, wzrost organizacji doznaje obecnie pewnego zastoju, a nawet ujawnia się nieznaczne cofanie. Jednocześnie zmniejsza się wpływ polityczny partii socjalistycznej w kraju.

To zahamowanie rozwoju, które chyba w podobnych rozmiarach nie zaznaczyło się w żadnej innej partii socjalistycznej, tłumaczy się tym, że pierwsza faza ruchu upłynęła w bardzo przyjaznych okolicznościach dzięki pomyślności gospodarczej i nieznaney dotychczas wolności politycznej. To, co wtedy osiągnięto, gdy zdobycze niemal bez walki spadały partii i związkom jak z nieba, przypisywano doskonałości metod socjalistycznych, nie zaś postępowi czasu. Gdy następnie okres łatwych zwycięstw się skończył i gdy walka klasowa zaczęła nasuwać mniej więcej więcej normalne trudności, rozwój partii i związków cofnął się znacznie wstecz.

Nowe stulecie przyniosło Włochom nowe rządy. Ze zmianą monarchy zaznaczył się wyraźny zwrot w stronę liberalizmu: wolność związków i zgromadzeń, która dotychczas istniała tylko w literze konstytucji, weszła w codzienną praktykę prawną. Związki zawodowe, które dotychczas nędznie wegietowały, wzmożyły się, czemu sprzyjał wzrastający popyt na siły robocze oraz nagły a olbrzymi ruch strejkowy, który zastał przedsiębiorców nieprzygotowanych i kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa. Zdawać się mogło, że związki zdolne są rozwiązać wszystkie kwestje i że praktyka związkowa zawiera w sobie cały dojrzewający socjalizm. Na tym gruncie rozwinęła się iluzja reformistyczna, która dosięgła szczytu w głosowaniu za ministerjum Zanardelli-Giolitti. W dziejach partii najdobitniej ujawniła się ta tendencja na zjeździe w Imola (1902). Lecz iluzja ta niedługo trwać miała. Upojenie tryumfalne związków zawodowych ustąpiło wkrótce miejsca wielkiemu otrzeźwieniu, ponieważ niespodzianie zaskoczeni i pokonani przedsiębiorcy zorganizowali się ze swej strony. Przeciwieństwa klasowe, które nie dochodziły do świadomości dzięki tradycjom i formom demokratycznym, wystąpiły nagle z nieznaną dotychczas jaskrawością wskutek otwartego starcia interesów. Pierwsze zwycięskie strejki usunęły poczęści anachronistyczne warunki płacy, co nie wymagało wielkiego nakładu siły, lecz dalsza walka z przedsiębiorcami posuwała się nadzwyczaj wolno. Przedsiębiorcy zabrali się teraz do obrony równie energicznie, jak we wszystkich innych krajach, zwycięstwa robotników zmieniły się w klęski, a po upojeniu tryumfem nastąpiło ogromne rozczarowanie. Organizacje zawodowe rozpadły się również szybko, jak powstały, bo nie łączył ich idealny węzeł wspólnych przekonań.

Tak więc, ruch partyjny i związkowy doznał w okresie pomyślnej konjunktury silnego zahamowania rozwoju, rozciągającego się na wszystkie jego części. Jak wielkim było poprzednio przecenienie swojej siły, tak wielkim teraz było otrzeźwienie. W wewnętrznym zaś życiu partii musiało to mieć ten skutek, że reformiści, któ-

rzy dali teoretyczną formułę tego przecenienia, stracili kredyt. Ujrzano zbyt wyraźnie, że ich ministerjalizm daleko więcej kosztował proletarjat, niż mu przyniósł pożytku, że apolityczne związki zawodowe okazały się bezsilne w czasach klęski. Na zjeździe w Bolonii (1904) dokonano porachunku; reformiści zostali pobici i zwyciężyła koncentracja antiministerjalna, t. zw. lewe centrum, której przewodcą był Henryk Ferri.

W ciągu czterech lat, które upłynęły po zjeździe bolońskim, partja przeszła ciężki kryzys wewnętrzny, w którym odbijało się jeszcze pierwsze wielkie rozczarowanie i który ze swej strony znowu również się nie przyczynił do podniesienia wpływu politycznego partji i jej siły przyciągającej w stosunku do proletarjatu. Pierwsze niepowodzenia, które przeważnie były skutkami ogólnej sytuacji politycznej i społecznej kraju, a których partja nie umiała należycie ocenić, położono wyłącznie na karb metod partji i rzucono się naošlep do nowych metod. Wobec tego teoria syndykalistyczna, przeniesiona z Francji, znalazła żyzny grunt. Ale zapewne pozostałaby ona dla naszej partji najwyżej przelotnym eksperymentem, gdyby propaganda reformistyczna nie wzbudziła w partji przeciwnego dążenia do rewolucyjnego i proletarjackiego socjalizmu. Gdyby ferriani potrafili skutecznie stawić czoło reformizmowi, zamiast przejmować jego oportunizm, to pierwiastki prawdziwego socjalizmu, tkwiące w syndykalizmie, nie mogłyby się wydać części proletarjatu tak ponętną nowiną. Syndykalizm wzmógł się wskutek karygodnego niedbalstwa naszej partji. Zyskiwał on zwolenników zapomocą dawnych zasad partyjnych, których nie powinniśmy byli nigdy tracić z oczu, zapomocą podstawowych idei marxistowskiego socjalizmu. Ale jednocześnie prowadził on do własnego swego rozkładu bezmyślnym wysławianiem przemocy, odrzucaniem wszelkiej działalności reformatorskiej, dalszym rozwijaniem idei reformistycznej, zmierzającej do roztopienia partji w związkach. Aczkolwiek syndykalizm miał w swych szeregach dzielne umysły, jak np. Henryka Leone i Artura Labriolę, czynił on wprost systematycznie wszystko, co tylko mógł, aby zdyskredytować swą działalność. Syndykaliści zakładają własny dziennik, który przedewszystkiem zajmuje się zwalczaniem *Avanti* i co do którego po kilku miesiącach wychodzi na jaw, że otrzymuje on wsparcia z tajnych funduszów rządowych, o czym coprawda redaktor naczelny Leone nie wiedział! Syndykaliści organizują strejki robotników rolnych — mianowicie *parmeńskich*, — które przeprowadzano z wielkim hałasem i z olbrzymimi ofiarami ze strony proletarjatu, aby skończyć na druzgocącej, zabójczej klęsce! Na strejki te cały proletarjat włoski zbiera setki tysięcy, aby je stracić bez żadnego pożytku — więcej jeszcze — aby później w różnych prowincjach kraju i zagranicą spotkać jako łamistrejków tych samych strejkujących robotników, którzy musieli wyemigrować (Parmy 1).

1) Stojąc poza ruchem włoskim, trudno oczywiście sądzić o słuszności powyższej oceny strejku parmeńskiego. Porażka bowiem nie może jeszcze — jak to zwykle bywa przy walkach proletarjatu — sama jedna stanowić o jego znaczeniu. Pomimo całej bezsensowności frazeologii syndykalistycznej i szkodliwość tego kierunku we włoskim ruchu robotniczym, nie należy zapominać, że wpływy takich olbrzymich ruchów masowych jak strejk parmeński wychodzą z konieczności daleko po za zamiary przewodców i granice ich taktyki. Zadziwiająca solidarność proletarjatu włoskiego, jego niewyczerpana ofiarność, które tak jaskrawie wystąpiły przy

Gdy partja i Konfederacja pracy urządziły ankietę, która wykazała, że strejk nie ma widoków powodzenia, i nakazały zaprzestać zbierania składek na fundusz strejkowy, obrzucono je obelgami, oskarżano o zdradę i t. p. I przytym syndykaliści parmeńscy nie umieli odeprzeć podejrzenia, że ostatni swój zjazd organizowali za środki, zaczerpnięte z funduszu strejkowego!

W ten sposób syndykaliści, którzy już od roku postanowili wystąpić z partji, doprowadzili do tego, że partja socjalistyczna ze swej strony na zjeździe we Florencji uznała, iż zasady i metody syndykalistyczne nie dają się połączyć z jej zasadami i metodami. Miało to ten zbawienny skutek, że wyjaśniło sytuację, ale pozostałości kryzysu syndykalistycznego trwają jeszcze dotychczas. Gdyż równie jak pewnym jest, że syndykalizm początkową swą żywotność zawdzięczał zanikowi ducha socjalistycznego, wybujałości reformizmu, tak też nie ulega wątpliwości, że wzmógł on reformizm bardziej, niż wszelkie inne czynniki, leżące poza partją. Swym epileptycznym awanturnictwem i pozą rewolucyjną syndykaliści przynieśli wielką szkodę całemu rewolucyjnemu skrzydłu partji. Zwłaszcza w ruchu zawodowym reformiści odrzucali ku syndykalistom wszystko, co nie jest reformistyczne, zarówno „rewolucjonistów“ (frakcja Awangardja na zjeździe w Bolonji) jak „nieprzejednanych“ (lewe centrum). Ponieważ prasa partyjna, aż do małych tygodników, znajdowała się wyłącznie w rękach reformistów, zawsze to fałszerstwo mogło się udawać. Od dwóch lat stale zmuszała ona nieprzejednanych i rewolucjonistów do pokazywania, że nie są syndykalistami. Nadto popehnęła ona do obozu reformistycznego wszystkich antisyndykalistów w związkach zawodowych — a syndykaliści już się postarali, aby takich nie brakowało. Tak więc syndykalizm był na posyłkach u reformizmu i, uważając go za swego największego przeciwnika, przyczynił się jednak do jego wzmocnienia. Jeśli zważyć na świadome zamiary przewodców, to wynik okazuje się wprost tragicomicznym, — lecz istocie obu prądów odpowiada on w zupełności, gdyż oba nie są sobie zgoła tak przeciwstawne i wrogie, jak same przypuszczają. Wszak zarówno syndykaliści, jak reformiści spodziewają się, że przewrót społeczny będzie wynikiem praktycznej akcji i polityki realnej związków zawodowych; wszak i ci i tamci są jednakowego pokroju „ekonomistami“. Jeżeli syndykaliści sądzą, że ruch zawodowy, uwolniony od ducha politycznego, będzie ruchem rewolucyjnym, to pogląd ten odróżnia ich od współtowarzyszy „z drugiego brzegu“, ale różnica ta opiera się na złudzeniu i musi zniknąć z chwilą, gdy syndykaliści przejdą od teorii do praktyki.

Jeśli w ten sposób syndykalizm w ciągu trzech lat był kulą u nogi „nieprzejednanych“, to jednocześnie reformizm w rozwoju swym opisał dziwną krzywą linię. Przedewszystkim wysunął on swe szczególne właściwości w tym samym stopniu, w jakim syndykalizm wysunął swoje. Dowiedzieliśmy się w ten sposób, że dla zdobycia po-

tej sposobności na jaw, przedewszystkim zaś zacięty, nieprzejednany, rozpaczliwy opór, stawiany w ciągu wielu tygodni przez dziesiątki tysięcy robotników rolnych — tej najbardziej ubogiej materjalnie i duchowo warstwy robotniczej — wywołały podczas strejku niepodzielny podziw w całej międzynarodowej prasie socjalistycznej. Nawet prasa burżuazyjna odczuła w tym poruszeniu masy proletarjackiej przejaw walki klasowej ogromnej doniosłości, i trudno mam przypuścić, aby ta walna bitwa dała same tylko skutki ujemne.

Redakcja „P. S.“

lepszeń nie przebiera on w środkach i że zmierza do tego, by stać się rządową partją robotniczą albo raczej roztopić się w rządowej partji robotniczej. Celem jego jest zorganizowanie „bez doktrynerskich uprzedzeń“ „robotników bez różnicy“, a więc włączając w to urzędników, nauczycieli gimnazjalnych, lekarzy, wogóle wszystkich, którzy za swe przedstawicielstwo polityczne uważają frakcje parlamentarne skrajnej lewicy. Przy sposobności koła te żądały również odrębnego przedstawicielstwa parlamentarnego dla swych organizacji. Oczywiście reformiści rościli sobie prawo również do zajmowania miejsc ministerjalnych: „W kwestji wstępu do ministerjów“ rzekł Bissolati na zjeździe w Rzymie (r. 1906) „tkwi cały reformizm“. Szło im również o to, aby walka klasowa straciła swe brutalne formy, zbył odstrasżające burżuazję. Stąd wynikały sympatje reformistów dla zakazu strejków funkcyjnarjuszków publicznych tudzież dla obowiązkowych sądów rozjemczych. Krótko mówiąc, formuła reformistów brzmiała w następujący sposób: „Proletariat powinien czynić wszystko, co tylko może, aby przedostać się do urzędzeń burżuazyjnego społeczeństwa; gdzie zaś proletariat jeszcze nie dojrzał do tego, aby poznać głęboką wspólność swych interesów z interesami pewnej części burżuazji, powinni zastępować go w tym jego przedstawiciele, wyniesieni siłami proletariackimi lub burżuazyjnemi, nie oglądając się na to, czy proletariat ich zrozumie, czy jego instynkt klasowy ich poprze, działając jako szczytni pośrednicy pomiędzy proletariatem a historją“. Reformiści sądzili, że przeniknęli tajemnicę historji i mogą ją teraz urzeczywistnić w tani sposób empiryczny, zupełnie się nie licząc z psychologją mas, a przebiegle wynajdując punkty najmniejszego oporu.

Lecz ten reformizm, który jeszcze na zjeździe w Rzymie wystąpił w ostrych zarysach, później zatracił wyrazistość swych cech. Nie ten reformizm zwyciężył we Florencji, lecz embrjonalny, nierozwinięty, zalękniony reformizm, który ukształtował się w ciągu półrocza, poprzedzającego ostatni zjazd, reformizm, któremu bardziej chodziło o dojście do panowania w partji, niż o zachowanie swej istoty — słowem, reformizm, umiejący się zadowolić integralistycznym porządkiem dziennym. Podobnie jak większość partji burżuazyjnych, reformiści doszli do wniosku, że warto poświęcić część swych przekonañ i swego programu, aby dojść do władzy w partji jako kierunek większości.

I oto zacieśnili swój reformizm do granic integralizmu, właśnie po to, aby wyprzeć integralizm. Mogło się to udać dlatego tylko, że integralizm zawierał wiele pierwiastków reformistycznych, lecz faktycznie było pogwałceniem tego, czym integralizm chciał być.

Gdy na kilka miesięcy przed zjazdem rzymskim wewnętrzna waśń doszła do punktu szczytowego, gdy główne objawy życia partji włoskiej polegały na wzajemnym lżeniu się reformistów i syndykalistów, Morgari, towarzysz o najszczerzych przekonaniach i gorąco przywiązany do ruchu, spróbował skupić wszystkich towarzyszy dobrej woli pod sztandarem prymitywnego socjalizmu. Nazwał on ten ruch „integralistycznym“, ponieważ miał „zintegrować“ dobre strony obu kierunków, odrzucając w nich to tylko, co stanowiło zwyrodnienie, co nie zgadzało się z socjalizmem. Ten integralizm miał charakter nawskroś subiektywny, i streszczał się właściwie w następującej formule: Wszystko można robić, byleby w duchu socjalistycznym i w zgodzie z ideałami socjalizmu. Tego subiektywizmu,

który przenosił punkt ciężkości do pobudek, do wewnętrznego stanowiska jednostki, integralizm nigdy nie mógł się wyżyć. Wszystkie jego próby przeprowadzenia obiektywnych granic były mniej lub więcej nieudolne. Morgari ujmował kwestję jedynie praktycznie i w ten sposób rozdrobnił ją na setki szczegółów. Brak uzasadnienia teoretycznego, a nawet jakiegokolwiek teoretycznego postawienia kwestji sprawił, że integralizm nie mógł odgraniczyć się ani z prawej ani z lewej strony. Chciał on zapobiec zwyrodnieniu partji do burżuazyjnej demokracji albo anarchizmu, ale doszedł do przekonania, że żadna taktyka — począwszy od współpracownictwa z rządem, a skończywszy na powstaniu ulicznym — sama w sobie nie jest jeszcze niesocjalistyczną. Dlatego też porządek dzienny Morgariego, zgadzający się prawie we wszystkich punktach z porządkiem dziennym, przyjętym przez zjazd, starał się wywołać ducha socjalistycznego zapomocą rozmaitych zakłęb: mamy więc tam agitację wyborczą w duchu programu maksymalnego, odrzucenie udziału w rządzie, podkreślenie prawa strejków funkcjonariuszy publicznych, uznanie strejku powszechnego i t. d.

Ale nie należy zapominać, że integralizm powstał i wzmógł się jako proletariacka reakcja przeciwko subtelnosciom teoretycznym inteligencji. W masie towarzyszy partyjnych zyskał on popularność, jako prąd antireformistyczny, i aczkolwiek uznawał — z wyjątkiem udziału w ministerjum — wszystkie żądania reformistów: możliwość głosowania za gabinetem i zawierania bloków wyborczych z partjami skrajnej lewicy — to przewidywał je tylko jako wyjątki, podczas gdy rewizjoniści są do nich gotowi nawet w warunkach normalnych. To też jeżeli na zjeździe w Rzymie, gdzie reformiści całą ławą głosowali za porządkiem dziennym Morgariego, integralistów spotkało to, na co zasłużyli swą niejasnością teoretyczną, to we Florencji stała się im niesłuszna krzywda, gdy reformiści przywłaszczyli sobie ich rezolucję i ich głosy. Aż do zjazdu w Rzymie integralizm wogóle nie mógł jeszcze wystąpić w praktyce i łatwo było sądzić go tylko wedle jego słów. Lecz w chwili zjazdu florenckiego integraliści mieli już za sobą dwa lata praktyki, która się jaskrawo różni od praktyki reformistycznej swą postawą wobec strejku powszechnego, obroną swej niezależności w stosunku do Konfederacji pracy, chcącej wodzić partję na pasku, wreszcie przestrzeganiem karności partyjnej. Od czasu zjazdu rzymskiego, na którym integralizm zwyciężył przy poparciu głosów reformistycznych, które zresztą decydującej roli nie odegrały, — integralizm coraz wyraźniej wyodrębniał się od reformizmu: dlatego reformiści popełnili akt nieszczerości politycznej, jeżeli osiągnęli we Florencji zwycięstwo zapomocą integralistycznego porządku dziennego,

Chodziło w danym razie nie o rozwiązanie, tkwiące w logice rzeczy, lecz o fortel. Morgariemu byłoby łatwo zapobiec zagarnięciu swej rezolucji przez reformistów. Reformiści przybyli do Florencji z całą gotowością do ustępstw teoretycznych w nadziei, że powodzenie wynagrodzi ich za przemilczenie znacznej części ich programu. Gdy jednak ujrzeli, że mogą liczyć najwyżej na $\frac{2}{5}$ głosów, chcieli się sprzymierzyć z integralistami, co doprowadziło do takiej sytuacji, jaka była w Rzymie. I otóż zdarzyło im się szczęśliwie, że Morgari odrzucił propozycję przymierza, ponieważ zdała mu się nieprawdziwą i nieszczerą, gdy tymczasem większość integralistów przychyliła się do niej. Reformiści uznali więc poprostu tę większość za nawróconą

na reformizm, schowali całe zwycięstwo do swojej kieszeni i opowiedzieli Avanti i Zarząd partyjny. Że koniec końcem we Florencji przeszedł nie reformistyczny porządek dzienny, lecz integralistyczny, pociecha stąd niewielka: bądź co bądź zwyciężyli reformiści, poczym zupełnie nie owijając w bawełnę oświadczyli, że formuły zjazdu bynajmniej ich nie obowiązują.

Można się coppersawda spodziewać po reformistach, którzy są oportunistami z zasady, że będą mieli dość zmysłu oportunistycznego, aby nie częstować partji naraz zbyt wielkimi dawkami reformizmu. Inaczej łatwo mogłoby się im zdarzyć to samo, co gabinetowi ministerjalnemu, który wskutek przypadkowego głosowania dochodzi do władzy, nie posiadając właściwej większości. Nie sądzimy, aby niepodobna było uzyskać większości partji zapomocą umiarkowanego reformizmu. Jeżeli Zarząd uczyni wszystko, co się da, aby sprostać wielkim wymaganiom sekcji partyjnych, jeżeli Avanti będzie lepiej prowadzony technicznie, a przytym nie będzie zbyt frakcyjny, to być może, że większość towarzyszy przychyli się do nowego kursu, chociaż poprzednio była mu przeciwna.

Ogólna sytuacja polityczna ułatwi reformistom niewystępowanie ze swemi dążnościami do popierania ministerjum. Piękne czasy, w których socjaliści „pchali rząd naprzód“, jak się wyraził Turati, minęły bez śladu. Rządowi nie zależy wcale na głosach socjalistycznych. Gdy wiosną 1905 roku frakcja — wbrew wyraźnemu veto zjazdu w Bolonji — postanowiła głosować za konserwatywnym ministerjum Sonnino jedynie dlatego, że minister ten cieszył się opinią uczciwego człowieka, wówczas był to dla ministerjum dar prawdziwie danajski. Nie udało jej się również wcale sprzedać swej miłości, bo Sonnino wogóle nie śmiał żądać żadnego votum. Wprawdzie Turati wraz ze swą szkołą sądzi, iż frakcja partyjna ten swój brak wpływu zawdzięcza jedynie tej okoliczności, że nie jest dość reformistyczną; na to teraz łatwo dałoby się poradzić. W rzeczywistości jednak wielki wpływ, który mogła wywierać frakcja socjalistyczna za czasów ministerjum Zanardelli-Giolitti tłumaczy się tym, że pełniła ona wówczas funkcję partji liberalno-burżuazyjnej i przypadkiem nieliczne jej głosy decydowały o egzystencji liberalnego ministerjum.

Krótki ten okres, w którym, mówiąc schematycznie, liberalizm kapitału przemysłowego zatrzymał nad konserwatyzmem właścicieli ziemskich — ten okres obecnie przeminął. To, co dziś występuje jeszcze jako liberalizm, leży bezpośrednio lub pośrednio w interesie wszystkich części burżuazji. Giolitti ma o wiele znaczniejszą większość, niż wogóle może potrzebować. Z tą większością może on robić wszystko, ponieważ nie jest ona przywiązana do ministerjum jako stronnictwo lub koalicja stronnictw, lecz musi mu być powolną wskutek rozmaitych zobowiązań osobistych. Ministerjum Giolittiego który z gruntownej znajomości swojej klasy wysnuwa równie głęboką pogardę dla niej — można powiedzieć, że rzędzi on z batem w rękę, — ciąży ogromnym brzemieniem na parlamentarnym życiu kraju. Większość nie ma już inicjatywy, nie ma własnych myśli, nie ma krytycyzmu — jest tylko posłuszna, jak pudel. Cóż ma tu robić frakcja socjalistyczna, o ile zaraziła się ogólnym niedołęstwem izby, dobiegającej do końca swej kadencji, i w dodatku nie ma ochoty z kimkolwiek zadzierać? W jaki sposób frakcja nasza w tym środowisku i przy swym składzie, do którego wchodzi ludzie, oddawna

wystygli z zapału młodzieńczego, może rozwinąć jakąkolwiek akcję? Socjalistyczna frakcja parlamentarna jest właśnie teraz suchą gałęzią na drzewie partji — nawet reformistom da ona djabło mało sposobności do „pozytywnej pracy reformatorskiej“, jak i wogóle do wszelkiej pracy...

Czy reformistom pozostaje bodaj sposobność prowadzenia walki wyborczej w swoim duchu? Ze zjazd uznał bloki wyborcze tylko jako wyjątki, a samodzielne wystąpienia jako regułę, — to zapewne nie wstrzymałoby reformistów od daleko idących przymierzy. Ale z kimże mają zawierać przymierza? Partje, uznane za godne tego odznaczenia, burżuazyjni radykali i republikanie, znajdują się w stosunku do naszej partji prawie wszędzie w następującym położeniu: albo nie mają nic do dania, albo nie chcą nic dać. Gdzie są pewni swej większości, rzekają się chętnie przymierza z socjalistami. W innych okręgach nie mają oni zorganizowanych wyborców i partja wie z doświadczenia, że przyrzekane przy blokach wzajemne poparcie zarówno u radykałów, jak u republikanów, prawie zawsze zawodzi. W ten sposób z wielkiego bigosu wyborczego tym razem nic nie będzie, ponieważ znowu złośliwe fakty sprzeciwiają się życzeniom reformistów. Wprawdzie, jeśli wierzyć Turatiemu, socjaliści sami są sprawcami tej sytuacji: sami bowiem odepchnęli radykałów i republikanów i zdyskredytowali ich. My sądzimy, że obie te partje same dostatecznie dbały o to, by się zdyskredytować, podobnie jak dbała o to nasza frakcja parlamentarna.

W ten sposób rządzącym obecnie w partji reformistom pozostaje jedno tylko swobodne pole do rozwijania swych osobliwości: stosunek do związków. Wszak dla reformistów partja jest właściwie tylko organem wykonawczym związków, lub raczej Konfederacji pracy.

Reformiści od samego początku uważali włoski ruch zawodowy za swoją prywatną posiadłość. W istocie dokonali oni tam dość znacznej pracy organizacyjnej, jak np. w Reggio Emilia, gdzie coprawda zachodzi wielkie pytanie, co charakteryzuje tamtejszych towarzyszy jako reformistów, oprócz osobistego ich upodobania do tej nazwy. Podobnież i w prowincji Genui związki, założone przez rewolucjonistów, znajdują się obecnie pod kierownictwem reformistów; to samo dotyczy i niezbyt silnego zresztą ruchu zawodowego w mieście Medjolanie. Natomiast organizacje prowincji Mantua są kierowane wyłącznie przez rewolucjonistów, a wszyscy członkowie organizacji zawodowej i współdzielczej — w liczbie około 30 000 — należą do federacji partyjnej tej prowincji (nie do organizacji centralnej). Również i związek kolejarzy, liczący 50 000 członków, jest przeważnie rewolucyjny. Jeśli więc reformiści uważają cały ruch zawodowy za dzieło swego kierunku, to łudzą samych siebie, podobnie jak się łudzą, gdy wszelką działalność organizacyjną nazywają skromnie pracą reformistyczną.

Centrala włoskiego ruchu zawodowego, Konfederacja pracy, powstała jako organizacja wyraźnie reformistyczna. I trzeba przyznać jej założycielom, że w przeciwieństwie do poprzednich centralnych organizacji, które wiodły pozorny tylko żywot, stworzyli oni zdolny do pracy organizm. Konfederacja liczy obecnie 306 957 zorganizowanych, płacących stałe składki. Na swym zjeździe w Modenie (we wrześniu 1908) pokazała ona, że chce położyć kres polityce niskich składek, bezmyślnych strejków przy pustce w kasach i lokalizmowi;

reprezentuje ona najbardziej nowożytną część włoskiego ruchu zawodowego.

Ruch ten różni się od ruchu krajów niemieckich i Europy północnej tym, że z jednej strony jest wyłącznie ruchem odpornym, nie znającym systemu zapomogowego, z drugiej zaś — zawiera w sobie dwojakie formy zjednoczenia: związki zawodowe i izby pracy¹⁾. Gdy związek centralny, podobnie jak w Niemczech, obejmuje związki jednego zawodu, izba pracy ogarnia związki zawodowe jednej miejscowości lub jednej prowincji. Izba pracy ma szerszy zakres działania, niż związek centralny: należy do niej kierownictwo całym lokalnym ruchem ekonomicznym, a częstokroć i politycznym. Z początkiem roku bieżącego 44 izby pracy miały własne biblioteki, 19 — własne szkoły, 41 — udzielały pomocy lekarskiej, 63 — porad prawnych, a 39 — posiadało własne biura stręczenia pracy. Do izb pracy należy o wiele więcej związków zawodowych, niż do związków centralnych, ponieważ naturalnie znacznie łatwiej jest złączyć związki jednej miejscowości, niż jednej jakiejś grupy zawodowej, rozproszonej po całym kraju. Z początkiem roku istniały we Włoszech 92 izby pracy z 546 514 członkami. Dla ustalenia ogólnej cyfry zorganizowanych zawodowo nie można naturalnie zliczać członków związków centralnych i członków izb pracy.

Przedewszystkim, liczonoby wtedy wielu podwójnie, ponieważ wedle urzędowej statystyki z r. 1907 — statystyki roku bieżącego jeszcze nie posiadamy — 34% wszystkich zorganizowanych robotników przemysłowych należało zarówno do izby pracy, jak do związku centralnego. Nadto przeoczonoby wówczas związki zawodowe, nie należące do żadnej z tych dwu wyższych jednostek organizacyjnych, a obejmujące 12% wszystkich zorganizowanych zawodowo robotników, a pozatym ogromną masę zorganizowanych robotników rolnych, stojącą poza izbami pracy. Ogółem z początkiem roku bieżącego liczono w 1809 związkach robotników rolnych 425 983 zorganizowanych. Z tego 189 423 należało do izb pracy, a 108 191 do krajowego związku robotników rolnych. Ogólna cyfra zorganizowanych, którą ustali opracowywana obecnie statystyka urzędu pracy, miała w styczniu 1908 roku wynosić, okrągło licząc, 900 000²⁾, wobec 684 046 w odnośnym okresie roku ubiegłego.

Znaczna część tej liczby podlega jeszcze wielkim wahaniom. Tak naprzykład, nieudany strejk zeszłoroczny rozbił całą organizację marynarzy. Ale jądro czynnych i żywotnych organizacji trwa stale, zwłaszcza w związkach centralnych i w Konfederacji pracy.

Im bardziej ta ostatnia, obejmująca pewien ułamek zorganizowanych, rozszerzać się będzie na całość, tym bardziej tracić będzie swój charakter specyficznie reformistyczny, choćby jej przewódcy najgwałtowniej temu opierali. Uwidoczniło się to już na zjeździe w Modenie, gdzie Konfederacja pracy w kwestji stosunku do partji

1) Według statystyki państwowego urzędu pracy w początku r. 1908 z 22-ch ogółem centralnych związków (związku robotników rolnych nie uwzględniono) tylko 4 miały własne biura stręczenia pracy, 5 wypłacało zapomogę dla bezrobotnych, a 3 — zapomogi podróżne. Przy ogólnej liczbie 191 599 zorganizowanych ogólny dochód roczny wynosił tylko 583 642 lirów.

2) Spis zawodowy roku 1901 ustalił liczbę 7 787 166 robotników obojga płci w wieku od lat 16 do 65. 40,19% pracowało w przemyśle, handlu i komunikacji, 59,81% — w rolnictwie.

politycznych nie zdołała przeprowadzić wniosku swego Komitetu Wykonawczego, który proponował popieranie partji, nie tamujących walki klasowej, lecz natomiast musiała się zobowiązać do wchodzenia w stosunki tylko „z partją socjalistyczną i innymi partjami, przyjmującami metodę walki klasowej“.

Dotychczas jednak kierownictwo Konfederacji pracy jest twierdzą włoskiego reformizmu. Jest to reformizm, który tylko przez litość toleruje jeszcze partję i otwarcie dąży do tego, aby stać się partją pracy, która uprawia własną politykę, wystawia własnych kandydatów i w miejsce przestarzałych dogmatów polityczno-socjalnych stawia praktyczną realną politykę interesu.

Nikt inny jak Bissolati, nowy redaktor naczelny *Avanti*, rzucił na zjeździe zawodowym w Modenie pytanie, czy wobec realnej polityki Konfederacji pracy partja socjalistyczna wogóle ma coś jeszcze do czynienia!

Konfederacja stanie się teraz dla reformistów bardzo wymagającą sojuszniczką. Ujawnia ona zapędy władczyni, które napewno odpowiadają ideom reformistycznym, ale których większość towarzyszy partyjnych bynajmniej nie zechce znosić. Już w Modenie można było się domyślać, we Florencji zaś przekonać się namacalnie, że syndykalizm reformistyczny i jego dążenie do podporządkowania partji związkom mieć będzie większość przeciw sobie. Jakkolwiek płytki i ospały był zjazd florencki, jakkolwiek mu zbywało na pogłębieniu teoretycznym, wykazał przecież wyraźnie jedno: masa towarzyszy partyjnych spodziewa się po partji, że będzie czymś innym, niż politycznym narzędziem w rękach związków. Ba, większość czyni nawet partję odpowiedzialną za braki ruchu zawodowego. Upatruje ona w partji zaczątek ruchu robotniczego, wyraz jego idealnej treści. Nie polityki realnej żądali robotnicy we Florencji, lecz więcej idealnej treści, lecz więcej ducha socjalistycznego, rzutu oka na misję wszechdziejową proletariatu.

Ironja losu chciała, że właśnie ten zjazd, którego jedyny charakterystyczny ton stanowiło to żądanie, doprowadził do władzy reformistów, którzy to żądanie dawno między bajki włożyli. I dalej zdumiewającą już jest ironją, że reformiści, którzy zagrzeźli w kulcie faktów i rzeczywistości, przeoczyli tak olbrzymi fakt społeczny, jak potrzebę ideałów, tkwiącą w proletariacie. Nie liczą się oni z nią, jako z czynnikiem rewolucji socjalnej, chociaż jest ona niemniej realną, niż potrzeba poprawy bytu materialnego. Takie postępowanie reformistów ma swe głębokie podstawy w psychologii ruchu. Trzymając się wyłącznie strony materialnej, jako jedynie realnej, przeczają oni wielką realność dziejową, a licząc się tylko z tym, co jest namacalne i obliczalne, przerachują się niechybnie, zawiodą się jako utopiści antiidealizmu tak gruntownie, jak tylko kiedykolwiek zawodził się utopizm, zamykający oczy na rzeczywistość.

Demokracja Chrześcijańska.

Napisał K. Radek.

III. Program.

Chrześcijańscy demokraci wogóle, a szczególnie katolickiego odcienia, głoszą, że jedynie religja daje rękojmię rozwiązania kwestji społecznej oraz, że wszelkie żądania chrześcijańskiej reformy społecznej, jak również wytyczne postępowania Demokracji Chrześcijańskiej wypływają ściśle z pisma świętego i nauk ojców kościoła. W obozie protestanckim podnosiły się niejednokrotnie pod tym względem głosy powątpiewania, tak np. w jednym z dzieł pastora Pawła Göhrrego, obecnego socjaldemokraty, który przed kilkunastu laty był jednym z najwybitniejszych publicystów protestanckiego odłamu Chrześcijańskiej Demokracji, znajdujemy następujące zdanie: „Zrówną słusnością, z jednakowym materiałem dowodowym i z równą siłą dowodzenia może socjalista chrześcijański usiłować pomóc rzemiosłu przez przymusowe należenie do cechów, jak przez dowód uzdolnienia, ruch współdzielczy lub szkoły fachowe. Teżsame motywy moralne mogą oni przytoczyć dla poparcia swego stanowiska“. Całą bezpodstawność powyższego twierdzenia demokratów chrześcijańskich wykazują też dzieje ich programu. Ograniczę się do przedstawienia odysei programowej katolickiego odłamu, który jest najbardziej autorytarny i dogmatyczny.

Wspomniałem już, że założyciel Demokracji Chrześcijańskiej w Niemczech, Ketteler, miał całkiem mgliste pojęcie o kwestji społecznej. W liście do Lassalle'a, w którym prosił go o radę, pisał szczerze: „Nie wiem o sprawie tej więcej, niż mogę zrozumieć zdrowym rozsądkiem. Brak mi głębszego ujęcia rzeczy, aczkolwiek w celu wyrobienia sobie słusznego sądu czytam to, co w tej ważnej kwestji przynoszą codzienne pisma“. Ks. biskup moguncki, którego Leon XIII nazywał „swym wielkim poprzednikiem“, szukał więc oświecenia w kwestji społecznej w prasie oraz u wielkiego socjalistycznego agitatora, gdyż pismo św., z którego można wszystko udowodnić, nie dawało mu nietylko konkretnych wskazówek co do stanowiska w poszczególnych sprawach, ale nawet nici przewodniej do zrozumienia całokształtu kwestji robotniczej i jej swoistości. Uzbroiło go ono tylko w morały tak ogólne, iż dawały się zastosować do wszystkich okresów historycznych. To też w obozie chrześcijańsko-demokratycznym zawrzała ostra walka nietylko co do poszczególnych spraw, ale co do dróg, co do głównych zadań.

Widzieliśmy, jak w Niemczech, pod bezpośrednim wpływem ruchu socjaldemokratycznego, przednie, acz szczupłe koła Demokracji Chrześcijańskiej zaczęły wysuwać program państwowej ochrony robotniczej. Gdy rząd niemiecki wszedł dla powstrzymania ruchu robotniczego w dziewiątym dziesięcioleciu zeszłego wieku na drogę reform społecznych (ustawodawstwo ubezpieczeniowe), gdy z nastaniem „nowego kursu“, po wstąpieniu nowego cesarza na tron, starał się odebrać grunt socjalizmowi, którego nie zdołało zwyciężyć prawo

wyjątkowe z r. 1878, przez obietnice szerokich reform na polu ustawodawstwa ochronnego, Demokracja Chrześcijańska stanęła wobec faktu dokonanego i aczkolwiek w praktyce, przy obradach nad odpowiednimi prawami, stale działała na niekorzyść robotników, w zasadzie żądała od państwa ubezpieczenia robotników od wypadku, choroby, na starość, domagała się ochrony robotniczej i t. d. Toż samo było w Anglii, gdzie już w piątym dziesięcioleciu z. w. wywalczyli robotnicy uporczywym bojem najważniejsze prawa ochronne. Natomiast we Francji i Belgji, gdzie ruch robotniczy był słaby, wyzysk kapitalistyczny ustawowo prawie wcale nie ograniczony, gdzie więc kapitałisci bronili jeszcze zasady nagiego wyzysku, demokraci chrześcijańscy z całą furją i impetem występowali przeciw zasadzie interwencji państwa w stosunki, zachodzące między kapitałem i pracą. Hr. de Mun, założyciel francuskiej Demokracji Chrześcijańskiej, wierzył w początku swej działalności, że za pomocą wpajania zasad chrześcijańskich w klasy posiadające zyska ich poparcie w rozmiarach, niezbędnych do polepszenia bytu robotników. Gdy jednak przekonał się o złudności swych nadziei, gdy zobaczył, że zastępy robotnicze, które skupiały się koło jego sztandaru aż w 520 organizacjach (w r. 1877), zaczynają wobec bezowocności wysiłków Demokracji Chrześcijańskiej topnieć, począł propagować pogląd, że bez reform państwowych niemożliwa jest poprawa losu klas pracujących. „Znając jednak usposobienie sfer, które tak czynnie współdziałały mu dotychczas, de Mun zaczął głosić potrzebę interwencji państwowej z jak największą ostrożnością“, powołując się dla uzasadnienia swego stanowiska na powagę biskupa Kettelera i kardynała Manninga, który był persona gratissima w Watykanie. Mimo jednak powoływania się na dygnitarzy kościelnych, możni katolicy protektorowie, czerpiący mądrość z tegoż, co de Mun pisma świętego, opuścili gromadnie Demokrację Chrześcijańską i zamknęli przed nią swe kieszenie. Taż sama walka rozegrała się w Belgji. Na rok przed ukazaniem się encykliki Leona XIII, stanowiącej obecnie podstawę programową Demokracji Chrześcijańskiej, która rzekomo ściśle oparta na piśmie św., naukach ojców kościoła, a zwłaszcza „Summie“ Tomasza z Akwinu, wystawia żądania państwowych reform społecznych, odbył się w Leodjum w Belgji międzynarodowy zjazd katolickich świeczników Demokracji Chrześcijańskiej, na którym oba kierunki zwalczały się z olbrzymią zaciętością. Jak zaś mało szło w tym sporze o taki lub inny wykład pisma świętego, świadczą argumenty, któremi zwalczali zwolennicy państwowej reformy społecznej przeciwników państwowego uregulowania dnia roboczego, państwowego ubezpieczenia robotników i t. d. Gdy przeciwnicy powoływali się już to na argumenty manczesterskiej ekonomji, którą publicyści Demokracji Chrześcijańskiej tak zwalczają, już to na dobroczynność, jako środek rozwiązania kwestji robotniczej, zwolennicy interwencji państwowej, pozostawiawszy na boku spróchniałych ojców kościoła, wysuwali argument, który biskup Korum z Trewiru streścił w następującym związłym zdaniu: „Ojciec duchowny woła: „Nigdy nie zgo-

dążę się na wmieszanie się państwa w opiekę nad robotnikami“. Na to można mu odpowiedzieć: Wy tego nie chcecie, ale socjalizm zmusi Was do tego lub pochłonie“.

Tak przedstawia się kwestja programu Demokracji Chrześcijańskiej aż do ukazania się encykliki Leona XIII „Rerum novarum“. W encyklice tej, będącej czymś w rodzaju programu erfurckiego dla czarnej międzynarodówki, przedstawia Leon XIII źródła kwestji robotniczej, zwalcza jedyny sposób jej rozwiązania: socjalizm i podaje ogólny zarys reformy, jaką chciałby kościół katolicki przeprowadzić¹). Przyczyny powstania kwestji robotniczej określa Leon XIII w następujący sposób: „Wiek przeszły zniósł, nie zastąpiwszy ich niczym, dawne cechy, które były opieką dla robotników, wszelkie zasady i uczucia religijne znikły w prawodawstwach i instytucjach publicznych i tak zwolna robotnicy, odosobnieni i bez obrony, ujrzeni się oddanymi na pastwę nieludzkich panów i współzawodników, niepohamowanych w chciwości. Do tego wszystkiego dodać trzeba, że produkcja i handel stały się niemal monopolem niewielu, a w ten sposób garstka bogaczyw nałożyła jarzmo prawie niewolnicze nieskończonej liczbie proletarjuszów“. Widzimy, że nieomylny papież całkiem opacznie rzecz przedstawia, że bierze skutek za przyczynę. Rozwój sił wytwórczych pod panowaniem prywatnej własności doprowadził do oddzielenia pracownika od narzędzi produkcji i to było źródłem kwestji robotniczej. Jednym ze skutków i przejawów tego procesu była degeneracja, a później upadek cechów, które stopniowo stały się organizacją majstrów przeciw robotnikom.

Przedstawiwszy w jaskrawych słowach nędzę mas robotniczych, przechodzi Leon XIII do oceny dążeń socjalistycznych i tu okazuje się odrazu, że potępienie wyzysku kapitalistycznego, potępienie jako lichwy całego mechanizmu, „regulującego“ kapitalistyczną produkcję i zamianę — to gromy Kalchasa, że owe niezrozumienie właściwego źródła kwestji robotniczej to nie przypadek, nie nieuctwo, lecz manewr, bez którego niemożliwe byłoby stanowisko Leona XIII w kwestji społecznej. „Program socjalistyczny nie podaje środków, sposobnych ku rozwiązaniu kwestji, owszem szkodzi samym klasom pracującym; jest też niesprawiedliwy, gwałcąc prawnych właścicieli; wreszcie sprzeciwia się porządkowi państwowemu, a nawet grozi państwu zupełnym rozprzężeniem“. Dlaczegoż to? Oto — zdaniem encykliki — komórką społeczeństwa jest rodzina. Ojciec ma obowiązek zapewnienia dzieciom przyszłości: „W jaki sposób — pyta Leon XIII — wypełni ojciec te obowiązki, jeśli nie będzie mu wolno nabywać na własność rzeczy, przynoszących stałe pożytki, i przekazywać ich w dziedzictwie potomkom“. Socjalizm, znosząc własność prywatną, spowoduje, że „robotnik nie będzie mógł spełnić jednego z pierwszorzędných za-

1) Podajemy poniżej w zarysach jego stanowisko, uzupełniając je komentarzami i dopełnieniami, czerpanymi z pism znanych przedstawicieli D. Ch.

miarów, który kieruje nim przy podjęciu pracy". Socjaliści „chcą ograbić człowieka z rzeczy, nabytych własnym trudem. Ziemia bowiem, uprawiana umiejętną pracą rolnika, znacznie się zmienia; z jałowego pustkowia staje się żyzną i płodną. To zaś, co ulepszyło ją w ten sposób, z ziemią tak się zrosło i zmieszało, że nie może być od niej oddzielone. A czyż pozwala sprawiedliwość, aby na swój użytek zabrać to, nad czym ktoś inny pracował w pocie czoła? I podobnie jak skutek należy do przyczyny, która dała mu początek, taksamo owoc pracy sprawiedliwie przynależy temu, kto pracy dokonał".

Wystarczy jeno podkreślić argumenty papieskie, wypowiedziane w obronie prywatnej własności, aby każdy, patrzący otwartymi oczami na otaczające go stosunki społeczne, zobaczył ich nicieść. Ustrój socjalistyczny nie ma wcale za zadanie zniesienia prywatnego władania środkami spożycia: ubraniami, meblami, sprzętami domowymi i t. d. Przeciwnie, jedynie socjalizm może zabezpieczyć robotnikom korzystanie z tych wszystkich przedmiotów spożycia, które niezbędne są dla komfortu i kulturalnego życia, a których nowoczesny proletariusz jest prawie całkiem pozbawiony. Co się zaś tyczy prywatnego władania środkami produkcji, które przewrót socjalistyczny rzeczywiście usunie, to przecież obrzymia większość społeczeństwa nie może obecnie pozostawić w spadku swym dzieciom tego rodzaju własności: dla robotnika pobudką do pracy nie jest też chęć nabycia lub powiększenia swej własności prywatnej w postaci narzędzi produkcji, gdyż płaca, którą za swą siłę roboczą otrzymuje, wystarcza mu zaledwie na wyżywienie. Socjalizm nie znosi dla robotnika tej własności, bo zrobił to już dawno kapitalizm. Nie lepiej się ma rzecz własnością w rolnictwie. Dla każdego, znającego stanowisko socjaldemokracji w kwestji rolnej, śmiesznym jest zarzut, jakoby socjalizm oznaczał wywłaszczenie drobnego rolnika, zaś co do wielkiej własności rolnej, której uznanie jest w encyklice zawarte, należy tylko zapytać „ojca św.", czy 1) obszarnik uprawia sam w pocie czoła swe latyfundja, 2) czy renta gruntowa, ten haracz, nałożony na całe społeczeństwo, jest też owocem pracy obszarniczej. Tej strony prywatnej własności kapitalistycznej papież nawet nie spróbował obronić, a obrona taka była ze stanowiska encykliki konieczną, gdyż Kościół nie chce zniesienia prywatnej własności, uważając ją za świętą. Zarzuty encykliki przeciw socjalizmowi stoją też w zupełności na poziomie ekulubracji najpospolitszych płatnych i dobrowolnych socjalistozerców.

Kościół nie chce — jak widzimy — wogóle zupełnego zniesienia nędzy, nie wierzy w możliwość dokonania tego. Celem Kościoła jest tylko reforma społeczna, a ideał tej reformy czerpie z czasów, gdy potęga jego stała u szczytu, z czasów średniowiecza. Ustrój stanowy średnich wieków, z organizacjami, obejmującymi w zwarte całości poszczególne klasy społeczne, uposażenie tych klas w określone prawa i obowiązki, oto ideał reformy Demokracji Chrześcijańskiej. Zorganizowanie wielkiego przemysłu, odrębne zorganizowanie rzemiosła, handlu i t. d., uregulowanie wewnątrz każdej z tych orga-

nizacji stosunku pracujących do przedsiębiorców oraz wzajemnych stosunków przedsiębiorców do siebie, podobna organizacja innych grup społecznych, posiadających wspólnie interesy, ma usunąć sproszkowanie społeczeństwa na jednostki już to bezsilne, już to mogące narzucać swą wolę innym. Wspólnymi sprawami wszystkich stanów kierowałoby przy takim ustroju nie przedstawicielstwo narodowe, lecz stanowe, składające się z delegatów poszczególnych stanów. Organ tego przedstawicielstwa, rząd, wykonywałby kontrolę nad życiem tych organizacji. Tak oto wygląda w zarysie obraz społeczeństwa, zorganizowanego według poglądów Demokracji Chrześcijańskiej, przedstawiony według encykliki i jej upoważnionych komentatorów.

Zanim przejdziemy do przedstawienia środków realizacji tego ideału, na miejscu będzie parę uwag. Dzięki jakim warunkom możliwa i niezbędna była średniowieczna cechowa organizacja produkcji? Podstawą możliwości jej istnienia i główną gwarancją jej bytu był nadzwyczaj powolny rozwój wszelkich stosunków społecznych, a między nimi i techniki – w związku z bardzo ograniczonym względnie i stałym rynkiem zbytu. Tylko dlatego, że narzędzia produkcji rozwijały się bardzo powoli, że przez długie okresy czasu nie ulegały żadnym wogóle zmianom, możliwym było ściśle określenie przez cechy, jak należy produkować, jakich surowców należy do produkcji używać, ilu czeladników i ilu uczniów może rzemieślnik zatrudniać, jak długim powinien być ich czas pracy, po jakiej cenie powinny być sprzedawane towary. Ta stałość stosunków pozwalała na dokładny podział całości kształtu miejskiej produkcji między poszczególne rzemiosła. Ona pozwalała na to, że prawa, jakimi rządziły się cechy, miały charakter praw publicznych, że były obowiązującymi dla całej miejskiej społeczności, co uniemożliwiałoby w granicach miasta istnienie konkurencji, zapewniało spokojny byt rzemieślnikom i zaspokojenie potrzeb mieszkańców miasta i okolic jego. Rzut oka na obecne warunki wykazuje natychmiast całą niemożliwość cechowej organizacji przemysłu w teraźniejszości. Przedewszystkiem znikła niepowrotnie, wskutek kolosalnego a stałego rozszerzania się rynków zbytu, podstawa ustroju cechowego, powolny rozwój techniki. Od XVIII w. zachodzą w procesie wytwarzania ustawiczne rewolucje. Zmiany te, wywołane potrzebami rozwoju społecznego, ze swej strony znów nowe wywołują potrzeby, niszczą stare stosunki społeczne, wciągają w wir światowego rynku na najodleglejszych krańcach świata znajdujące się kąty, burzą w nich podstawy tysiące lat trwającego zastoju. Wciąż powstają nowe rynki zbytu, nowe gałęzie przemysłu, nowe sposoby produkcji; to, co dotychczas było wytworem jednej fabryki, przechodzi obecnie przez szereg ich, w innym znów punkcie szereg gałęzi wytwarzania tłoczy się w jednej potwornej fabryce. Kolosalnej różnorodności potrzeb społecznych odpowiada kolosalna różnorodność w produkcji, co znów powoduje ustawiczną fluktację wśród ludności: ze wsi płyną gromady do miast, drobnymi rzemieślnicy i kupcy ciągle przechodzą do szeregów proletariatu, po miastach robotnicy przechodzą raz po raz z jednego zawodu do drugiego. Gdzież w tych warunkach miejsce na rozgraniczenie zawodów i gałęzi przemysłu, na ujednostajnienie warunków produkcji,

na określenie dokładne stosunków producenta do konsumenta, kiedy sprężyną rozwoju jest dla każdego kapitalisty stałe rozszerzanie popytu przez powiększenie podaży, natychmiastowe wyzyskanie każdej sprzyjającej konjunktury, każdej nadarzającej się sposobności, korzystanie z nowych wynalazków, nie będących jeszcze w ogólnym użyciu, ciągle przystosowywanie się do potrzeb rynku światowego przez rozszerzanie i zwięzanie produkcji, przyciąganie i odtrącanie sił roboczych oraz ustawiczne zmiany w procesie wytwarzania, kiedy — jednym słowem — całe społeczne życie gospodarcze jest niezmiernie zmienne, nacechowane ciągłymi przewrotami i niesłychaną elastycznością!

Idea powrotu do cechowo-stanowej organizacji społeczeństwa, którą rozwój handlu i techniki właśnie rozsądził i pogrzebał, jest jak widzimy utopją i to wsteczną. Czują to chrześcijańsko-demokratyczni teoretycy, więc, przyjmując średniowieczną formę, starają się napełnić ją nową treścią, szukają punktu oparcia w objawach współczesnej gospodarki. Jedną z wybitnych tendencji tej ostatniej jest niewątpliwie skupianie interesantów jednej i tej samej kategorii w grupy dla obrony wspólnych interesów, a więc tendencja ku organizacji społecznej podług zawodów i funkcji ekonomicznych. Ale nie mówiąc już o ciągłej zmianie składu tych organizacji, to znacząca fluktuacja w ich łonie pod wpływem czynników gospodarczych, w jaki sposób mogą organizacje te, uwiecznione i usankcjonowane nawet przez prawo — podług myśli chrześcijańskich demokratów — jako korporacje — doprowadzić do równowagi społecznej, którą reformatorowie w sutannie chcą osiągnąć?! Powstawanie tych organizacji o antagonistycznych interesach, stworzonych przez rozwój stosunków kapitalistycznych jedynie w celu walki, potęguje właśnie stokrotnie bellum omnium contra omnes — wojnę wszystkich przeciw wszystkim, na której zbudowany jest gmach kapitalizmu. Zamiast usunąć cierpienia, związane z prywatną własnością i konkurencją, oraz doprowadzić do „równowagi“, organizacje te podminowują same podwaliny społeczeństwa, czynią byt jego jeszcze bardziej niepewnym i zmiennym, wstrząśnienia w jego łonie bardziej niszczącymi, walkę zaciętszą. Jako przykład weźmy najpotężniejsze z tych „korporacji“ trusty i kartele i przyjrzyjmy się „równowadze“ społecznej, przez nie stwarzanej! O zorganizowaniu przez trusty i kartele produkcji, tj. zniesieniu kryzysów nie może być mowy, jak to wykazuje dwukrotny kryzys w Ameryce, klasycznym kraju tych organizacji. Dalej — między trustami poszczególnych gałęzi wielkiego przemysłu, a zwłaszcza między dwoma wielkimi ich odłami, organizacjami przemysłu, produkującego materiał surowy, a przemysłu przetwórczego, wre ciągle zacięta wojna. Usunięcie zaś jej przez powstanie kolosów, wyrabiających materiały surowe i przerabiających je, oznacza nie mniej, jak stworzenie organizacji monopolistów, trzymających w żelaznych kleszczach całe społeczeństwo spożywające, nie tylko już najmitów, jako producentów. Oto są organizacyjne tendencje, działające żywo i w ustroju kapitalistycznym, zdążające do większego jeszcze ujarznienia olbrzymiej większości pracującej ludzkości. Ponieważ niemożliwym jest w okresie historycznym międzynarodowej kapitali-

stycznej gospodarki powrócić do drobnego rzemiosła średnich wieków, więc rzecz zrozumiała, że teoretycy Demokracji Chrześcijańskiej musieli te organizacje wielkokapitalistyczne brać pod uwagę przy rozpatrywaniu problemu organizacji produkcji. Ujemnym skutkiem tych „korporacji“ ma podług nich zapobiec państwo na drodze prawnej. Tego zdania jest np. jezuita Biederlack, który w swym dziele o kwestji społecznej ze stanowiska chrześcijańskiego dochodzi do następujących rezultatów: „Państwo powinno wprawdzie popierać tego rodzaju związki (kartele), aby przez to położyć kres anarchji na polu wytwórczości, ale z drugiej strony powinno ściśle czuwać nad tym, by nie nadużywały potęgi, którą zdołają osiągnąć, w celu szkodliwego dla dobra powszechnego, a więc niesprawiedliwego podwyższenia cen“¹⁾ Jak zaś bezsilnym jest burżuazyjne państwo w walce z „nadużyciami“ organizacji kapitalistów, o tym poucza sławetna walka rządu Stanów Zjednoczonych przeciw amerykańskim trustom: bezsilność ta polega na tym, że rząd jest niewolnikiem kapitału i wskutek tego wcale nie może i nie chce poważnie zabrać się do walki z nim. Ze względu tylko na masy ludowe, odczuwające skutki działalności zorganizowanego kapitału i w roli wytwórców-najmitów i w roli spożywców, udaje on od czasu do czasu wojny krzyżowe przeciw tym współczesnym raubritterom.

Tak wyglądają organizacyjne zręby, na których Demokracja Chrześcijańska chce oprzeć swój gmach korporacyjnej organizacji. Widzimy, że nawet w razie ziszczenia się jej ideałów nie byłoby śladu z owej harmonji społecznej, która ma zdaniem Leona XIII być osiągnięta drogą korporacyjnej organizacji. Przeciwiństwa, istniejące w kapitalistycznym społeczeństwie, nie zniknęłyby, lecz zaostrzyły się w formie walki prawnych korporacji. Przeciwiństwo, istniejące między handlem a przemysłem, przemysłem a kapitalistycznym rolnictwem itd. itd., nie zmniejszyłyby się od tego, że spowodowałyby walkę korporacji rolniczej z przemysłową i t. d. Nakoniec owa korporacyjna organizacja nie zapobiegłaby temu, że potężna organizacja wielkiego przemysłu druzgotałaby wszystkie inne, przeciwstawiające się jej, czyniłaby je zależnemi od siebie. A nie znosząc przeciwiństw i walki klas i grup społecznych, nie zniosłaby też organizacja korporacyjna niezbędności obiektywnej i subiektywnej s o c j a l i z m u.

Przyjrzyjmy się teraz tym ideałom jeszcze z innej strony, mianowicie z punktu widzenia położenia proletarjatu. W najlepszym razie, po urzeczywistnieniu wszystkich reform, których się Demokracja Chrześcijańska domaga, robotnicy pozostałoby lepiej odżywianemi niewolnikami. „Demokracja Chrześcijańska uznaje niewzruszenie prawo własności prywatnej“²⁾ i nie dąży do zniesienia podziału społeczeństwa na klasy. Proletarjat ma więc, zdaniem jej, po wieki wieków pozostać w najmictwie. Chodzi tylko o złagodzenie jego doli. Środkami ku temu ma być w przyszłości zupełne urzeczywistnienie pro-

¹⁾ Ks. Biederlack: Kwestja społeczna, str. 244. Poznań 1908.

²⁾ Chrześcijańska Demokracja. Broszura programowa, str. 7. Warszawa 1906.

gramu, zawartego w encyklice, a tymczasem — organizacja robotnicza i reformy społeczne. Nie uznając walki klasowej, propagując zgodę pracy z kapitałem, powinna Demokracja Chrześcijańska polecać wspólne organizacje przedsiębiorców i robotników. To też robiła przez wiele lat we Francji i Austrii. Ale musiała się przekonać o bezowocności swych usiłowań. „Próby, dokonane w tym względzie, można uważać za rozstrzygające — pisze Jaroszyński. — Wykazały one, że roztrząsanie kwestji spornych w stowarzyszeniach miesza-nych nietylko nie prowadzi do zgody, ale przeciwnie wywołuje namiętne i niewyczerpane dyskusje, które zaostwiają tylko wzajemne stosunki stron zainteresowanych“. Chrześcijańska Demokracja musiała się ugiąć przed faktem: istnieniem przeciwieństwa interesów i walki klasowej. Zaczęto więc progagować zakładanie osobnych związków zawodowych, któreby przez swych delegatów porozumiewały się z przedstawicielami organizacji przedsiębiorców co do spornych kwestji, oraz zakładanie sądów rozjemczych. Wkrótce pokazało doświadczenie, czego się mogą chrześcijańsko-demokratyczni robotnicy spodziewać po swych chrześcijańskich „chlebodawcach“. „Zazdrośni o swe prawa — pisał w r. 1893 przewodca francuskich chrześcijańskich demokratów hr. de Mun — nie chcą oni (przedsiębiorcy) uznać praw robotników i nie chcą im pozwolić stowarzyszać się w celu traktowania na równych warunkach“. „I niestety pracodawcy francuscy i belgijscy nie są bynajmniej wyjątkami w tym względzie — dodaje Jaroszyński, z którego wzięliśmy powyższą cytację. — Niemal wszędzie w warstwach wyższych objawia się też sama niechęć uznania praw klasy robotniczej i ten sam upór przeciw zbliżeniu się do niej i zawiązaniu z nią chrześcijańskich stosunków“.

Związki zawodowe winny, zdaniem encykliki i chrześcijańskich demokratów, urzeczywistnić drogą porozumień z przedsiębiorcami żądanie maksymalnego dnia roboczego, minimalnej płacy roboczej, higieny fabrycznej i t. d. Demokracja Chrześcijańska, aczkolwiek pod parciem ruchu robotniczego uznała zasadę interwencji państwa, przynosi jednak nad nią polubowne urzeczywistnianie wymienionych żądań, twierdząc, że w interesie przemysłu leży załatwienie ich nie szablonowe — a takim byłoby załatwienie drogą praw, — lecz w zależności od konkretnych warunków każdej gałęzi przemysłu w każdej miejscowości osobna. Tylko gdzie robotnicy są całkiem bezsilni lub gdzie chodzi o dzieci i kobiety, tam powinno państwo odrazu wkraczać. Zasługuje tu na uwagę fakt, że teoretycy chrześcijańsko-demokratyczni zwracają się przytym przeciw żądaniu 8-godzinnego dnia roboczego, prawem zagwarantowanego dla wszystkich robotników, zapożyczając argumentów przeciw temu kardynalnemu na dziś postulatowi robotniczemu od płatnych służalców prasowych kapitału. Powoływanie się bowiem tu na interes przemysłu jest, jak wiadomo, czczym wybiegiem, gdyż ogólna i daleko idąca państwowa ochrona robotnicza, podnosząc wydajność pracy,

jednocześnie wyrównuje warunki pracy, istniejące w danej gałęzi przemysłu.

Nie możemy tu szczegółowiej omawiać wszystkich żądań, zawartych w programie Demokracji Chrześcijańskiej; byłoby to zresztą zbyteczne, gdyż żądania te są po większej części spisane z programu minimalnego socjaldemokracji. Oderwane od całokształtu socjalistycznego światopoglądu, a nawet przeciwstawiane socjalizmowi, tracą one w ustach kościoła wszelką treść rewolucyjną i stają się zwyczajnymi paljatywami. Warto tu podkreślić jednak dwa żądania: jedno z nich — zakaz pracy fabrycznej kobiet jest nawskróś reakcyjnym, czego tu bliżej wyjaśniać nie potrzeba; drugie — domaganie się „sprawiedliwej“ płacy, wystarczającej na utrzymanie rodziny robotniczej i na robienie oszczędności, któreby z czasem pozwoliły robotnikowi nabyć własność prywatną, jest wobec kapitalistycznego prawa płacy roboczej pobożnym życzeniem, jeżeli już nie demagogicznym środkiem świadomego oszukiwania robotników.

Oto ogólna ocena programu Demokracji Chrześcijańskiej: program ten nie chce usunąć kapitalizmu, przeciwnie, chce go „poprawić“ i głosi tylko jego reformę; droga, na której reformata ma być w ostatniej linii dokonana, przez stanową organizację społeczeństwa, nie prowadzi wcale do celu, przyświecającego rzekomo Demokracji Chrześcijańskiej, do stworzenia równowagi społecznej; organizacja stanowa, która, wobec wymagań warunków obecnych jest najreakcyjniejszą utopją, gdyby była nawet urzeczywistnialną, nie zniosłaby przewagi kapitału. Powyższy cel ostateczny nie ma zresztą żadnego znaczenia i wpływu w działalności Demokracji Chrześcijańskiej: żądania jej, dotyczące klasy robotniczej, nie przewyższają na ogół — a często pozostają poza niemi — żądań burżuazyjnych reformatorów społecznych, wobec czego zwyczajną nieprawdą są przechwałki teoretyków Demokracji Chrześcijańskiej, jakoby dwa istniały programy rozwiązania kwestji społecznej: socjalistyczny i chrześcijańsko-demokratyczny. Chrześcijańsko-demokratyczny program nie ima się nawet jej rozwiązania.

Encyklikę „Rerum Novarum“ wydał Leon XIII, „nie zważając dłużej na niechęci i opozycję tych konserwatystów, u których uprzedzenia do demokracji górowały nad trzeźwym ocenieniem położenia i nad należytem zrozumieniem rzeczywistej misji Kościoła“ — powiada Jaroszyński. Reprezentując bowiem całokształt interesów kościoła, musiał Leon XIII, na widok podnoszącej się fal socjalistycznego ruchu, pohamować kapitalistów i ich katolickich zbyt szczerych obrońców, przyznając chrześcijańskim organizacjom robotniczemu prawo do istnienia. Tak było w chwili narodzin encykliki. Ale wkrótce sytuacja się zmieniła. W kilku krajach katolickich powstały chrześcijańsko-demokratyczne organizacje za-

wodowe lub polityczne, na których czele stanęli tu i ówdzie księży, pochodzący z ludu i szczerze mu oddani. W walce z kapitałem, który nie zna litości i ma zamknięte uszy na propagandę zasad chrześcijańskich, stawali oni w rzeczywistości częstokroć na gruncie walki klasowej, choć formalnie negowali marxowską teorię walki klas; inni przewodcy zostali zmuszeni do ostrego tonu względem kapitalistów walką z socjalistami, zmuszeni przez chęć przyciągnięcia masy, wierzącej jeszcze, ale niezadowolonej; pozatym sama masa robotnicza, radykalizując się powoli z zaostreniem się walk klasowych, wywiera nacisk na przewodców, zniewalając ich do prowadzenia walki. Tak więc organizacje, stworzone dla przeciwdziałania socjaldemokracji i organizacjom zawodowym, jako organom walki klasowej, zostały do pewnego stopnia zmuszone do służenia jej.

We Francji powstała wr. 1896 samodzielna partja chrześcijańsko-demokratyczna; po krótkim czasie jej działalności sfery konserwatywne i liberalne poczęły ją zwalczać prawie z taką samą zaciętością, co socjaliści. W Belgji toczy się żywa walka między klerykałami a Demokracją Chrześcijańską (młodokatolikami); klerykali są partją rządzącą, młodokatolicy partją opozycji nieuświadomionych mas ludowych; przewodca tych ostatnich Daëns uważany jest przez kościół za parszywą owcę, aczkolwiek stoi na gruncie encykliki „Rerum Novarum“. We Włoszech panuje od r. 1896 walka między chrześcijańskimi demokratami, którzy wzięli poważnie zasady encykliki i starają się o ulżenie nędzy mas ludowych, a augurami kościoła, dla których była ona jedynie wybiegiem w walce z socjalizmem. Doszło do tego, że część chrześcijańskich demokratów, opuściwszy dotychczasową organizację, pod przewodnictwem Romolo Murri'ego chciała wstąpić do włoskiej partji socjalistycznej; zamiar ten nie został uskuteczny tylko dlatego, że partja uznała za niemożliwe przyjąć do swych szeregów ludzi, nie stojących na stanowisku socjaldemokratycznego programu. W Niemczech odbywa się ta walka w obozie katolickim na polu organizacji zawodowej. Przeciwno chrześcijańskim organizacjom zawodowym, które przyjmują robotników chrześcijańskich bez różnicy wyznania i w praktyce częstokroć stoją na gruncie walki klasowej, za co są przez fabrykantów przyrównywane do związków zawodowych socjalistycznych, walczą zacięcie chrześcijańscy demokraci, zgrupowani koło „Berlińskiej Centrali“. „Berliński kierunek“ występuje przeciw zakładaniu związków zawodowych, propaguje tworzenie przy katolickich stowarzyszeniach ludowych tylko sekcji zawodowych, zarzuca związkom chrześcijańskim prowadzenie walki klasowej i zaniedbywanie religijnego wychowania robotników. Rzecz naturalna wobec tego, że właśnie „berliński kierunek“ cieszy się jawnym poparciem biskupów w katolickich.

Ma się rozumieć że ta ewolucja organizacji chrześcijańsko-demokratycznych nie uszła uwagi głowy kościoła. Autor encykliki „Rerum Novarum“ zwrócił się ostro przeciw tym, którzy wprowadzali w życie część jej, dającą się urzeczywistnić. W encyklice „Graves

de communire“ z 18 stycznia 1901 r. podkreśla on, że Demokracja Chrześcijańska nie powinna przeciwstawiać się klasom posiadającym i prowadzić walki o rządy ludowe. Ludowi powinno się pomagać zapomocą zorganizowanej dobroczynności, należy pobudzać go do oszczędzania. W żadnym zaś razie nie należy prowadzić podburzających polemik przeciw klasom posiadającym, których pomoc jest niezbędna do osiągnięcia celów Demokracji Chrześcijańskiej. Omawiając znaczenie tej nowej encykliki, powiada Rambaud, że „czyni ona ruch chrześcijańsko-demokratyczny wspomnieniem historycznym, skazanym na szybkie zatarcie się w wirze idei i zdarzeń“. Nie ulega wątpliwości, że pod wpływem zaostrożania się walk klasowych ruch chrześcijańsko-demokratyczny będzie się coraz bardziej rozpadał. Jedna część jego zrzuci maskę obrony interesów ludowych, druga będzie musiała zbliżyć się do socjaldemokracji, w którym to procesie ciągle będzie się kruszyć.

IV. Demokracja Chrześcijańska w Królestwie Polskim ¹⁾.

Demokracja Chrześcijańska powstała w Królestwie — jak wszędzie — jako następstwo fali masowego ruchu robotniczego, jako tama, wzniesiona przeciw ruchowi socjalistycznemu w interesie burżuazji. Niema lepszej ilustracji tego jej charakteru nad fakt, że w całym okresie pierwotnej akumulacji kapitału w Polsce, gdy wyzysk kapitalistyczny degradował życie mas do wegietacji zwierząt, kler katolicki, stojący dziś na czele akcji chrześcijańsko-demokratycznej, nie znalazł ani jednego słowa protestu przeciw orgjom kapitału. Agitatorzy nasi mogą też słusznie przy każdym spotkaniu z chrześcijańskimi demokratami rzucać w oczy dzisiejszym zbawicielom ludu roboczego pytanie: gdzieście byli w najgorszych dla polskiego robotnika czasach, wy, którzy twierdzicie, że kościół zawsze opiekował się ludem roboczym, którzy twierdzicie, że tylko on może rozwiązać kwestję robotniczą?!

Gdy wstrząśnięty wypadkami w Rosji, do głębi poruszony socjalistyczną agitacją, stanął proletarijat polski pod sztandarami socjalistycznymi do walki z kapitałem i caratem, wówczas odnalazł kler w sercu swoim miłość dla robotników i ruszył, jako straż ogniowa, na pole rewolucji. Było to w połowie r. 1905. Aczkolwiek grunt dla Demokracji Chrześcijańskiej w Królestwie jest bardzo po-

¹⁾ Stowarzyszenia robotników chrześcijańskich zaprzeczają w orga nie swoim, w „Pracowniku Polskim“, jakoby były partją polityczną w rodzaju chrześcijańsko-demokratycznych partji Zachodu. Aczkolwiek nie biorą rzeczywicie bezpośredniego udziału w życiu politycznym przez wystawianie kandydatów przy wyborach, należy ich odżegnywanie się od partyjności uważać za wybieg. Życie polityczne nie ogranicza się do wyborów; stowarzyszenia chrześcijańskich robotników rozszerzają wśród masy poglądy społeczne i polityczne, które zdaniem propagatorów mają być urzeczywistnione [nietylko drogą organizacji samopomocy robotniczej, ale także drogą oddziaływania na państwo i przez państwo. Nie ulega też wątpliwości, że prędzej czy później — gdy będą odpowiednie po temu warunki — zechcą bezpośrednio na państwo oddziaływać. Dlatego też nie wahamy się nazywać je Demokracją Chrześcijańską.

datny, w pierwszym roku rewolucji wpływ jej był prawie niewidoczny dla różnych przyczyn. Przedewszystkiem akcja jej, wobec przebudzenia się masy, by być wpływową, musiałaby być rewolucyjną, skupiającą masy do walki, a taką być nie mogła. Poza tym kler i jego poplecznicy byli zaskoczeni przez wypadki, nieobznajomieni z kwestją robotniczą, nie mogli więc odrazu rozwinąć szerszej agitacji. Wreszcie potrzeba przeciwdziałania ruchowi socjalistycznemu znajdowała u burżuazji swój wyraz w narodowo-demokratycznym ruchu robotniczym, który, nie przykrywając się płaszczykiem frazesów chrześcijańskich, mógł się uciekać do skrytobójstwa i temu podobnych bandyckich sposobów czynnej walki przeciw świadomym robotnikom, a który miał zarazem do rozporządzenia większą ilość agitatorów z inteligencji, gdyż ucisk narodowy przyciąga u nas „inteligencję“ w większym stopniu w szeregi reakcji nacjonalistycznej, aniżeli klerykalnej. Przez czas jednak, gdy fala rewolucyjna opadała, chrześcijańscy demokraci oszańcowali się w swych okopach i korzystając ze stanu wojennego, który skrępował rozmach akcji socjalistycznej, rozwinęli silną agitację i pracę organizacyjną. Dziś liczą — według ich sprawozdań, których skontrolować nie jesteśmy w stanie — 50 tysięcy zorganizowanych robotników. Organizacje ich istnieją nietylko w głównych ośrodkach ruchu robotniczego, w Warszawie, Łodzi, Częstochowie, Zagłębiu, Lublinie i Radomiu, ale w miasteczkach i osadach fabrycznych, do których agitacja socjalistyczna nie zdołała osiągnąć nawet w czasie największego rozkwitu rewolucji. Każda plebanja jest ich placówką agitacyjną i centrum organizacyjnym. Zanim przejdziemy do omówienia chrześcijańskich sposobów agitacyjnych oraz form organizacyjnych, należy w kilku słowach podkreślić specjalnie dla nich korzystne warunki naszego rozwoju ekonomicznego.

Liczba robotników fabrycznych w Królestwie wzrosła w ostatnich trzydziestu latach z 75 616 w r. 1871 do 243 733 w r. 1897 ¹⁾. Podczas gdy w tym czasie ludność w kraju wzrosła o 66⁰/₀, liczba robotników fabrycznych powiększyła się czterokrotnie. Wzrost ten jednak mógł się dokonać tylko poczęści kosztem rzemieślników, gdyż absolutna liczba rzemieślników w tym okresie nawet wzrosła: podczas gdy w r. 1880 było w Królestwie 110 000 rzemieślników i 122 000 robotników fabrycznych, wynosi liczba robotników fabrycznych obecnie przeszło 300 tysięcy, rzemieślników zaś 130—140 tysięcy ²⁾.

Nasza klasa robotnicza rekrutowała się więc w wybitnej mierze ze sproletaryzowanej ludności wiejskiej, pozostającej pod sil-

¹⁾ Witold Załęski: Królestwo Polskie pod względem statystycznym, t. II, str. 138.

²⁾ Stanisław Koszutski: Rozwój przemysłu w Królestwie Polskim, str. 206. Powiększenie absolutnej liczby rzemieślników, dzięki pomyślnemu rozwojowi niektórych rzemiosł nie zmienia i nie osłabia oczywiście faktu, że cały szereg innych rzemiosł zanika i znika pod ciosami wielkiego kapitału, dostarczając nowe ręce robocze przedsiębiorstwom fabrycznym.

nym wpływem religijnego światopoglądu i kleru. Dzięki temu dziś jeszcze ksiądz, który zechce zniżyć się do robotników, zajmować się ich sprawami, znajduje grunt bardzo podatny. Rozwój Demokracji Chrześcijańskiej byłby u nas nastąpił i bez stanu wojennego; represje przyspieszyły go tylko. Fakt, że główny kontyngient zwolenników Demokracji Chrześcijańskiej rekrutuje się z pośród ludności, pochodzącej ze wsi, podkreślił też dr. Konrad Rakowski, działacz chrześcijańsko-demokratyczny, w swym referacie na II zjeździe delegatów stowarzyszeń robotników chrześcijańskich¹⁾. „Jak z odpowiedzi na kwestjonariusz wypada — stwierdza referent — większość członków stowarzyszeń urodzona i wychowana jest na wsi. Wnosząc z arkuszy z odpowiedziami, wśród naszych członków w Warszawie jest $\frac{3}{4}$ urodzonych i wychowanych na wsi, a wśród częstochowskich bodaj czy nie $\frac{9}{10}$ “. „Stosunek ten daje do myślenia“ — powiada Rakowski, ale myśli kiepsko: tłómaczy bowiem to faktem, że wieśniak jest ufniejszy, a mieszczuch nieufny. Czemuż więc w takim razie nieufny robotnik-mieszczuch daje posłuch socjalistom? Czyżby też chciał referent powieścić, że trzeba być „ufnym“ t. zn. naiwnym, aby wierzyć chrześcijańskim demagogom?

Jeżeli wierzyć danym Rakowskiego — a możemy to w danym wypadku uczynić — składa się armja chrześcijańsko-demokratyczna z żywiołów najmniej bojowych w klasie robotniczej. Przeważna większość jej członków składa się z ludzi, mających około lat 40. Poważny procent ma około i przeszło 50 lat; „natomiast ludzi młodych, pomiędzy 20 a 30, jest stosunkowo niewiele i to tym mniej, im bardziej zbliżamy się do 20 lat. — Z małemi wyjątkami są to (członkowie) ludzie żonaci i dietni, ojcowie rodzin, mający na swych barkach pieczę o utrzymanie licznej rodziny“. Pracują oni przeważnie pięć, sześć lat w jednym miejscu, wielu trzynaście, piętnaście, „trzydzieści. Na poglądach ich wycisnęła rezygnacja swe piętno“. Tak wygląda skład Chrześcijańskiej Demokracji według charakterystyki jednego z jej przewodników.

Formy organizacyjne naszej Demokracji Chrześcijańskiej odpowiadają w zupełności temu składowi jej członków. Aczkolwiek powołuje się często na niemieckie związki zawodowe robotników chrześcijańskich (jeden z jej przewodców ks. Albrecht z Łodzi odebrał nawet swe wykształcenie społeczne w kuźnicy tych związków, w Gładbach koło Monachjum), nie zakłada jednak związków zawodowych, lecz ogólne koła, w których miejscami tworzy sekcje zawodowe. Członków przyciąga głównie przez instytucje zapomogowe (na wypadek choroby, pogrzebu), stowarzyszenia spożywcze, wieczorki, wycieczki, na których robotnik, wydostawszy się z piekła pracy fabrycznej, znajduje chwilowy wypoczynek. W „Pracowniku Polskim“ nie znajdujemy prawie żadnych wiadomości, pozwalających na przypuszczenie, że Demokracja Chrześci-

1) „Pracownik Polski“ z 17 stycznia 1907 r.

jańska prowadzi jakąkolwiek akcję przeciw kapitalistom. Natomiast wszystkie korespondencje z organizacji mówią o zebraniach, na których odczyt wygłosił ten lub ów ksiądz patron, o wycieczkach z tymże księdzem patronem, o nabożeństwach i t. d. Jedyne dyskusje co do kas zapomogowych zajmują więcej miejsca. Jaki jest stosunek członków do organizacji, świadczą częste żale „Pracownika”. Oto dla przykładu ustęp z artykułu wstępnego z 13 czerwca 1907 r.:

„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“, tak głosi nasze hasło, a w rzeczywistości jak jest? Sobkowsstwo czy samolubstwo widnieje wszędzie, każdy myśli tylko o sobie. Wspominałem poprzednio o nieuczciwości w wypłacie pożyczek, zaciągniętych w kasie pożyczkowej, skutkiem czego wielu cierpi najniewinniej, bo albo znajdują kasę pustą, albo tak wielkie środki ostrożności są przedsiębrane, że nie są uwzględnione ich prośby, pomimo istotnej potrzeby przyjscia im z pomocą. Dziś muszę zwrócić uwagę kolegów i koleżanek na nieporządki, jakie się zakradają pomiędzy członkami, zgłaszającymi się do kasy chorych. Żeby być usprawiedliwionym wobec Was, z góry oświadczam, że skoro tylko powtórzą się takie nieporządki, jakie już się okazały, kasa chorych nadal istnieć nie będzie mogła“.

Ale nawet wobec takich członków musi Demokracja Chrześcijańska używać ostrego tonu przeciw fabrykantom. Z okazji lokautu łódzkiego pisze „Pracownik“ (z 21 lutego 1907 r.), o „plejadzie tyranów i grabicieli, którzy siedząc w grodzie Wilhelmów planują wspólnie akcję, niszczącą u nas zupełnie przemysł krajowy“. W nrze z 14 lutego 1907 pisze o fabrykantach, że „ich wściekłość porywa, że robotnik upomniał się w końcu o swoje prawa, że miał odwagę zmanifestować, iż człowiekiem być nie przestał i godność ludzką chce utrzymać“. Chwilami zdobywa się nawet na powiedzenie słów prawdy całemu społeczeństwu burżuazyjnemu: „Ogół społeczeństwa — pisze „Pracownik“ z 7 lutego 1907 — uspokojony co do możliwości wybuchu komuny, ogranicza się do udzielania zdrowych rad polskiemu robotnikowi, którego rodzina nie ma z czego żyć. Wprawdzie społeczeństwo ma na głowie tyle spraw do załatwienia, bo to i wybory na posłów i nowości teatralne i zabawy karnawałowe i Bóg wie co tam jeszcze“. Ale podobne sądy o całym społeczeństwie były tylko wyjątkowym echem nastroju, panującego w masach robotniczych pod wpływem lokautu łódzkiego. Zazwyczaj broni je Demokracja Chrześcijańska przed podobnymi zarzutami. „Nie myślimy obwiniać naszego społeczeństwa, — pisze „Pracownik“ z dn. 21 marca 1907 r. — które, nie mając zupełnej swobody, nie mogło wywierać wpływu na los ludu pracującego. Robotnik, zdany na łaskę i niełaskę fabrykanta, do czasu znosił jarzmo spokojnie, lecz nadszedł czas obrachunku i oto dziś upomniał się o swe prawa i sprawiedliwość. Dziś zatem społeczeństwo nie może patrzeć obojętnie na rozgrywającą się walkę pomiędzy fabry-

kantem, starającym się utrzymać dawny system, a robotnikiem, domagającym się sprawiedliwości". Co zacz te tajemnicze elementy społeczeństwa, które nie są fabrykantami, ni majsterkami, ni obszarnikami, wyzyskującemi robotnika, ni inteligencją, która, jak niejednokrotnie zaznacza „Pracownik“, nie popiera nawet mizernej akcji chrześcijańsko - demokratycznej, a od których przyjdzie zbawienie, które „nie mogą spokojnie patrzeć“, tego Chrześcijańska Demokracja nie mówi. Natomiast wyjaśnia, kto to są fabrykanci i skąd się bierze wyzysk. „Do obrony zatym tego, co ci jest drogie! do obrony przed wyzyskiem i łupieżstwem żydowskim“, nawołuje robotników „Pracownik“ z 20 czerwca 1907 r. „Przemysł nasz – pisze tenże organ 11 lipca 1907 r. – znajdujący się w rękę Żydów i Niemców, wysłał wszystką krew z naszego ludu, wytworzył liczny proletariąt, a kraju nie zubożać“. Rzecz jasna, że gdyby się znajdował w rękach wyłącznie Polaków, robotnicy nie byłiby najmitami, tylko fabrykantami! Demagogja ta jednak jest dowodem, że nawet wobec swych zrezygnowanych, nie nastrojonych bojowo członków, Demokracja Chrześcijańska musi wkładać maskę wrogów wyzysku.

Jak widzimy stosunek naszej Demokracji Chrześcijańskiej do burżuazji, jak się w jej prasie przejawia, jest następujący: Demokracja Chrześcijańska broni zasadniczo kapitału przed „zakusami“ robotników i staje w zupełności na stanowisku programu swej zachodnioeuropejskiej poprzedniczki. Ale dzięki rewolucji, która wzburzyła głęboko masy robotnicze i wycisnęła nawet na duszy ich najmniej rozwiniętych warstw niezatarte piętno, musi Demokracja Chrześcijańska od czasu do czasu używać groźniejszego tonu wobec fabrykantów. Sytuację ułatwia jej w takich wypadkach fakt, że znaczna część przemysłu znajduje się w Polsce w rękach żydowskich i niemieckich fabrykantów. Korzystając z tej okoliczności, stara się Demokracja Chrześcijańska szczególnie jaskrawe przejawy wyzysku kapitalistycznego, wywołujące oburzenie masy, przedstawić nie jako wynik samego kapitalizmu i jego położenia pod rządem carskim, lecz rasowych cech poszczególnych kapitalistów, przez co broni kapitału, jako instytucji społecznej, w całości.

Jaki jest stosunek polskiej burżuazji do ruchu chrześcijańsko-demokratycznego? Pierwsze wrażenie „społeczeństwa“, gdy ujrzało zastępy chrześcijańskich demokratów, wyraził bardzo dobrze fejetonista „Słowa“, p. Wuk (Wincenty Kosiakiewicz), pisząc o wrażeniu, które na nim wywarł defilujący na wycieczce tłum robotników chrześcijańskich: „Tłum ten jakoś dziwnie wygląda... Wcale a wcale nie groźnie“. P. Kosiakiewicz trafnie określił tu nastrój burżuazji. Ale mimo tego uczucia burżuazja i jej poszczególne odłamy nie zdobyły się na czynne popieranie tego ruchu. Sądząc, że rewolucja jest na głowę pobita, że robotnicy nie ockną się po upływie krwi, jaki im carat we własnym i burżuazji interesie sprawił, nie uważa ona za stosowne cokolwiek zrobić dla robotników. Sfery, których ze względu na ich klerykalizm, chrześcijańscy demokraci najbliższej stoją, Związek Katolicki, realiści, obawiają się, że pod na-

ciskiem z dołu i nasza Demokracja Chrześcijańska będzie musiała zejść na drogę walki klasowej. Aby temu zapobiec, chciał Związek Katolicki odebrać stowarzyszeniom robotników chrześcijańskich samodzielność. Znając jednak te sfery, bezwzględny i skrajny duch wśród nich panujący, obawiali się chrześcijańscy demokraci, że takie zbliżenie może otworzyć potulnym dziś jeszcze owieczkom oczy na to, że i katolicki fabrykant jest ostatecznie tylko fabrykantem, to też „Pracownik Polski“ zwalcza te zakusy niby w imię interesów samych robotników. „Przecież łatwo może zajść wypadek — czytamy w nrze z 30 maja 1907 r. — że interesa robotników staną w sprzeczności z interesami niektórych innych członków związku parafjalnego, że nawet wypadnie członkom uciec się do ostatecznego środka, do strajku. Czy wówczas i sam związek parafjalny nie rozbije się, nie pryśnie?... Nie, robotnicy muszą mieć samodzielność i niezależność, inaczej nic nie zrobią... Doświadczenie przekonało, że na pomoc innych warstw nigdy nie można rachować, jeżeli czego sami robotnicy nie zrobią, nikt inny za nich nie zrobi“. Nie są to słowa jakiejś krewkiej jednostki, lecz oficjalny komunikat sekretarjatu stowarzyszeń robotników chrześcijańskich. Tak więc widzimy zaczątki walki matadorów katolickich przeciw chrześcijańsko-demokratycznemu stowarzyszeniom, tymczasem w postaci dążenia do pozbawienia stowarzyszeń odrębnego bytu i zewnętrznej nawet niezależności, zanim jeszcze zdołały one przejawić w swej działalności choćby najmniejsze oznaki wojowniczości.

Jak wiadomo, większość warstw ziemiańskich i burżuazyjnych skupia się koło Narodowej Demokracji, nie zaś koło realistów i ich pomocniczej organizacji — Związku Katolickiego. Otóż N. D. obawia się, że mimo wskazanych powyżej antagonizmów między Demokracją Chrześcijańską a Związkiem Katolickim, Demokracja Chrześcijańska może swych ciemnych robotników przy wyborach poprowadzić za realistami. Ta obawa oraz chęć, by kadry niesocjalistycznych robotników stały niepodzielnie pod sztandarem N. D., powoduje walkę N. D. przeciw stowarzyszeniom chrześcijańskim. Inny jednak moment wchodzi w grę przy układaniu się stosunków samych polskich związków do chrześcijańskich. Kto zna prasę polskich związków i śledzi w niej wypowiedzenia się samych robotników, ten mógł zauważyć, że w polskich związkach znajduje się, obok obojętnej, ciemnej masy, pewien, choć nieliczny zasób jednostek inteligentniejszych i czynniejszych, dla których burżuazyjna tradesunionistyczna polityka związków polskich nie jest środkiem świadomego oszukiwania robotników i sposobem odciągania ich od walki klasowej, które biorą tę politykę za dobrą monetę, za skuteczny środek walki z wyzyskiem. Otóż ci ludzie, radykalizujący się pod wpływem lokautowej taktyki fabrykantów, widzą w kołach chrześcijańskich robotników właśnie organizacje niesamodzielne, prowadzone na pasku przez kler, niezdolne do akcji w interesie klasowym. Niektórzy z tych „narodowych“ działaczy robotniczych to lu-

dzie, którzy w krótszym lub dłuższym czasie mogą przejść do obozu socjalizmu, duchowo są oni już teraz bardziej rozwinięci od owieczek chrześcijańskich, razi ich klerykalizm i nabożnisiostwo, panujące w stowarzyszeniach chrześcijańskich (do N. D. należą oni mimo jej klerykalizmu, a nie dla niego; łączy ich z nią nacjonalizm i antysemityzm, płynący z pobudek innych, nie zaś religijnych). Dlatego m. i. walka polskich związków z Demokracją Chrześcijańską przybiera tak ostry charakter.

* * *

Doszliśmy do końca wywodów. Chciałoby się jeszcze rzucić okiem w przyszłość, ale łatwiej jest kreślić dalekie linje rozwoju, niż przyszłość najbliższą. Linje te są w Polsce te same, co i zagranicą, mogę się więc powołać na to, co powiedziałem w drugim ustępie swego artykułu. Towarzyszom, których przeraża ten zalew reakcji na pola, któreśmy w latach rewolucji z tak dobrym wynikiem orali, polecam do rozważki następujące słowa kilkakrotnie cytowanego w tym artykule Meyera, napisane w siódmym dziesięcioleciu zeszłego wieku: „Już dziś nie mogą socjaldemokraci obu kierunków (t. j. lassalczyzy i ejzenachczyzy) usadowić się, jak to publicznie przyznają w swoich organach, w takich katolickich okolicach, w których katolicy rozwinęli swą społeczną działalność. Sądzę, że nie myślę się twierdząc, że stowarzyszenia Schulzego (burżuazyjnych „postępowców“), Bebla i Lassalle'a nie są razem tak silne, jak stowarzyszenia katolicko-socjalne.“¹⁾)

A dziś?...

1) R. Meyer. Der Emanzipationskampf des vierten Standes, t. I, str. 346. W artykule swym korzystałem m. i. z następujących prac, które jako ogólnie odstępne mogę polecić czytelnikom, pragnącym bliżej poznać istotę Demokracji Chrześcijańskiej:

1. Ks. Biederlack, T. J.: Kwestja społeczna. Poznań 1908. Nakładem księgarni Św. Wojciecha. (Rzecz zasadnicza).
3. E. Jaroszyński: Katolicyzm socjalny. Warszawa 1908. Księgarnia M. Szczepkowskiego. (Ze stanowiska Ch. D.)
3. A. Erdmann: Der Schwindel der klerikalen Arbeiterpolitik. Berlin 1907. Verlag „Vorwaerts“. (Ze stanowiska S. D.)
4. Prof. Lujo Brentano: Die christlich-soziale Bewegung in England. Leipzig 1883. Verlag Dunker und Humblot. (Jest przekład rosyjski).
5. Rambaud: Histoire des doctrines économiques. Paris. 2-ie wydanie.
6. Göhre: Die evangelisch-soziale Bewegung. Leipzig 1896 (b. ważna praca).

Już po napisaniu artykułu wyszła monografia o niemieckim ruchu chrześcijańsko-demokratycznym, napisana przez socjaldemokratę A. Erdmanna (Die christliche Arbeiterbewegung in Deutschland. Stuttgart bei Dietz. 1908. 718 str.), która aczkolwiek szwankuje co do metody, zawiera bardzo bogaty materiał.

Z kraju.

Z więziennych motywów. — Gwiazdka dla więźniów od naszych fabrykantów, duszpasterzy i policmajstra. — Czemu nasi „zasłużeni kierownicy społeczni“ oświecają tylko puste sale? — Łódzkie dramaty: przywracanie nas do „uległości, organizacji i pracy“; „spokój w Łodzi jest zapewniony“. — Nieco o posuwaniu naprzód sprawy narodowej. — Zdenerwowanie wśród społeczeństwa a spokój i rozważa ścią „commanding of mens“.

Przedemną leżą „grypsy“ więzienne.

„Moi drodzy! Sprawa więc nasza skończona. I to w najbardziej nieoczekiwany dla nas wszystkich sposób. Nawet dla prokuratora, który żądał dla niektórych tylko twierdzy. A obrońcy przypuszczali w ostatniej chwili możliwość zastosowania do nas art. 124 (do roku twierdzy). Tymczasem — w rezultacie 13 katorg! Spowodował to najczystszy przypadek: trafiliśmy na czarnosecinnych sędziów, znanych ze spraw stryczkowych“.

...(Jak gdyby — tu przerywam sobie czytanie listu mego towarzysza — trafienie na czarnosecinnych sędziów pod rządami czarnej sotni mogło być uważane za przypadek!)...

„Wyobrażam sobie, jakie wrażenie musiał wywołać wyrok na wolności! — Co do delikwentów (bez przesady nazwać ich można delikwentami!), to przyjęli wyrok najspokojniej. Nikt nie myśli rozczulać się nad sobą. Ja zaś czuję się w swoim żywiole. Mam nadzieję, że wypadek — czy rewolucja — wydobędzie mnie jeszcze z tego położenia. I — przyprowadzi wprost na jakąś konferencję lub zjazd!“

No, ale to przyszłość. Tymczasem kilka spraw bieżących. — Od prokuratora na sądzie dowiedzieliśmy się, że VI Zjazd nasz już się odbył¹⁾. Bardzo ciekaw jestem rezolucji, przyjętych na nim. W dalszym ciągu, gdy mi będą zadawali pytania, wstyd mi będzie odpowiadać, że rezolucji nie miałem. Czy i Wam ich z wolności nie przysłano?

Teraz druga sprawa. Większość katorżników z naszej sprawy to biedacy, których na pasy do kajdan nie stać będzie. Prócz mnie i K., którzy mamy pomoc od rodziny, inni zupełnie są jej pozbawieni; oczekuje jej od ludzi osób 16 li tylko na naszym korytarzu. Może zdołacie dać znać na wolność, by wydostali fundusz na 11 pasów? Pasy muszą być bez „podkładki“, z pojedynczej skóry i bez kieszeni. Podkandalniki kazonne są wystarczające po przeróbce ich na miejscu. Za dwunasty pas dla mnie kosztą zwrócę, obstatujecie więc cały tuzin“.

— Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń...

Poczynam się wsłuchiwać... Podwójne czy pojedyncze? — Bo trzeba Wam wiedzieć, że kajdany bywają podwójne. Jedne tylko na nogi, inne i na ręce i na nogi. — Nie. To nie więzień. To żandarm

1) Pan prokurator przejawia chwalebna gorliwość, gdy się tak dalece interesuje losami naszej partji. Omylił się przecie w danym wypadku. W chwili, gdy to mówił, zjazd się jeszcze nie odbył. Odbywał się właśnie. — Red.

niesie kajdany. Idzie więźnia zakuwać. Może jednego z moich towarzyszy.

Rozmyślałam w dalszym ciągu — czy pieniądze na 12 pasów się znajdują? Właśnie na widzeniu z adwokatem mówiłem z nim o pomocy dla więźniów. Mówił mi: „Ależ, co się panu śni! Pomoc od burżuazji? Od postępowej inteligencji? Ale gdzież jej, panie łaskawy, szukać? Jak to poznać zaraz, żeś pan od tyłu miesiący zagrzebany w X pawilonie! — Dawać — dawniej dawali, to prawda. Dziś złamanego grosza! Oto byliśmy niedawno, panie, po zebraniu „na gwiazdkę“ dla więźniów u kilku naszych fabrykantów. Czy wiesz pan dokąd nas jeden z nich odesłał? Do Me-je-ra, szanowny panie, do Mejera! Właśnie — powiada — był u mnie niedawno po kweście na gwiazdkę ksiądz dobrodziej Chełmicki. Jest w Komitecie obywatelskim z oberpolicmajstrem na czele. Zapewniam panów — powiada — że złożyłem na tak piękny cel ofiarę — 5 rubli. Do nich proszę panów się zwrócić...

Czy więźniowie, których burżuazja nasza odsyła po należną im nagrodę do pana oberpolicmajstra, dostaną od niego na „gwiazdkę“ kajdany z pasami i „podkandalnikami“, czy bez nich? Z podkładką i z kieszenią, czy bez podkładki i bez kieszeni, jak o to prosi mój towarzysz?

Przypomniał mi się artykuł, który czytałem niedawno w „Rieczu“. „Lz ostrożnych motywów“¹⁾. Jakiś amator pieśni więziennych — Szwed czy inny zamoreczyk — wybrał się w podróż do Rosji w celu zwiedzenia tutejszych więzień i przestudjowania „więziennych motywów“ turem rosyjskich. Poznał nietylko więzienne motywy, wzbogacił nietylko sztukę muzyczną. W więzieniach katorżnych widział wiele rzeczy, które pośpieszył zakomunikować panu Stołypinowi na audjencji, jaką po zwiedzeniu więzień otrzymał, by podzielić się z jego Ekscelencją rezultatami swych muzycznych wrażeń... Widział więźnia politycznego, skazanego na 15 lat katorgi, a który nogi miał całe w ranach, bo administracja więzienna przez szykanę „podkandalników“ nie wydała. Widział więzienie, w którym wszystkim bez wyjątku więźniom brakowało jeśli nie całej szczęki, to przynajmniej kilku zębów. Naczelnik więzienia z łatwością wyjaśnił ten fakt, który amatorowi „ostrożnych“ motywów wydał się nie do wytłumaczenia. „Ma ciężką rękę i gdy uderzy w mordę, mniej niż dziesięć zębów naraz nie wybije“...

Dużo jeszcze rzeczy widział i opisał jego Ekscelencji panu premierowi skandynawski amator rosyjskich „ostrożnych“ motywów. Jego Ekscelencja długo mówił o swoim zamiłowaniu do muzyki, do rosyjskich pieśni w szczególności, nie omieszkał także zanotować sobie wszystkich innych „ostrożnych“ motywów nie z dziedziny muzyki i solennie obiecał, że wszędzie, gdzie tylko brzmiały one w dyso-

¹⁾ W „Głosie Warszawskim“ czytam w odpowiedziach od redakcji, że w polskim języku nie mówi się „katorga“, „katorżne więzienie“, tylko „ciężkie roboty“, „więzienie z ciężkimi robotami“. „W Polsce nie było katorgi“. Niech więc czytelnicy wybaczą, że piszę tak kiepską polszczyzną i używam jeszcze gorszego barbarzyństwa niżli „katorga“ — „ostrog“. To tylko do czasu, gdy katorżne więzienia i ostrogi poczną u nas stawiać narodowi demokraci. Wtedy znajdzie się zapewne i czysto polski wyraz, dobitniej rzecz charakteryzujący, niżli „więzienie z ciężkimi robotami“, i bardziej smak „Głosu“ zadawalający.

nansie z zasadniczymi tonami prawa rosyjskiego, będzie energicznie interwenjował...

I oto męczyć mnie poczyna myśl: czy moi towarzysze otrzymają „na gwiazdkę“ od burżuazji naszej, Mejera i Stołypina kajdany z podkandalnikami czy bez nich, z „podkładką“ czy bez niej?

— Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń...

Dość już, dość już więziennych motywów! Na wolność — choćby myślą — na wolność!

„Z żywem naprzód trzeba iść“...

Poczynam przeglądać gazety. Oto właśnie. Odpowiedź na pytanie, które postawiłem w ostatniej swej korespondencji. Kto korzysta z „kulturalnej działalności“ naszej tak zwanej postępowej inteligencji? I czemu od tej kultury tak strasznie zalata woń rozkładającego się trupa? List „robotnika“ do „Przeglądu Porannego“:

„Panie redaktorze!

Wielkiej przyjemności doznaję, słuchając odczytów tak zasłużonych kierowników społecznych, jak Świętochowski, Krzywicki, Niemojewski i t. p. Cóż, niestety, kiedy jako robotnik, nie zawsze uszczęśliwiony pracą, zmuszony jestem nieraz pozabawić się tej moralnej strawy, odchodząc od kasy z powodu braku tanich miejsc. To czyni dziś bardzo wielu liczących się z budżetem; nadmienić muszę, że tanie miejsca są bardzo ograniczone (tylko galerje — spotykamy się z tym często podczas odczytów p. Niemojewskiego). Przy miejscach zaś 15-kopiejkowych niewiadomo z jakiej przyczyny i kontramarkarnia skacze z 5 na 10 kop. Wynik tego łatwy do przewidzenia, tanie miejsca bywają szczerlnie zapełniane, gdy większa część Filharmonji pusta“.

Czyż nie lepiej — kończy swój charakterystyczny list jeden z żądnych uszczęśliwienia „kulturą“ przez naszych kierowników społecznych, acz „niezawsze uszczęśliwiony pracą“ przez naszych „captains of industry“ — czyż nie lepiej mówić przed pełną salą chciwych wiedzy robotników?

Och, nie dla tak „zasłużonych kierowników społecznych“, jak Świętochowski, Krzywicki, Niemojewski i t. p.! Nie podejmujemy się rozwiązywać tajemnic, stanowiących być może nie publiczną sprawę policji warszawskiej, lecz sprawę prywatną akcjonariuszy i dyrektorów Filharmonji, „czemu przy miejscach 15-kopiejkowych kontramarkarnia skacze z 5 na 10 kop.“, nie będziemy przypominali, że były czasy, gdy w Filharmonji nie kosztowały miejsca nic zgoła, że i „kontramarkarnia nie skakała wtedy z 5 na 10 kop.“, że Filharmonja była wówczas zapełniona od parteru do szczytu, acz przemawiali w niej nie „nasi zasłużeni kierownicy społeczni“, których wtedy, rzecz dziwna, nie było z „ludem“, lecz nikomu nieznanym agitatorowie socjalistyczni — pomijamy to wszystko, by wskazać na niektóre tylko czynniki, odsłaniające tajemnice pożałowania godnego stanu naszej „kulturalnej działalności“. Nie sądzimy, by „nasi zasłużeni kierownicy społeczni“ woleli przemawiać przed pełną salą chciwych wiedzy robotników. Bo jakkolwiek były czasy, gdy i pan Niemojewski zwiastował urbi et orbi, przybierając pozę bohatera, jak to kiedyś „siedział w X pawilonie“, gdy i pan Krzywicki „siedział w X pawilonie“ i oświadczał (jako „ortodoksalny marxista“ słowami Marxa), że „przy proletariacie stoimy i stać będziemy“, gdy i pan Świętochowski

acz w X pawilonie sam nigdy nie siadywał, dawał przecie na szpaltach swej „Prawdy“ miejsce tym, którzy w nim siadywali – jakkolwiek wszyscy „nasi zasłużeni kierownicy społeczni“ byli niegdyś farysami, dziś farysami już nie są i – w X pawilonie ni w ratuszu siedzieć nie chcą. Dziś niema już Sarmatów – powiedziałyby Kajetan Węgierski – są tylko Polacy; dziś niema farysów, należałoby powiedzieć, parafrazując jego słowa, są tylko – burżuje...

Przynajmniej na powierzchni życia społecznego... Farysy dziś na dzień...

„Zasłużeni nasi kierownicy społeczni“ nie znajdują dziś tematów, które zdolne byłyby ściągnąć do ich sal odczytowych wielotysięczne rzesze robotnicze, które ściągały dawniej, aby posłuchać nieznanym i bardzo dalekich od uznania agitatorów socjalistycznych, głoszących im walkę o lepszy byt, o wolność, o prawa, o światło. A masy robotnicze, nie zawsze „uszcześliwiane pracą“ przez swoich „pracodawców“, złożone z ludzi, zmuszonych bardzo skrupulatnie „liczyć się z budżetem“, nie spieszą na odczyty „zasłużonych kierowników społecznych“, bo niczym światło, gdy – chleba niemasz. „Pozioma“, „materjalistyczna“ doktryna socjaldemokracji raz jeszcze ujawnia całą swą prawdziwość: niemasz kultury tam, gdzie niemasz silnych podstaw ekonomicznego bytu tak zwanych niższych warstw społecznych – niemasz kultury u nas w kraju bez dobrze zorganizowanej klasy robotniczej. I gdy „Kultura“ w odezwie od wydawców płaczkliwie zwiastuje, że aczkolwiek „w społeczeństwie kulturalnym stosunek pisma do abonentów powinien być oparty na zupełnym zaufaniu“, to jednak „w naszym społeczeństwie na tę zasadę jeszcze zawczasie“, bo nasi czciele kultury zalegają w prenumeracie w ciągu roku na przeszło siedemset rubli (przyczym stonunkowo najwięcej zaległych jest wśród inteligencji z a m o ż n e j), gdy „Głos Warszawski“ z złośliwą radością przynosi wiadomości o opłakanym stanie materjalnym wydawnictw postępowych, wtedy nieprzeparcie nasuwa się myśl jedna – niemasz i nie będzie kultury, póki krajem rządzą Skałony i Kaznakowy, a „opinią publiczną“ Dmowscy i „Głos Warszawski“, póki tysięczne masy nie są „uszcześliwiane“ przez „praco„dawców“ pracą, lub też są nią uszcześliwiane na warunkach godnych białych murzynów.

Weźcie gazety. Rzućcie okiem na wiadomości z fabryk. Długi, nieskończony szereg doniesień o zniżkach płacy, poprzedzanych zwykle zapowiedzią zamknięcia fabryki na 2 tygodnie. Potym następuje przyjmowanie robotników „na nowo“ – na nowych warunkach. Płaca zostaje obniżona o 10, 15, 20, 25, 30%, robotnicy straceni do poziomu dawnych płac głodowych z r. 1905 – bodaj niższych od nich!

„Pojawiające się prawie codziennie na szpaltach prasy miejscowej wiadomości o obniżeniu płacy zarobkowej i ograniczeniu czasu roboczego w fabrykach nie należy uważać za zjawiska pojedyncze, oderwane, lecz przeciwnie trzeba patrzeć na nie jako na poszczególne objawy jednego łańcucha, jakim jest dążenie ogromnej większości fabrykantów łódzkich do przywrócenia status quo ante w stosunkach z robotnikami.

„Zdaniem ich, chwila obecna jest bardzo odpowiednia ku temu: brak organizacji robotniczych, systematyczne paraliżowanie działalności jeszcze istniejących i dziesiątki innych okoliczności niepomysłnych dla robotników, wszystko to razem daje fabrykantom ogromną przewagę, która ich oślepia prozostu. Wypadki lat ubiegłych niczego

ich nie nauczyły, niestety, przemysł Łódzki oczekują nowe wstrząśnienia, nie mniej groźne od tych, jakie już przeżywał“.....

Tak pisze organ pana Dmowskiego, „Głos Warszawski“...

„Już dziś w niektórych fabrykach robotnicy zarabiają zaledwie tyle, ile zarabiali przed ostatnimi strejkami. Obniżenie płacy zarobkowej nastąpiło w stosunku od 10 do 30 procent, proszę więc sobie wyobrazić, jaka to będzie różnica w budżecie rodziny robotniczej przy istniejącej w Łodzi drożyznie. Lecz to jeszcze nie wszystko. W daleko gorszym położeniu znaleźli się robotnicy mniejszych fabryk. Im obniżono płacę nie o 30, lecz o 50 proc. i więcej. W fabrykach mniejszych powodowano się jedną tylko zasadą: ażeby więcej obniżyć. Są fabryki, w których obniżono płacę robotnikowi po kilka razy, przyczem zapowiedziano zawsze, że, w razie niezgodzenia się na niższe warunki płacy, fabryki będą zamknięte na czas nieograniczony“...

Tak mówi „jeden z wybitniejszych znawców stosunków przemysłowych w Łodzi“ do reportera organu p. Dmowskiego. Organu tego samego sztabu jeneralnego, który organizował „koncentrację narodową dla walki z anarchją“, który pchał ciemnych robotników-tamistrejkw do napaści z browniegiem w rękę na robotników, brojących w walce z kapitałem z sił wszystkich atakowanych przez wroga pozycji, który „nie wahał się w walce z socjalistami przelać krwi bratniej“.

...„Trzeba masę robotniczą wyrwać z zamętu i chaosu, trzeba ją oprzytomnić, zmusić do uległości, organizacji i pracy“ – słyszę w tym miejscu głos przewodcy związku fabrykantów, pana Poznańskiego, niejako coś tłumaczącego, wyjaśniającego reporterom z „Głosu“. „Dokonać tego zdoła – głód jedynie, męka i przymus“...

...„Knut i stryzyzek!“ odzywa się głos jeden jeszcze w tym trójgłosie. To – Kaznakow. „Wczoraj aresztowałem od Szajblera przeszło stu chłopców, którzy rzucili robotę, wczoraj kazałem zabrać kilkuset buntowszczyków tkaczy, co tydzień, co dni kilka dziesiątki podżegaczy idą z mego rozkazu w pustynie archangielskie, wołogodskie, syberyjskie“...

Spokój w Łodzi jest zapewniony...

Lecz czy zapewniony? Bo oto reporter „Głosu Warszawskiego“ znowu się dąsa i kwili:

„Robotnicy zgadzają się na wszystko, bo nie mają na razie innego wyjścia, lecz łatwo wyobrazić sobie, jaki panuje wśród nich nastrój. Objawy wrzenia już teraz są widoczne i niezadługo wystarczy jedna iskra, ażeby wywołać wybuch, którego skutki dla przemysłu Łódzkiego mogą być okropne... Fabrykanci Łódzcy znaleźli się na jakiejś pochyłości i pędzą na oślep, nie oglądając się wcale na skutki tej galopady. A skutki te niedługo na siebie każą czekać. Nie chcę być złym prorokiem, ale obawiam się, że na wiosnę czekają Łódź nowe wstrząśnienia“...

Tu słyszę znowu gromowy, iście jeneralski głos Kaznakowa: Spokój w Łodzi jest zapewniony! Onegdaj posłałem na szubienicę siedmiu, dziś pójdzie dwóch, jutro jeden – spokój w Łodzi jest zapewniony!

Spokój w Łodzi jest zapewniony. Więc wracajcie, tkacze Łódzcy, do roboty! Wracajcie choćby na warunkach płacy głodowej. I tkajcie, tkajcie!

Przeklętą niech będzie Ojczyzna ta Wasza,
W niej głód tylko kwitnie i nędza nasza,

A kwiat gdy zakwitnie – wnet będzie skoszony,
Robactwu i trupom tu byt wymarzony!

Więc całun śmiertelny, Ojczyzno, ci tkamy
I w całun przekleństwo potrójne wplatamy,
I tkamy, i tkamy, i tkamy...

Teraz jasnym jest już dla mnie, czemu „zasłużeni kierownicy społeczni“ nie są w stanie uszczęśliwić swemi wykładami żądnych wiedzy robotników, a robotnicy nie są uszczęśliwiani pracą przez naszych „wodzów przemysłu“, jasnym już jest dla mnie, czemu nie kwitnie u nas bujny kwiat kultury, czemu nim zakwitnie, wnet skoszony będzie, czemu robactwu i trupom tu tylko byt wymarzony.

Poznańscy, Dmowcy, Kaznakowowie. Oto niezdobyte okopy Świętej Trójcy! Oto, mówiąc prozaicznym językiem meterjalizmu dziejowego, sojusz burżuazji „narodowej“ z „zaborczym“ rządem katów i morderców, jakiego dzieje nie widziały! Sojusz, któremu wysługuje się „patrijotyczne“ i „narodowe“ drobnomieszczanstwo, aż mu dostaje się za to – kopnięcie nogą.

Jednak nie przesadzajmy rzeczy zgóry, nie wysłuchawszy „samego oskarżonego“. Właśnie pan Dmowski jest przejazdem w Warszawie i łaskawie pozwala się „interwiewować“, czyli „wywiad“ czynić. „Pan prezes“ „nie czuje się źle“, jednak „Petersburg nie pomaga mu, klimat petersburski mu nie służy“. I jakkolwiek pan prezes uważa siebie za wyjątkowo silnego człowieka, jednak „ostatnie cztery lata wysiłku zarówno z początku, podczas walki z anarchją w kraju, jak potem, podczas organizacji polityki polskiej w nowych warunkach, odbiły się na siłach i zdrowiu pana prezesa“. A zbliżające się chwile będą należały bodaj do najtrudniejszych. „Polityka nasza bardzo jest daleka od ustalenia metod, rutyny. Ciągłe wymaga szczególnego napięcia uwagi, orjentowania się w zmiennym niezwykle położeniu i wysiłku myśli, szukającej w tym położeniu właściwej drogi. Na dodatek zmuszeni jesteście działać w ogromnie nerwowym środowisku, w którym bardzo łatwo jest samemu zarazić się i utracić spokój“.

W tym miejscu znów przerwa. Na korytarzu moim rozległ się jakiś krzyk nieludzki, później wrzask żandarma, słycać niby zmaganie się ludzi, potem walenie w drzwi ze strony oddzielnych więźniów, groźne, to znów proszące wołania żandarma, bieganie po korytarzu, otwieranie drzwi... Wreszcie ścichło wszystko... Po godzinie blisko dowiedziałem się nareszcie, co zaszło. To sąsiadka moja – młode, dziewiętnastoletnie dziewczę, skazane na śmierć za udział w kilku zamachach, a „ułaskawione“ z zamianą tej kary na dożywotnią katorgę, wedle swego zwyczaju awanturuje się cokolwiek. – Dla rozrywki... Może przez zdenerwowanie... Kazała żandarmowi sobie drzwi otworzyć, a gdy po długim z nią sporze (nie wolno mu tego robić) dla świętego spokoju ustąpił i uczynił to, ona schylonego – bęc dzbanem w kark. -- Dla rozrywki... może przez zdenerwowanie...

Tak, tak, pan Dmowski ma rację, utrzymując, że nasze społeczeństwo jest porządnie nerwowe i mało ma tego spokoju, „który jest niezbędnym warunkiem zdrowej politycznej myśli“. Jednak – „musimy nareszcie zostać narodem politycznym, który w najcięższych warunkach nie traci zdolności do stałego wysiłku myśli i woli i nie przestaje się organizować na gruncie istniejącej rzeczywistości działań, zmierzających do posuwania naprzód sprawy narodowej“.

Tak mówił pan Dmowski w przeddzień II-ej sesji Dumy Państwowej. A coż nam ona przyniosła w zakresie „posuwania naprzód

sprawy narodowej?“. Głosowanie za prawem usunięcia nieprawomyślnych z wojska – wynik tego, że „Koło Polskie nie prowadzi walki z rządem na gruncie kwestji organizacji armji“, głosowanie, przyjęte przez całą prasę rosyjską, począwszy od kadeckiej, a kończąc na „Rossiji“, „Nowom Wrjemieni“ i „Warszawskim Dniwniku“, jako dowód, że Polacy zawarli blok z centrum rządowym, że są na drodze „zwrotu do otrzeźwienia“ – głosowanie, będące w rzeczywistości dowodem, że Koło Polskie w walce z „anarchją“ gotowe jest dziś ręką w rękę iść ze Stołypinem, Guczkowem, Bobrińskim i Puriszkiwiczem; głosowanie w sprawie interpelacji o nadużyciach ochrany wileńskiej, którym Koło dowiodło, że zupełnie aprobeuje system Makarowych – Raczkowskich – Komisarowych; głosowanie w sprawie prawa agrarnego z dn. 22 listopada; głosowanie przeciwko kadeckiej formule przejścia do porządku dziennego nad wnioskiem pożyczki o 500 milionów, za pomocą którego Koło Polskie przyznało rządowi Stołypina – Szwarca – Skałona środki na dalsze znęcanie się nad całym państwem i naszym krajem, – oto niektóre tylko objawy trzeźwej, realnej polityki, zapowiedzianej nam przez pana Dmowskiego. A wzamian, w podziękowaniu za wszystkie umizgi do Stołypina, Szwarca, Guczkowa i Puriszkiwicza, wynagradzane pogardliwym: nie dość jeszcze, bieście, czarny! – wzamian za to wszystko bezceremonjalne odczucenie proponowanej przez Parczewskiego „koncesji na polu rzeczywistych zdobyczy narodowych“ w postaci dodatku etatowego dla sądów gminnych w Królestwie Polskim. A w kraju gnębienie wszystkiego, co polskie, przez dzikie azjatyckie rządy Skałona i Kaznakowa!

Lecz „walka o konstytucję – jak oświadcza „Głos Warszawski“ – została przegrana“. Dumę należy uznać za departament do spraw wewnętrznych przy pierwszym ministrze absolutyzmu, Koło Polskie winno zostać „w interesie posuwania naprzód sprawy narodowościowej“ tylko „chodatajem“ w takich sprawach, jak samorząd miejski i ziemski, zniesienie serwitutów, pożyczki i zapomogi dla różnych przedsiębiorstw i t. d. „Czoło narodu polskiego“ – stronnictwo demokratyczno-narodowe i jego reprezentacja w Dumie – schyliło się przed czarnosecinnym rządem Stołypina i jego czarnosecinną podporą w Dumie w tak kornym pokłonie, że czoła narodu polskiego odróżnić dziś niopodobna od tej części ciała narodu rosyjskiego, której w druku się nie wymienia. I dziś po latach dwunastu witaćby można reprezentację polską w Dumie temi samemi słowami, którymi ongi w r. 1897 witała Narodowa Demokracja ugodowców, kornie chylących się podczas przyjazdu cara do Warszawy do stóp jego:

„A na to... do bata: Miły bracie,
Zgoda z nami! Ja lojalnie spuszczam gacie!“

Więzień z X pawilonu.

Krytyka i bibliografia.

Dr. Max Adler: *Marx als Denker. Zum 25 Todesjahre von Karl Marx.* (Marx jako myśliciel. W 25-lecie śmierci Marxa). Berlin, nakładem „Vorwärts“, 1908.

Praca składa się z następujących rozdziałów: Uwaga wstępna; I. Wstęp; II. Prawda, zawarta w filozofji Hegla; III. Marx i Hegel; IV. Samowarunkowanie się społeczne; V. Socjalizm naukowy i utopijny; VI. Materjalistyczne pojmowanie dziejów i krytyka ekonomiczna; VII. Nauka i polityka; Dodatek: Marx i djalektyka. Jak widać z przedmowy, omawiana praca jest rozszerzonym odczytem, który Adler wygłosił w rocznicę śmierci Marxa w sali uniwersytetu wiedeńskiego, uzupełnionym artykułem o djalektyce, drukowanym poprzednio w organie austriackiej Socjaldemokracji *Der Kampf*.

Zadanie, jakie postawił sobie autor, należy do kategorii najtrudniejszych. Scharakteryzować Marxa jako myśliciela, wysledzić zasadnicze nici, stanowiące kanwę, na której wysyływał swe genialne idee autor „Kapitału“, to znaczy odtworzyć tło umysłowe epoki, w której wzrastał i rozwijał się Marx, oznacza to prócz tego umiejętne i subtelne wnikiwanie w zakątki kolosalnej, skomplikowanej budowy teoretycznej, łączenie w jednolitą całość pojedynczych tu i owdzie porzucanych myśli twórcy naukowego socjalizmu. Jeżeli ujęcie całokształtu idei marxowskich, o ile dotyczą one życia społecznego, praw, tym życiem rządzących, wymaga poważnego wysiłku umysłowego, to jest ono jednakże bezsprzecznie ułatwione przez bezpośrednie, dane nam przez samego Marxa gotowe sformułowania. Natomiast, jeżeli chodzi nie tylko o jego metodę badania zjawisk społecznych, ale o metodę wogóle, o zasadnicze sposoby jego myślenia, o teorię poznania, a zarazem o światopogląd nie społeczny, lecz ogólnie filozoficzny Marxa, trudności stają się olbrzymie. Nie znajdujemy bowiem u Marxa wyraźnie sformułowanej ani teorii poznania, ani światopoglądu ogólnego, i tylko drogą dedukcyjną, drogą pośredniego wnioskowania można kombinować, że z poglądów na społeczeństwo daje się wydedukować taki czy taki pogląd na świat, z metodologii społecznej — metodologja wogóle, z analizy psychologicznej sił społecznych — pogląd naukowy na psychologję i jej rolę wogóle. Rzecz prosta, że wszelkie takie dedukcje nigdy prawie nie są wolne od subiektywnego zabarwienia, od dowolnych konstrukcji. Wystarczy wskazać wysiłki nowszych badaczy socjalistycznych, skierowane na stworzenie teorii poznania i światopoglądu ogólnego na podstawie marxizmu. Wysiłki te prowadzą do nader rozbieżnych rezultatów. Podczas gdy jedni uważają, że wulgarny i płytki materjalizm filozoficzny, ożeniony w cudaczny sposób z kantowską metafizyką, jest najwierniejszym duchowym wyrazem marxizmu, drudzy dążą do marxistowskiej teorii poznania na podstawie najnowszych prądów w tej dziedzinie — teorii Macha i Avenariusza, inni wreszcie, jak neokantyści, uważają za możliwe wziąć za podstawę kantowską teorię poznania, aby stworzyć wolną w ich mniemaniu od sprzeczności teorię kanto-marxowską. Do rzędu tych ostatnich należy i Adler.

Powyższe uwagi mają na celu wskazanie faktu, że nie może być mowy o jakiejś obiektywnej marxowskiej teorii poznania i że w samym założeniu, chcącym taką skonstruować, tkwi zasadniczy błąd. Dopóki nie został jednoznacznie określony związek między ideologją społeczną jakiej klasy a, powiedzmy w danym wypadku, ideologją

ogólno-ludzką, między klasowym sposobem odczuwania i myślenia a ogólnymi formami i normami odczuwania i myślenia, dopóty wszelkie próby budowania „prawdziwie marxistowskiej“ teorii poznania, prawdziwie „marxistowskiego światopoglądu“ będą udatnym lub nieudatnym wkładem do literatury naukowej socjalizmu, ale w żadnym razie obiektywnym odtworzeniem poglądów Marxa. Autor omawianej pracy nie wolen jest od tego samego błędu. Będąc zwolennikiem teorii poznania, opartej na Kancie, nie tyle odtwarza obiektywnie to, co Marx dał w tej dziedzinie, ile stara się wydedukować „światopogląd“ Marxa, patrząc przez pryzmat swojej teorii poznania i swojego własnego światopoglądu o zabarwieniu metafizycznym.

Pierwsze rozdziały, traktujące o genezie teoretyczno-poznawczych poglądów Marxa, są najślabsze. Dalsze, traktujące o bardziej konkretnej twórczości Marxa, udały się Adlerowi znacznie lepiej zarówno co do treści, jak i co do przejrzystości, i mogą przynieść duży pożytek czytelnikom — niestety należy dodać: czytelnikom, odpowiednio przygotowanym i umiejącym odcyfrowywać zawodowy żargon filozoficzny, którym posługuje się autor. Do najudatniejszych części należy rozdział VII: Nauka i polityka. Słuszne i piękne są słowa: „Proletarjacka nauka, jaką zawdzięczamy Marxowi, jest to zarazem uświadomienie sobie faktu, że bezsilną jeszcze jest filozofja, nieużyteczną nauka, która nie istnieje dla szerokich mas ludowych, że więc obiedwie — filozofja i nauka mogą zyskać na sile tylko wtedy, gdy masa wreszcie przestanie być niczym więcej, jak tylko „proletarjatem“ — podnóżem rzekomej kultury“.

Najślabszy jest rozdział ostatni o dialektyce. Autor nie tylko zdaniem naszym nie wyjaśnia znaczenia t. zw. dialektyki dla nauki, ale zaciemnia całą rzecz przez swoją teorię psychologiczną. Adler konstruuje pojęcie dialektyki psychologiczne, będące niczym innym, jak analizą pojęć i sądów, opartą na nowych badaniach; dialektyka sprowadza się u niego do przeciwstawienia logizmowi psychologizmu. Stąd konieczność przyznania, że u Marxa i u Engelsa dialektyka nie jest jedynie wewnętrznym rozwojem samych pojęć, ale zarazem rozwojem samych zjawisk, według prawa przeciwieństw. Wynika to według Adlera z identyfikowania myślenia i bytu u Marxa i u Engelsa w sensie materialistycznym. „Jest to uwarunkowane — powiada Adler — dogmatycznym, zasadniczym poglądem obydwu myślicieli na stosunek myślenia i bytu, że wychodzili oni z założenia podobnego jak Hegel; ich identyfikowanie bytu i myślenia było jedynie odwróceniem heglowskiego“. Dalej Adler zarzuca Marxowi i Engelsowi, że utożsamiali byt z myśleniem w sposób, zbliżający się do „materializmu“. Zarzut ten w dziwnej sprzeczności pozostaje z wywodami Adlera w innym miejscu, gdzie wyraźnie odrzuca łączność marxizmu z materializmem filozoficznym, i wogóle przeczy temu cały pogląd Adlera na Marxa teorię poznania wyłożoną poprzednio.

To, co Adler mówi o pojęciu „rozwoju“, pachnie już grubą metafizyką i nie pozbawione jest chaotyczności. Wynika to z konieczności z fałszywej zasadniczej pozycji autora, którą scharakteryzowaliśmy powyżej. Gdy się chce znaleźć u Marxa teorię poznania, — nie tylko teorię rozwoju społecznego — niechybnie wpada się w dowolne konstrukcje nieraz sprzeczne.

Naogół wzięwszy, książka Adlera, jako zawierająca dużo ciekawych myśli i charakteryzująca naogół trafnie wielkie zdobycze Marxa na polu nauki i myśli, zasługuje stanowczo na uwagę, cho-

ciaż nie wolna jest od poważnych usterek. Za wielką wadę poczytujemy autorowi brak wszelkiego historycznego tła, na którym myśli Marxa powstawały i rozwijały się. Brak ten niezmiernie utrudnia konkretne uchwycenie rozwoju myśli marxowskiej i jej genezę. Do tegoż przyczynia się zbyt schematyczne traktowanie przedmiotu przez autora oraz język bardzo ciężki i zawiły. Wskutek tego książka dla szerszego ogółu absolutnie niedostępna, a od ludzi, przyzwyczajonych do czytania dzieł teoretycznych, wymaga filozoficznego wykształcenia.

A. M.

Hermann Wendel: Die preussische Polenpolitik (Pruska polityka w sprawie Polaków). Berlin, nakładem „Vorwärts“. Str. 85.

Autor usiłuje dać we wstępie szkic historyczny przyczyn upadku i podziału szlacheckiej Rzeczypospolitej. Szkic to z konieczności pobieżny i, wobec małego obznajmienia autora z wewnętrznymi dziejami Polski, niedokładny. Ciekawsze już i gruntowniejsze są uwagi o knowaniach rządów zaborczych; zwłaszcza na nędzną politykę rządu pruskiego rzuca autor światło jaskrawe, przyczym drwi niemiłosiernie z historyków pruskich, którzy usiłują usprawiedliwić sofizmami jego nizekzemności.

W następnym rozdziale szkicuje autor politykę rządu pruskiego, stosowaną względem Polaków od chwili rozbioru do roku 1871. Cytuje on rozkaz Fryderyka II, który zaleca urzędnikom pruskim doprowadzić do tego, aby polscy dziedzice stawiali opór władzom pruskim, gdyż to da możność konfiskowania ich dóbr, przytacza dzieje zagrabienia królewszczyzn przez zgraję dworaków Fryderyka Wilhelma, demaskuje owych „Kulturtraegerów“, którzy w relacjach historyków pruskich widnieją jako krzewiciele kultury europejskiej w Polsce, w rzeczywistości zaś byli krzewicielami korupcji i przedstawicielami brutalnego ucisku. — W r. 1848 burżuazja niemiecka, jak wiadomo, odegrała rolę haniebną w sprawie polskiej, co dało powód Karolowi Marxowi do wykazania, że ta tchórzliwość i służalczość burżuazji względem rządu umacnia siły kontrrewolucji, że odniósłszy tak łatwe zwycięstwo w tej sprawie, rząd w „sprawie polskiej“ odtąd będzie miał środek obezwładniania mieszczańskiego demokratyzmu. Ustęp broszury, poświęcony tym dziejom liberalizmu niemieckiego, szczególnie zasługuje na uwagę.

Po roku 1871 wymaga się przesładowanie narodowości polskiej. Bismark chciał rządzić odbudowanemi Niemcami na podstawach systemu policyjnego, podszczywał więc bezustannie szowinizm niemiecki, a „niebezpieczeństwo polskie“ było jednym ze środków ku temu. Jednocześnie zaś gnębienie Polaków było wysługiwaniem się caratowi, w którym Bismark widział jedyne pewnego sojusznika Niemiec. Wendel wykazuje, jak wszystkie siły reakcyjne: rząd, junkierstwo i drobnomieszczaństwo jednoczą się w tej brutalnej żądzy zgnębienia Polaków, jak hakatyzm staje się jednym ze źródeł, zatruwających i znieprawiających życie polityczne Niemiec.

Lwią część broszury zajmuje opis stosunków szkolnych, charakterystyka działalności Komisji Kolonizacyjnej oraz ostatnich praw wyjątkowych, skierowanych przeciw Polakom.

Broszura Wendla przyczyni się niewątpliwie do obznajmienia robotników niemieckich ze stosunkami polskimi i pod tym względem zapełnia lukę w politycznej literaturze partji niemieckiej, na tym polega jej pożytek.

Przy ocenie stosunków tych popełnia Wendel pewien błąd zasadniczy, mianowicie nie docenia przyszłej roli proletariatu polskiego w zaborze pruskim w walce przeciw uciskowi narodowemu. Źródło tego błędu jest widoczne: nie znając języka polskiego, autor polegać musiał na danych, dostarczonych o stosunkach polskich przez burżuazyjną literaturę niemiecką, autorów zaś burżuazyjnych uderza przede wszystkim fakt szybkiego rozszerzania się w Księstwie Poznańskim nacjonalistycznych prądów wśród drobnomieszczaństwa. Toteż autorowie ci widzą w nim jedyny czynnik oporu przeciw germanizacji i Wendel idzie ich śladem. Tymczasem, równorzędnie z procesem wzmaganania się świadomości „narodowej” w klasie drobnomieszczańskiej, odbywa się proces, będący uzupełnieniem pierwszego, — przetwarzanie się fizjonomji społeczno-politycznej pewnej części ludności wiejskiej. Szybkie proletaryzowanie chłopstwa powoduje napływ mas robotniczych polskich do miast, które przed niedawnym jeszcze czasem były zupełnie ziemczone. Te masy proletariackie, budząc się do życia społecznego, popychane są przez całe otoczenie do walki przeciw wynarodawianiu i właśnie akcja tych nowych zastępów musi stawać się coraz bardziej ważnym czynnikiem. W zaborze pruskim bowiem, jak wszędzie, drobnomieszczaństwo może stawiać w walce politycznej tylko opór poławiczny, niekonsekwentny; zatopione w groszorbstwie, w wiecznej żyjąc obawie przed proletariatem, boi się ono każdej szerokiej akcji politycznej, zasklepia się w swoim sobkowstwie reakcyjnym. Tymczasem walczyć skutecznie z germanizacją można tylko zwalczając cały system państwowy pruski, a do takiej aktywnej walki zdolny jest tylko proletarijat.

J. K.

Przegląd czasopism.

Le Socialisme.

W numerze z d. 12 grudnia Maurycy Hillquit z Nowego Jorku opisuje ostatnie wybory na prezydenta w Stanach Zjednoczonych. Wciąż jeszcze brak ścisłych danych co do liczby głosów, otrzymanych przez Eugenjusa V. Debsa, kandydata partji socjalistycznej. Przynieszone obliczenia wahają się pomiędzy 500 000 a 600 000*). Dla optymistów, którzy liczyli na miljon głosów, jest to poniekąd rozczarowaniem, lecz spokojniejsze umysły wynik ten zupełnie zadawalnia. Dotychczas partja nigdy nie osiągnęła więcej ponad 400 000 głosów; tyle otrzymał kandydat socjalistyczny w r. 1904. Ale jeżeli nawet pominiemy przyrost absolutny, którego ostatecznie również nie można lekceważyć, to przyznać trzeba, że przyrost względny ma ogromne znaczenie. Warunki, w których odbywały się dwa ostatnie obiory prezydenta, z punktu widzenia socjalistycznego różniły się wprost biegunowo. W r. 1904 obie wielkie partje polityczne Stanów Zjednoczonych, republikańska i demokratyczna, miały w oczach wyborców jednakowo reakcyjny charakter. Partja republikańska, reprezentująca w kraju interesy wielkokapitalistyczne, nie próbowała wówczas zgoła ukrywać swego arcyzachowawczego charakteru. Partja demokratyczna, która nie przeboleła jeszcze dwóch swych świetnych porażek, odniesionych za czasów przewodztwa „radykała” Bryana, zrobiła rozpaczliwą próbę odzyskania swej potęgi, zrzekając się wszelkich herezji ra-

*) Wkrótce po wyborach pisma podawały tę ilość głosów socjalistycznych na 750 000, — liczba którą przytoczył też nasz współpracownik w ostatnim nrze F. S. — Red.

dykalnych. Głosiła więc program zachowawczy za przewodnictwem sędziego Parkera z Nowego Jorku, człowieka spokojnego i pewnego.

Partja socjalistyczna była zatem wówczas jedyną, która wystawiała program radykalny; to też napływały do niej z klas średnich liczne żywioły radykalne, nie mające absolutnie nic wspólnego z socjalizmem. Bez wątpienia więc znaczną część ówczesnych 400 000 wyborców można było zaliczyć do kategorii sympatyków.

W r. 1908 sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Depresja przemysłowa, wraz ze swym następstwem — nędzą mas, i postęp myśli socjalistycznej zrodziły ogólne niezadowolenie i pewien radykalizm polityczny. Wówczas więc walka odegrała się pod znakiem radykalizmu. Wszystkie partje polityczne starały się wzajemnie pod względem radykalizmu przelicytować.

Partja republikańska wskazywała z dumą na reformy, które Roosevelt rzekomo przeprowadził, albo które miały być jeszcze przeprowadzone, i przyrzekała ciągnąć dalej tę politykę reform. Partja demokratyczna, która ze swą konserwatywną propagandą w roku 1904 zrobiła tak przykre doświadczenia, wywinęła nowego koziołka i wróciła do Bryana i jego radykalizmu. Do tego przybył przy ostatnich wyborach nowy czynnik, którego poprzednio nie mieliśmy do zwalczania, — tak zwana „partja niepodległościowa“, która wystawiała kandydaturę Wiljama R. Hearsta. Pan ten jest wielokrotnym milionerem i posiada znaczny wpływ polityczny, który zawdzięcza całemu szeregowi dzienników, wychodzących w głównych miastach kraju w liczbie około 2 milionów egzemplarzy dziennie. W ostatnich latach zabawał się uprawianiem demagogicznej polityki i jego partja niepodległościowa wcieliła do swego programu politycznego wiele żądań socjalistycznych.

Tak więc od samego już początku walki wyborczej wrogowie klasy robotniczej ręcznie rozstrzelili głosy radykalne. Lecz najgorszą niespodziankę przygotowali ruchowi socjalistycznemu jego naturalni sprzymierzeńcy, syndykaliści. American Federation of Labor (Amerykańska Federacja Pracy), najsilniejsza i najbardziej wpływowa z amerykańskich organizacji robotniczych, wypowiedziała się oficjalnie za partję demokratyczną. Federacja pozostawała dotąd neutralną politycznie pomimo ciągłych prób socjalistów pchnięcia jej na tory niezależnej polityki robotniczej¹⁾.

W tym roku Federacja wyrzekała się dotychczasowej taktyki i weszła na fałszywą drogę. Zamiast połączyć się z socjalistami i stworzyć w ten sposób podstawę potężnej partji proletariackiej, krótkowidzący przewodcy Federacji z Samuelem Gomperssem na czele wciągnęli zorganizowanych robotników Ameryki do reakcyjnego ruchu klas średnich, którego wodzem jest Bryan i z którym razem ponieśli sromotną porażkę.

Tak więc przy ostatnim obiorze rozmaite okoliczności polityczne działały wspólnie przeciw socjalizmowi. Jeśli pomimo to udało się jednak nie tylko zachować nasze pozycje, lecz jeszcze je wzmocnić, to zawdzięczamy to w największej części skutecznej i sprężystej propagandzie naszej partji oraz nadzwyczajnemu wzrostowi poczucia socjalistycznego w Ameryce w ciągu lat ostatnich.

Zdobyte głosy, czy jest ich 500 000 czy 600 000, są całkowicie nasze: każdy głos należy do gorliwego i pewnego bojownika w armji rewolucji proletariackiej.

Kampanja wyborcza roku 1908 ma dla północno-amerykańskiego ruchu socjalistycznego największą wagę nie tylko dla bezpośrednich swych wyników, lecz i dla stworzonej przez siebie sytuacji. Oświetliła ona z nieznaną dotąd jaskrawością walkę klasową w Stanach Zjednoczonych i otworzyła na przyszłość szeroką drogę silnej akcji socjalistycznej. Nasza klasa kapitalistyczna, upojona zwycięstwem, zrywa już maskę radykalną i rzuca pokonanemu ludowi wyzywające „biada zwyciężonym“.

¹⁾ W niektórych częściach kraju, zwłaszcza w Kalifornji, związki zawodowe zorganizowały się do wyborów parlamentarnych 1906 roku w niezależną partję polityczną (Union Labor Party) i odniosły zwycięstwo przy wyborach municypalnych w S. Francisco.

Słaba, chwiejna klasa średnia, której zgrzybiały radykalizm po raz trzeci odrącony został przez lud, składa już publiczne przeprosiny. Przewódcy demokratyczni i ich prasa klną się, że w przyszłości nie będą mieli nic wspólnego z radykalizmem.

Federacja Pracy nie wyciągnęła żadnych korzyści z haniebnego swego sojuszu z demokratami, natomiast ściągnęła na siebie otwartą nienawiść republikanów, którzy chwilowo stoją u steru. W ten sposób zorganizowani robotnicy Stanów Zjednoczonych tracą swych poprzednich sprzymierzeńców politycznych i muszą wybrać własną, odpowiednią swej godności taktykę, a więc prowadzić samodzielną politykę proletariacką, innemi słowy — politykę socjalizmu.

Partja niepodległościowa p. Hearsta, pomimo pomocy prasy i finansów, zdobyła zaledwie 100 000 głosów, a więc niespełna czwartą część głosów socjalistycznych.

Nasi starzy przyjaciele z Socialist Labor Party (Socjalistyczna Partja Robotnicza) z Danielem de Leon na czele, którzy ze swej strony wystawiali własnego kandydata, zebrali tylko 10 do 15 tysięcy głosów.

Jedną więc tylko Partja Socjalistyczna wyszła z ostatnich wyborów ze wzmoczoną siłą i zwiększonym znaczeniem. W niej pokłada swe nadzieje klasa robotnicza i wszystkie wielkie walki w przyszłości toczyć się będą pomiędzy nią a kapitalistyczną partją republikańską.

Partja Socjalistyczna założyła od roku 1906 dwa dzienniki w dwóch głównych miastach Stanów Zjednoczonych, w Nowym Jorku i Chicago; liczba członków płacących składki podwoiła się: partja liczy dziś z górą 50 000 zorganizowanych i posiada organizatorów i propagandystów we wszystkich częściach Unji. Obecnie więc jest całkowicie uzbrojona do walki klasowej.

Ludwika Kautska.

Die Neue Zeit, Nr. 5—11.

Kto przypuszczał, że po zaciętym sporze o taktykę, który w tak ostrej formie toczył się na norymberskim zjeździe niemieckiej Socjaldemokracji przy obradach nad stosunkiem partji do głosowania budżetowego, na dłuższy czas zapanuje spokój w szeregach partyjnych, ten omylił się bardzo. Rewizjoniści zbyt boleśnie odczuli poniesioną porażkę, aby mogli zaprzestać swych bezskutecznych ataków na rewolucyjne stanowisko większości partji.

Jako chorąży nowej partyzantki wystąpił Max Maurenbrecher, od pewnego czasu uważany przez niemieckich liberalnych profesorów, którzy ciągle jeszcze nie przestali spodziewać się, że Socjaldemokracja Niemiec nareszcie zmieni swą skórę, za przyszłego Mesjasza wybranego do wyprowadzenia partji robotniczej z bezpłodnej pustyni rewolucjonizmu do mlekiem i miodem płynącego kraju socjalnego reformatorstwa. Maurenbrecher, przed 5 laty jeszcze wojujący przeciw Socjaldemokracji pod sztandarem demokratyczno-reformistyczno-monarchiczno-imperjalistycznej partji t. zw. narodowo-społecznych, wstąpił po kompletnym bankructwie swej organizacji przy wyborach w r. 1903 do zwalczanej przez się partji; duchowy jego kierownik pastor Naumann wstąpił równocześnie do partji wolnomyślnych. Obaj zwątpili w możliwość istnienia partji pośrodku między liberalizmem a Socjaldemokracją; gdy jednak Naumann, wchodząc do wolnomyślnych, oświadczył otwarcie, że czyni to w celu przepojenia ich światopoglądem narodowo-społecznym (jeżeli tę łątaninę poglądów można zaszczyścić nazwą światopoglądu), Maurenbrecher oświadczył naodwrot, że nie pozwoli przylepić sobie miana bernsztejnisty. To rzekszy, począł działać w Socjaldemokracji jako bernsztejnista najczystszej wody, do czego należało zresztą tylko przyswoić sobie nieco terminologii socjaldemokratycznej; treść pocziwego programu narodowo-społecznego mogła pozostać bez istotnej zmiany.

Ten otóż literat, będący obecnie kierownikiem propagandystycznej pracy organizacji północno-bawarskich, ruszył po zjeździe norymberskim

do boju przeciw „epigonom“ marxizmu, którzy „zaklejają robotnikom głowy“, odbierają im zapal do walki i t. d. Otrzymawszy za to nieco ojcowskich wyjaśnień od Kautskyego w Neue Zeit (Nr. 2 z 29. X. 1908), odpowiedział na nie „Listem otwartym“ do Kautskyego w Nrze 5-ym, z powodu którego rozpoczęła się bardzo żywa polemika w naukowym organie niemieckiej partji oraz w organie rewizjonistów, Sozialistische Monatshefte (Nr. 24 i 25). Brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć zajmujących wywodów Kautskyego o znaczeniu woli w rozwoju społecznym, o kwestji „wrastania w socjalizm“, o kwestji „przepowiedni“ w ruchu socjalistycznym. Musimy się ograniczyć do przedstawienia konsekwencji, które wynikają z różnic, zachodzących między rewolucyjnym a oportunistycznym skrzydłem niemieckiej S. D. dla jej taktyki w chwili bieżącej.

„Wszelkie argumentowanie ciągłym „zastrzaniem się przeciwieństw“ nie może zatrzeć tego faktu, że na dający się przewidzieć czas nie należy się w Niemczech spodziewać okresu rozwoju rewolucyjnego“ — zwiastuje uroczyście Maurenbrecher w swym liście otwartym. „Stoję — ito nie sam — na stanowisku, że obecnie reformistyczna droga pracy parlamentarnej jest jedyną, która klasę robotniczą naprzód prowadzi i powiększa jej potęgę polityczną, jej wpływ w państwie“. Cóż to znaczy „obecnie“, w „czasie, dającym się przewidzieć“ (absehbar)? Wyjaśnia to Maurenbrecher w artykule: „Gdzie się znajdujemy“ (N. Z. Nr. 11).

Na Socjaldemokrację oddało swe głosy w r. 1907 24% wszystkich uprawnionych do głosowania. Rewolucję będziemy mogli „zrobić“, gdy będziemy mieli przynajmniej 75% wyborców za sobą. Jest to jasne jak słońce i odpowiada — zdaniem Maurenbrechera — poglądom starych wodzów Socjaldemokracji, Engelsa i Liebknechta. Wszystkie dotychczasowe rewolucje były rewolucjami mniejszości, rewolucja socjalistyczna może być tylko rewolucją większości. Trzeba więc czekać! Jak długo? Do obecnej okazałej cyfry wyborców doszła partja po 30 przeszło latach działalności, poczekajmy conajmniej tak długo i spełniajmy nasze zadanie: „Obecnie aktualna jest jedynie kwestja następująca: co należy czynić, aby liczbę naszych zwolenników podnieść z 24% conajmniej do 75% wszystkich wyborców! Jeżeli sprawimy to w okresie życia ludzkiego, resztę możemy pozostawić wówczas żyjącym towarzyszom“. Nie dziwnego, że mając głowę pełną takich głębokich myśli, Maurenbrecher nie szczędzi rewolucyjnych socjaldemokratów i ich teoretycznego przewodcy, Kautskyego. Kto nie stoi na powyższym stanowisku, ten popada w „blankistowskie szaleństwo“; czym byłaby rewolucja w Niemczech w obecnym momencie: akcją odosobnionego proletariatu wielkich miast, której wynikiem byłoby zdruzgotanie organizacji robotniczych! Liczyć się z jej możliwością, ba nawet radować się na myśl o niej, może tylko człowiek, który „stracił wiarę w ideał pozyskania większości“. Kautsky nie wypowiedział się zdaniem Maurenbrechera w tej kwestji wyraźnie, wobec czego srogi nasz krytyk domaga się otwartej i stanowczej odpowiedzi na następujące pytanie: „Czy sądzi Kautsky, że zwarte robotnicze masy wielkich miast, stanowiąc nawet liczebnie mniejszość w narodzie, są już dziś dość silne, by móc przedsięwziąć dzięki swej niezbedności w produkcji, dzięki swemu idealizmowi, dzięki swemu skupieniu i t. d. izolowaną akcję o mniej lub więcej rewolucyjnym charakterze?“ Aby dodać siły i powagi temu tak groźnemu pytaniu woła Maurenbrecher: „Tu jest Rhodus, tu niech wykona swój skok prorok“.

Zanim zobaczymy ów śmiertcionośny dla Kautskyego skok, posłuchajmy wskazań taktycznych Maurenbrechera na smutną dobę obecną, w której Socjaldemokracja nie zdobyła jeszcze 75% wyborców. Co robić? Nie należy liczyć na rewolucję. To już wiemy. Nie należy ciągle przypominać proletariatu, że parlamentaryzm burżuazyjny w dobie obecnej dzięki zastrzeniu się przeciwieństw klasowych ani o krok nie posuwa naprzód reform społecznych, że wzrost ruchu socjalistycznego może pchnąć burżuazję do ataku na te nawet ochłapy praw, które lud obecnie

posiada, t. j. na powszechne prawo głosowania. Nie należy tego czynić, bo ciągle omawianie powyższych kwestji od takiego stopnia przyzwyczajai proletarjat do tej możliwości, że kiedy ewentualnie nadejdzie ona, proletarjat nie znajdzie w sobie dość energii, by atak odeprzeć. Zresztą możliwość ta jest nie tak znów bardzo prawdopodobna, bo burżuazja nie jest jednolitą i polityka jej zmienia się ustawicznie w zależności od gry interesów jej rozmaitych grup. Gdy grozi wszystkim tym grupom niebezpieczeństwo, skupiają się one, nastaje okres reakcji, który z czasem przemija. Od 60 lat ciągle mówią socjaliści, że burżuazja z każdym dniem staje się bardziej reakcyjną, a tymczasem w ostatnich 60 latach dokonane zostały wielkie reformy społeczne. Kto mówi o stale wzrastającej reakcyjności burżuazji, ten posługuje się „najbardziej płytką metodą argumentacji, wyprowadza ogólne reguły z zjawisk okolicznościowych“.

Maurenbrecher więc nie wierzy, by reakcyjność burżuazji była stałym zjawiskiem, wynikającym z zaostrzających się przeciwieństw klasowych, i rysuje obecną sytuację polityczną w ten sposób: „cała nasza polityka odznacza się brakiem celu; brak jej linii podstawowych, ... polityka socjalna jest nędzna, stan finansów opłakany i t. d.“ A kto jest temu winien? Rząd? Nie! „Głównym złem jest to, że parlament posiada większość, dla której mimo wszystko ten rząd jest właśnie dobrym i która wcale nie życzy sobie wzięcia w swe ręce odpowiedzialności za kierownictwo sprawami państwa“. Dlaczego zaś tak jest? Na to daje Maurenbrecher odpowiedź następującą: Partje burżuazyjne nie chcą zdobyć prawa, które uczyni Niemcy państwem konstytucyjnym i odda rządy w ręce większości parlamentarnej, ponieważ obawiają się, że w przyszłości większość ta znajdzie się w rękach socjaldemokratów. Prawo takie mogłyby one zdobyć tylko w ostrym konflikcie z rządem, w którym Socjaldemokracja, jako przedstawicielka najbardziej zasadniczej opozycji, zdobyłaby siłę ich kosztem. Na konflikt podobny obawiałyby się burżuazyjne partje demokratyczne tylko wówczas, gdyby Socjaldemokracja zechciała razem z nimi, nie robiąc im uszczerbku, walkę tę przeprowadzić i razem z nimi stworzyć blok, któryby wzięł w swe ręce rządy państwa. Wobec tego stawia Maurenbrecher trzy pytania: 1) czy Socjaldemokracja zgodziłaby się w podobnej sytuacji przeprowadzić wspólnie z temi partjami wybory w taki sposób, aby nie osłabić owych partji (przez przeciwstawianie im kandydatów socjaldemokratycznych w okręgach, w których burżuazyjni nasi sojusznicy mają większe szanse powodzenia) i starać się o zdobycie wspólnie z nimi większości w parlamencie? 2) czy weszłaby Socjaldemokracja do wspólnego ministerjum? 3) czy gotowa byłaby uznać nawet częściowe i małe stosunkowo kroki naprzód za pożądane i czy przyjęłaby za nie odpowiedzialność wobec wyborców?

Maurenbrecher uważa, że sytuacja podobna może przed Socjaldemokracją stanąć, na postawione przez się pytania odpowiada potwierdzająco i odpowiedź swą uważa za wyciągnięcie ostatnich konsekwencji z przesłanek taktyki reformistycznej: „Tylko otwarte wyznanie, jakbyśmy postępowali, posiadając w swych rękach władzę, może nam zyskać to oibrzymie zaufanie, które jest konieczne, byśmy byli godni ujęcia w swe ręce steru rządów. Dopokąd zaufanie to ku nam ma 24% wyborców a nie 75%, obowiązkiem naszym w celu zdobycia go w coraz szerszych kołach jest ciągle wyjaśnianie pozytywnych zasad naszego zachowania“. Tyle Maurenbrecher..

Z całą słuszością podkreśla Kautsky Maurenbrecherowską ocenę obecnej sytuacji. Zapatrzony w cyfry statystyki wyborczej, nie widzi Maurenbrecher i jego rewizjonistyczni przyjaciele wszystkiego innego, co się dzieje w Niemczech i na szerokim świecie. Nie widzi nasamprzód, że siła Socjaldemokracji nie kończy się na 24% wyborców, bo stoją za nią masy socjalistycznych robotnic i młodzieży socjalistycznej, bo jej siłę stanowi wzrastające niezadowolenie w coraz to szerszych masach ludu, spowodowane wciąż przez wzrastający wyzysk królów przemysłu, nie chcących słyszeć o żadnych ustępstwach, bezpłodnością socjalnej polityki rządu, która nie postępuje naprzód, bo nie chcą tego kapitaliści, ciężarem milita-

ryzmu i wydatków na marynarkę, który rosnąc z każdym rokiem, powoduje coraz bardziej opłakany stan finansów, co odbija się na szybkim wzroście podatków pośrednich. Jak można twierdzić, że w takich warunkach liczba zwolenników Socjaldemokracji będzie rosła tylko w tak szybkim tempie, jak dotychczas?! Z drugiej strony bankructwo klas posiadających w Niemczech jest coraz większe i oczywistsze. Bez żadnego oporu z ich strony wypłynął rząd na burzliwe morze polityki kolonialnej; po 20 latach bezcelowego blakania się zrujnował finanse Niemiec i stanął nad otchłanią wojny z Anglią. Wobec bankructwa tego, oświetlonego tak jaskrawo przez ostatni kryzys, spowodowany przez interview cesarza, mówić o sile i niewzruszoności rządu jest rzeczą więcej niż śmieszną. Nie wiódź, że w takich sytuacjach może przyjść do konfliktów, które przybiorą rewolucyjny charakter, może tylko ślepy doktryner. Maurenbrecher mówi, że będziemy myśleć o rewolucyjnych sposobach walki dopiero wówczas, gdy będziemy mieli 75% wyborców za sobą. Ponieważ wyjątkowo tylko więcej niż 75% wyborców oddaje wogóle swe głosy – w Niemczech zdarzyło się to tylko trzy razy od czasu istnienia Rzeszy – a więc, zdaniem Maurenbrechera, Socjaldemokracja będzie mogła zrobić energiczny krok naprzód dopiero wówczas, gdy pochłonie wszystkie partie burżuazyjne bez śladu. Czyżby nie natknął się Maurenbrecher nosem na myśl, że burżuazja, nie czekając na ten nieprzystępny dla niej moment, zechce może odebrać proletarjatowi prawa wyborcze? Cóż będzie wówczas, gdy – och – liczba zwolenników Socjaldemokracji wśród wyborców nie będzie jeszcze wynosiła 75%? A coż będzie Socjaldemokracja robiła w parlamencie, mając np. 58% wszystkich uprawnionych do głosowania, a jakie 80% wszystkich oddanych przy wyborach głosów? Jeżeli – a jest to zdanie Maurenbrechera – wówczas nie będzie można myśleć jeszcze o stanowczym przesunięciu równoległoboku sił, to partja robotnicza, mająca większość w parlamencie, zostawi chyba rządy w rękach Bülowa. Co na to powiedzą jej wyborcy, o których tak przecież troszczy się Maurenbrecher?

I tu staje przed nami kwestja rewolucji w momencie, w którym w szeregach Socjaldemokracji nie znajduje się jeszcze większość narodu. Kautsky nie odpowiada na pytanie Maurenbrechera, czy popadł na tyle w blankistowskie szaleństwo, że uważa za możliwą rewolucję izolowanego proletariatu wielkich miast, gdyż niejednokrotnie na pytanie to odpowiadano w literaturze marxistowskiej. Oto w ogólnych rysach jego wywody. Mrzonką jest wogóle myśl, że kiedykolwiek przed rewolucją socjalistyczną da się zorganizować i przepoić świadomością socjaldemokratyczną cały proletariąt. Zdolnemi do tego są jego przednie elementy, których poziom życiowy jest na tyle podniesiony, by mogły przyswoić sobie światopogląd Socjaldemokracji, co wymaga pewnej inteligencji, środków i t. d. Mrzonką jest również nadzieja, że rewolucja zjawi się wtedy, gdy Socjaldemokracja, skończywszy swą przygotowawczą pracę, powie sobie: no, teraz jestem gotowa. Z konfliktów, w których będzie chodziło o ważne interesy życiowe masy, ze starć o częściowe reformy może w odpowiednich warunkach wyrosnąć sytuacja rewolucyjna, w której kierownictwo wezmą w swe ręce świadome żywioły proletariatu – Socjaldemokracja. Masa robotnicza, której interesy rzeczywiście reprezentuje Socjaldemokracja, będzie się w swej olbrzymiej większości skupiała koło jej sztandaru, będzie pod nim walczyła. Nawet te części jej, które przed rewolucją stały zdala od organizacji socjaldemokratycznej i którym obcy był światopogląd socjaldemokratyczny, stworzą w ogniu rewolucji kadry organizacyjne i przejmą się hasłami Socjaldemokracji. Maurenbrecher pyta: czyż można rozpocząć rewolucję, wiedząc, że przy stosunkach społecznych w Niemczech skończy się ona rozbiemem organizacji robotniczych, zniszczeniem owoców czterdziestoletniej pracy? Zapomniał widocznie postawić sobie pytanie, czy można uniknąć rewolucji, tego żywiołowego huraganu, jeżeli urodzi się on w głębinach życia społecznego. Nie ulega wątpliwości, że taki niebываły dotychczas w dziejach proces, jak przewrót socjalistyczny, nie odbędzie się od jednego rozmachu, w jednym

starciu rewolucyjnym, że będzie on zdążył do celu swego przez zwycięstwa i klęski. Kto jednak sądził, że bez cierpień masy i krwawych ofiar tysiący da się znieść ustrój na niewoli, cierpieniach i nędzy milionów oparty, ten dowodzi tylko, że nie zdaje sobie sprawy z głębin i powagi dziejowej socjalizmu.

Jak wpływa na naszą codzienną politykę świadomość, że tylko przez rewolucję socjalistyczną przejdziemy do socjalizmu? Na to odpowiedziała niemiecka Socjaldemokracja rezolucją drezdeńską w sprawie rewizjonizmu, którą potem przyjęła Międzynarodówka socjalistyczna na swym kongresie w Amsterdamie, na to odpowiedziała niemiecka Socjaldemokracja na norymberskim kongresie, odrzuciwszy wszelką myśl o paktach z państwem i społeczeństwem kapitalistycznym. Rewizjoniści wskazują na reformy, o które walczą zarówno oni, jak i rewolucyjni socjaldemokraci. Maurenbrecher tytułuje swój artykuł, w którym w odpowiedzi na wywody Kautskyego zwraca uwagę na tę wspólną cechę, „Słowem dla porozumienia“. Ale pominąwszy fakt, że rewizjonistyczna czy też lepiej reformistyczna taktyka jest najgorszym sposobem walki o reformy, między poglądem rewolucyjnych socjaldemokratów a reformistów na reformy leży przepaść. Podczas gdy reformy mają dla rewolucyjnych socjaldemokratów tylko wówczas znaczenie, gdy wzmacniają świadomość rewolucyjną proletariatu i czynią go bardziej zdolnym do walki o socjalizm, podczas więc gdy rewolucyjny socjaldemokrata nie wejdzie dla zdobycia reform na drogę kompromisów z burżuazją i rządem kapitalistycznym, bo wynikiem tego jest demoralizacja proletariatu i rozbicie go, a więc odsunięcie w dal socjalizmu, reformiści kładą główny nacisk na reformy, zapominają, jak niewielką jest możliwość ich rozwoju w kapitalistycznym społeczeństwie, wydymają znaczenie każdej najdrobniejszej nawet reformy do niebываłych rozmiarów. Ta różnica stwarza różnicę w działalności „pozytywnej“ rewolucyjnych socjaldemokratów i reformistów. To, co Maurenbrecher nazywa „przepowiadaniem“, co uważa za niepotrzebne i szkodliwe, jest rozszerzaniem światopoglądu proletariatu, uzbrajaniem go w krytycyzm wobec zjawisk bieżących i do walki przyszłej.

Z tego samego źródła, z którego wynika niezrozumienie znaczenia stanowiska marxistów, zgodności ich rewolucjonizmu z ich reformizmem, wynika też ów rozbijający naiwny plan bloku z liberałami. Maurenbrecher i rewizjoniści nie rozumieją kierunku rozwoju dziejowego i, nie uznając stałego zaostrzania się przeciwieństw klasowych, marzą o złotym deszczu reform społecznych i o bloku, jako ich rekojmy. Burżuazja jest zdaniem ich reakcyjną, bo się boi żarłocznych min socjalistów. Wystarczy, że socjaldemokraci zawrą z nią blok, obiecują skromność, a burżuazja stanie się postępową, reformatorską. Zapominają, że proces wzrostu ruchu socjalistycznego, proces wyzwalania się proletariatu z pod politycznego wpływu burżuazji przyspieszony został przez wzrost reakcyjności burżuazji, która, zależna od polityki ekonomicznej rządu, licząca ciągle na jego pomoc w walce z konkurencją zagraniczną, urodziła się w Niemczech reakcyjną i nie miała nigdy poczucia samodzielności i liberalizmu, którym się odznaczała np. burżuazja angielska. Zapominają, że te cechy reakcyjne, które charakteryzują niemiecką burżuazję, potęgowały się w niej rok w rok w ostatnim dwudziestoleciu pod wpływem obiektywnych sił, wynikających z jej położenia, przyczym niebezpieczeństwo, grożące jej ze strony ruchu socjalistycznego, było tylko jednym z tych czynników. Zapominają, że jeżeliby blok z Socjaldemokracją – żądajmy sobie gwałt i nie parszajmy śmiechem na myśl o nim – przyszedł do skutku, to jutro musiałyby się rozbić, bo burżuazja nie chce robić ustępstw proletariatu i nie może zmienić swej istoty. Zostawiwszy więc na boku wszelkie zasadnicze zastrzeżenia, wszelkie wywody co do wpływu wchodzenia w bloki z burżuazją na świadomość klasową proletariatu, widzimy, że mamy tu do czynienia z utopją czystej wody, o ile chodzi o niemieckie stosunki.

Utopją ta jest nadzwyczaj charakterystyczna dla położenia rewizjo-

nizmu niemieckiego. Przed proletariatem niemieckim nie stoją otworem dwie drogi: istnieje tylko jedna, rewolucyjna, na którą go pchają wszystkie siły społeczne. Dlatego skazany na polityczną bezsilność, poczyna rewizjonizm niemiecki bredzić, jak chory w gorączce.

Sozialistische Monatshefte, zeszyt 23.

James Ramsay Macdonald, sekretarz Partii Pracy, omawia kwestję braku pracy w Anglii. Podczas gdy w kwietniu z. r. liczba bezrobotnych w związkach zawodowych wynosiła 30%, obecnie wynosi 90%. Jest to uwięzieniem okresu, w którym (w przeciągu ostatnich 6 lat) dochód, podlegający podatkowi dochodowemu, wzrósł z 866 mil. funtów szt. do 980. W czasie tym wzrosła znacznie płaca robocza jedynie w przemyśle bawełnianym i w górnictwie. Jednym z powodów szczególnej ostrości kryzysów w Anglii jest, podług autora, fakt, że ziemia w Anglii nie jest używana do uprawy rolniczej, lecz służy wielkim kapitalistom do polowania. Gdy nastaje w przemyśle brak pracy, robotnik angielski nie może jej szukać w rolnictwie. Partja Pracy zajmuje się gorliwie tą kwestją. Pod wpływem jej agitacji przeprowadził rząd konserwatywny w r. 1905 prawo, które uznaje obowiązek państwa dostarczenia pracy czasowo bezrobotnym; zastosowanie tego prawa zostało polecone Zarządowi dla spraw lokalnych i miało ono istnieć dla próby przez trzy lata. Na nieszczęście stanął na czele Zarządu dla spraw lokalnych John Burns, dawny agitator socjalistyczny, który obecnie jest zdaniem kierującego organu liberałów angielskich „The Nation“ „najkonsekwentniejszym członkiem dzisiejszego rządu“. Burns, który zdobył sławę w r. 1889 jako organizator i agitator wśród bezrobotnych, czyni obecnie jako minister wszystko, co może, aby prawo z r. 1905 nie zostało wprowadzone w życie.

Większość Partji Pracy — pisze dalej Macdonald — nie ludzi się co do możliwości całkowitego usunięcia braku pracy w ustroju kapitalistycznym. Ale uważa za możliwe złagodzenie go. Jako pierwszy środek poczytuje odnowienie rolnictwa przez stworzenie drobnych gospodarstw włościańskich, pozostających pod kontrolą państwa. Jeżeli 2 — 3 miliony ludności powróci do pracy na roli, to stworzony zostanie nowy rynek zbytu dla przemysłu i zmniejszy się zarazem przepełnienie na rynku pracy. Dalej żąda ona, aby wszelkie roboty publiczne były wykonywane w okresach braku pracy, a nie w czasie dobrej konjunktury. Nadto domaga się, by państwo dawało pracę lub utrzymywanie niezajętym wykwalifikowanym robotnikom, którzy, bez niebezpieczeństwa utraty swych zdolności zawodowych, nie mogą się w czasie braku pracy imać byle jakiej roboty. Przy dobrej administracji da się dla nich praca wyszukać, jeżeli tylko odpowiednio zorganizowane instytucje, działające w całym kraju, energicznie się tym zajmą.

Następnie przedstawia Macdonald wzburzenie, które pod wpływem braku zajęcia ogarnia masy robotnicze. Nastrój ten wykorzystują rozmaite „anarchistyczne“ żywioły z Partji Socjaldemokratycznej oraz Niezależnej Partji Pracy, które starają się pchnąć Partję Pracy na drogę obstrukcji w parlamencie, aby zmusić partje burżuazyjne do zajęcia się sprawą bezrobotnych. Macdonald uważa, że próby obstrukcji mniejszości przeciw większości byłyby tyranią i występuje przeciw tym „nizkim atakom w stylu mów, zgromadzeniowych i sztuczek aktorskich“.

Nie potrzeba chyba dolidnie wykazywać utopijności wyłożonych poglądów. Sztuczne stworzenie nowego rynku zbytu niezbyt wielkiego rozmiaru nie pomogłoby wcale, gdyż przemysł rozszerzyłby się wkrótce w sposób, przewyższający potrzeby powiększonego rynku. Zmniejszenie podaży sił roboczych na rynku pracy nie wleby pomogło, gdyż dałoby tylko nowego bodźca rozwojowi techniki oraz ściąganiu w razie potrzeby sił roboczych z najdalszych części świata. Zdanie, że organizacja pośrednictwa pracy potrafi zawsze zapewnić pracę wykwalifikowanym robotnikom w ich zawodzie, jest niezam popartą iluzją. Poglądy Macdonalda na taktykę Partji Pracy wydają się równie naiwnymi. Nie wchodząc w oce-

nę kwestji, czy taktyka, zalecana przez krytyków Partji Pracy, byłaby dobrą, nie możemy powstrzymać się od pytania: jeżeli obstrukcja mniejszości jest tyranją, to kiedyż ma partja polityczna obstruować? Gdy jest w większości? A czy Macdonald uważa, że prawo wyborcze w Anglii pozwala na wierne odzwierciedlenie woli ludności, i czy nie warto zastanowić się nad tym, że obstrukcja może w znacznym stopniu wzmocnić i rozciągnąć wpływ partji robotniczej na najszerze warstwy proletariatu angielskiego?

gh.